



ALFRED SIATECKI

PIĄTY KLUCZ  
DO BRAMY



# PIĄTY KLUCZ DO BRAMY

ROZMOWY NIEAUTORYZOWANE  
ALBO NIEODBYTE  
O PRZESZŁOŚCI ŚRODKOWEGO NADODRZA





**Muzeum Ziemi Lubuskiej  
w Zielonej Górze**

**ALFRED SIATECKI**  
**PIĄTY KLUCZ  
DO BRAMY**

**ROZMOWY NIEAUTORYZOWANE  
ALBO NIEODBYTE  
O PRZESZŁOŚCI ŚRODKOWEGO NADODRZA**

**Zielona Góra 2014**

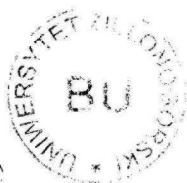
Copyright © Alfred Siatecki  
Copyright © Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze

Projekt okładki  
Igor Myszkiewicz

Redakcja  
Alina Polak  
Anitta Maksymowicz

Skład  
Emilia Ćwilińska

Zdjęcie autora na okładce  
Mariusz Kowalski



Fotografie niepodpisane pochodzą z archiwum autora



Zrealizowano  
przy pomocy finansowej  
Miasta Zielona Góra

**ISBN 978-83-88426-84-1**

Wydanie I Zielona Góra 2014

Wydawca  
Muzeum Ziemi Lubuskiej  
al. Niepodległości 15, 65-048 Zielona Góra  
tel. 68 327 23 45, faks 68 324 65 61  
www.mzl.zgora.pl, e-mail: muzeum@man.zgora.pl

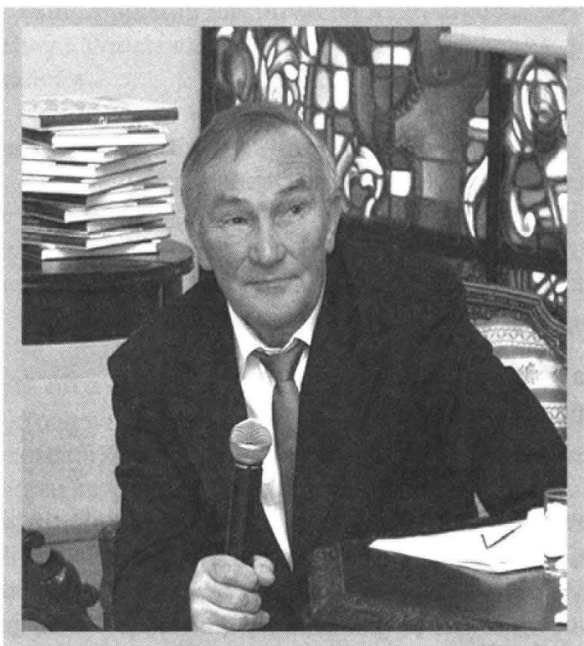
Druk i oprawa  
„LIGATURA”  
ul. Sulechowska 4 a, 65-119 Zielona Góra

Dla aktualnego stanu stosunków polsko-niemieckich na pograniczu oraz dla perspektyw rozwojowych Ziemi Lubuskiej decydujące znaczenie miały zmiana ustroju w Polsce w 1989 r. oraz zawarcie między Rzeczpospolitą Polską i Republiką Federalną Niemiec dwóch traktatów: z 1 listopada 1990 r. o potwierdzeniu granicy i z 17 czerwca 1991 r. o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy.

prof. Andrzej Kwilecki,  
„Studia Zielonogórskie”, 2000







*Andrzej Marcinkian – zdjęcie z archiwum Muzeum  
Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze*

## **Andrzej Marcinkian**

Urodził się 1 stycznia 1942 w Naczy na ziemi nowogrodzkiej, zmarł 18 grudnia 2012 r. w Zielonej Górze. Ukończył studia archeologiczne na Uniwersytecie Wrocławskim, tam też obronił rozprawę doktorską. Pracował w placówkach muzealnych Nowej Soli i Zielonej Góry, współtworzył zielonogórski ośrodek archeologiczny. Badał kulturę łużycką epoki brązu i wczesnego żelaza. Odkrył ponad 600 zespołów grobowych w pobliżu Cybinki. Jest autorem dwutomowej pracy *Ziemia Lubuska w dobie cywilizacji łużyckiej* i współautorem wywiadu-rzeki *Tajemnice naszej ziemi*.

## TRZY TYSIĄCE LAT TEMU

Rozmowa z dr. Andrzejem Marcinkianem,  
archeologiem i regionalistą

– Kiedy pierwszy człowiek postawił swoją stopę na ziemi nad środkową Odrą?

– Tego nikt dokładnie nie wie. Pierwsze znaleziska pochodzą z epoki lodowcowej, czyli sprzed 12 tysięcy lat. Ci, którzy prowadzili badania między Kargową, Sulechowem i Wschową zapewnają, że znaleźli ślady obecności łowców reniferów w epoce kamienia. Archeologia jest młodą nauką. Jej początek na świecie to dziewiętnasty wiek, gdy bardziej poszukiwacze skarbów niż uczeni pojawili się w dzisiejszej Turcji, Grecji, Chorwacji, we Włoszech. Niemieccy archeolodzy zajmowali się badaniami nad środkową Odrą dopiero wtedy, gdy ktoś zawiadomił ich o znalezisku. W ten sposób odkryli skarb scytyjski w Witaszkowie koło Gubina.

– Biała plama?

– Po 1945 roku, a właściwie po 1951, kiedy Zielona Góra awansowała do rangi stolicy województwa, rozpoczęły się badania archeologiczne na większą skalę. Edward Dąbrowski prowadził je w Międzyrzecz i Krośnie Odrzańskim, Adam Kołodziejski w Domaniewiczach i Kotli pod Głogowem, Marcinowie koło Żagania, Białkowie niedaleko Lubuska i w Wicinie koło Jasienia. Wspomagał ich Bogdan Kres. Potem dołączył Mieczysław Kaczkowski, Marian Kwapiński i ja. Każdego interesowało co innego, każdy kopał na własną rękę i, co najistotniejsze, każdy publikował wyniki swoich badań. Nie

byliśmy tu sami, wspierali nas uniwersyteccy archeolodzy z Poznania, Warszawy i Wrocławia, tyle że wyniki ich badań nie przenikały do mieszkańców.

**– Co pana interesowało?**

– Kultura, a właściwie cywilizacja łużycka. Czyli to, co się działo nad środkową Odrą i dolną Wartą w epoce brązu trzy tysiące lat temu. Z cywilizacją łużycką związał mnie Adam Kołodziejcki i to on zaszczerpił mi miłość do tego okresu dziejów. Miłość odwzajemnioną.

**– Co to jest owa cywilizacja łużycka?**

– Obejmuje ona wiele grup żyjących na sąsiadujących ze sobą własnych terytoriach. Nad Odrą były to na przykład funkcjonujące w epoce brązu zespoły: sasko-łużycki, brandenbursko-lubuski lub uradzki (od Uradu koło Cybinki), białowicki (od Białowic koło Nowogrodu Bobrzańskiego) i górzycy (od Górzycy koło Kostrzyna). Ten ostatni zaznaczył się dopiero we wczesnej epoce żelaza. Podsumowując: nazwy społeczności pochodzą od terytoriów, na których występują znaleziska albo od miejscowości, w pobliżu których badacze pierwszy raz natrafili na wytwory typowe dla tych społeczności.

**– Pierwszymi na Środkowym Nadodrze, o których prehistorycy najwięcej wiedzą, byli nosiciele cywilizacji łużyckiej. Na jakie lata datuje się początek tej społeczności?**

– Jeszcze nikt nie podał dokładnej daty. Nawet nie jest możliwe określenie dziesięciolecia uważanego za początek cywilizacji łużyckiej. Archeolodzy przyjmują, że był to XIII wiek przed naszą erą. Tylko że kiedy indziej początek tej cywilizacji zaczął się tam, gdzie dziś jest Bawaria, w innym czasie na terytorium obecnej Słowacji, a jeszcze inaczej było na Podlasiu. Cywilizacja łużycka obejmowała centralną Europę od Alp po Morze Północne i Bałtyk.

**– Kiedy ta epoka zaczęła się na Środkowym Nadodrze?**

– Na najwcześniejsze ślady cywilizacji łużyckiej badacze natrafili w południowej części dzisiejszego regionu lubuskiego. Przyjmują, że jej początek to rok 1400 przed naszą erą. Na historyczną Ziemię Lubuską cywilizacja łużycka dotarła dwieście lat później.

**– Z kim dotarła?**

– Z kupcami i wędrowcami. Wszystko co nowe docierało do środkowej Europy z południa. Tam, wokół Morza Śródziemnego, naturalne warunki życia były znacznie lepsze i sprzyjały rozwojowi kultury. Przez kulturę rozumiem wszystko, co jest wytworem umysłu człowieka, nie tylko idee, ale i bardziej praktyczne narzędzia czy sposoby uprawy i zajmowania nowych terenów. Nie oznacza to, że północna część Europy była mocno zapóźniona w rozwoju, wręcz wsteczna. Mieszkańcy północnej części kontynentu musieli budować takie domy, zgromadzić tyle żywności, uszyć taką odzież, żeby w trudniejszych warunkach klimatycznych przetrwać najbardziej niesprzyjający człowiekowi okres zimowych chłódów. Z Pomorza też wyruszały karawany kupieckie, docierając zapewne aż nad Morze Śródziemne. Mogło tak być, że kupcy z południa i północy spotykali się w określonych miejscach, przypominających dzisiejsze giełdy czy hurtownie, gdzie odbywała się wymiana towarów.

**– Dziś Odra dzieli narody. Czy trzy tysiące lat temu też występowały różnice między mieszkańcami zachodnich i wschodnich obszarów nad rzeką?**

– Tego prahistorycy chyba nigdy się nie dowiedzą, bowiem dotąd nie udało się trafić na coś, co przypomina pismo. Trzeba wziąć pod uwagę, że to, co wznoszono na ziemi nadodrzańskiej, było z drewna, zbutwiało i dlatego nie przetrwało do naszych czasów. Inaczej to wyglądało w południowej Europie, gdzie materiałem budowlanym były kamienie. Jestem przekonany, że tacy sami ludzie żyli na terenie obecnej Brandenburgii, jak i na Ziemi Lubuskiej. Ich siedliska czy cmentarzyska niczym się nie różniły. Skoro wtedy nie było państw w takim znaczeniu jak dziś, to Odra nie dzieliła ludzi.

**– Czy praprzodkowie budowali grody?**

– Na pewno ci z południowej i zachodniej strony Odry wznosili grody. Miały one charakter obronny. Ich ślady pozostały w Wicinie koło Jasienia, w Bobrownikach koło Nowej Soli, w Polanowicach koło Gubina – znanych też jako dawna Niemcza, w Starosiedlu koło Lubska. To były tereny zajmowane przez Białowiczian. Dotąd archeolodzy nie natrafili na grody po północnej i wschodniej stronie Odry, gdzie mieszkali Górzycanie.

**– Nie mieli wrogów? Nikt na nich nie napadał?**

– Napada się na bogatszych. Mieszkańcy osad górzyckich, gdzie więcej lasów, a mniej bogactw naturalnych, byli ubożsi niż mieszkańcy siedlisk przynależnych do grupy białowickiej. Moim zdaniem Górzycanie, czyli ci, którzy żyli tam, gdzie dziś jest Łagów, Lubniewice, Słońsk, Kostrzyn, Górzycza, byli ludźmi wyjątkowo praktycznymi: robili jedynie tyle, ile trzeba, żeby przeżyć. Białowiczanie zaś stanowili odnogę wysoko postawionej kultury halsztackiej, byli pasem transmisyjnym między ludami południowymi i północnymi. Zakładali grody dlatego, że na drabinie rozwoju gospodarczego i społecznego stali wyżej niż Górzycanie. Stąd sąsiedzi z północnej strony Odry łakomym okiem spoglądali na bogactwo Białowiczian. Gdy ludność białowicka to dostrzegła, zaczęła tworzyć linię grodów obronnych.

**– Ci z północy napadali zbrojnie na tych z południa?**

– (śmiech) Można powiedzieć, że wojenka gorzowsko-zielonogórska to nie sprawa drugiej połowy XX wieku. Ona zaczęła się w epoce brązu.

**– W grodzie mieszkał naczelnik z drużyną, rzemieślnicy, a reszta?**

– Zanim praojcowie zaczęli stawiać trwalsze domy, do czego zmuszał ich coraz bardziej uregulowany tryb życia, zakładali osady sezonowe. Były to nietrwałe obozowiska dające schronienie przed deszczem i wiatrem. Trzeba w tym miejscu wspomnieć o jeszcze jednym. O nagłych zmianach klimatu. Gdy klimat stawał się suchy, ludzie przenosili się bliżej rzek i pozostawione domostwa zarastały sitowiem i tatarakiem.

**– Fazy ocieplania i oziębiania klimatu były cykliczne, powolne, czy też następowały nagle, tak jak to się dzieje w naszych czasach?**

– Uczni wypowiadają na ten temat rozbieżne opinie. Jednak większość uważa, że okres wilgotnego klimatu przypadał na koniec epoki kamienia i ewentualnie na początek epoki brązu. Powolne osuszanie było cechą reszty tego okresu, aż do początków epoki żelaza, czyli do około 600-550 roku przed naszą erą. Pod koniec trwania

cywilizacji łużyckiej, około 350-300 roku przed naszą erą, miało nastąpić szybkie osuszenie klimatu.

**– Czy osady były dużymi skupiskami ludzi?**

– To zależało od warunków. Jeśli środowisko, gdzie powstała osada, nie było łaskawe dla ludzi, powstawały sezonowe bazy. W takim miejscu przebywały dwie, trzy rodziny. Większa grupa miałaby problem ze zdobyciem pożywienia. I, co ciekawe, były to rodziny wielopokoleniowe, a najczęściej młodzi rodzice i ich dzieci. Do takiego wniosku doszli archeolodzy po przebadaniu cmentarzysk ciąłpalnych.

**– Zaraz, zaraz, jak na podstawie przebadania cmentarzysk można dojść do takiego wniosku?**

– Podczas badań na cmentarzyskach rzadko natrafiałem na zmarłych powyżej czterdziestu lat. Zżymałem się na stwierdzenia antropologów, którzy obwieszczali, że badane kości należały do osoby w podeszłym wieku. Pytałem: to ile miała lat? Około pięćdziesięciu, padała odpowiedź. Dopiero po zastanowieniu się zdawałem sobie sprawę, że pytając, miałem na myśli wiek osoby uważanej za starszą w dwudziestym stuleciu. W osadach łużyckich większość stanowili ludzie w pełni sił, dwudziestokilkuletni, trzydziestoletni rodzice i ich małoletnie dzieci.

**– Jak wyglądał dom praojca?**

– Był podobny do tego, jaki można zobaczyć w zielonogórskim skansenie budownictwa ludowego, tyle że bez okien, typowego komina i pieca zwanego chlebowym, na którym może spać cała rodzina. Dom miał jedną izbę. W Lubniewicach i Czernej koło Żagania archeolodzy odkryli ganki. W centralnym miejscu było palenisko, po bokach znajdowały się łóża ze słomy lub trzciny, przykryte skórą albo sfilcowaną wełną. Oprócz ludzi w domu przebywały małe zwierzęta. Duże zwierzęta miały schronienie pod dachami większych konstrukcji. Zimą zwierzęta dawały ciepło ludziom. Rozchodziło się ono po izbie także podczas gotowania strawy. Mogło też pochodzić z ognisk rozpalanych na podwórzu. Stamtąd przesyłano je do domu kanałem-kurtyną ze skór. To przypomina współczesne ogrzewanie nawiewowe.

**– Ile pokoleń żyło pod jednym dachem?**

– Na pewno rodziny były wielopokoleniowe. Pod jednym dachem mogły mieszkać najwyżej trzy pokolenia: dzieci, ich rodzice i dziadkowie. Z analiz wynika, że pokolenie dziadków było nieliczne. Najbardziej liczna była populacja rodziców, czyli osób pomiędzy osiemnastym a trzydziestym rokiem życia.

**– W jakim wieku kobiety zostawały żonami i matkami?**

– Z badań antropologicznych wieku i płci osób pochowanych w grobach, szczególnie takich, w których były szczątki kobiet i dzieci, wynika, że matkami zostawały dziewczęta. Rodziły dużo i często, ale śmierć okołoporodowa zbierała swe żniwo. Wynikało to ze stanu higieny i konieczności natychmiastowego przystąpienia kobiet do codziennych zajęć.

**– Dlaczego tak wcześnie rodziły dzieci?**

– Kłania się doświadczenie życiowe. Przodkowie zdawali sobie sprawę z tego, że prawdopodobieństwo urodzenia dziecka niesprawnego przez spracowaną, starszą kobietę jest dużo większe niż przez bardzo młodą.

**– Czy mężczyźni również w bardzo młodym wieku zakładali rodziny?**

– Z mężczyznami mogło być inaczej. Najstarsi brali za żony młode kobiety, zapewniając im dach nad głową, odzienie, wyżywienie. Ci w średnim wieku wyprawiali się w odleglejsze zakątki Europy po kandydatki na matki swoich dzieci. Najmłodszy długo tkwili w stanie wolnym, łowiąc, pracując w polu, budując domy, służąc w drużynie obronnej. Dorabiając się, ponieważ zapewne za przyszłą żonę należało złożyć okup. Domyślam się, że nie był on mały. Być może właśnie tą drogą, a nie z pospolitego handlu, przedmioty i wyroby charakterystyczne dla jednych ziem dostawały się na tereny sąsiadów.

**– Mężczyźni brali za żony kobiety z tego samego plemienia?**

– Wieloletnie doświadczenie uzmysłowiło przodkom, że małżeństwa pomiędzy osobami blisko spokrewnionymi prowadzą do degeneracji potomstwa. Zamiast zakazywać młodym bliskich kontaktów czy wyjaśniać przyczyny deformacji noworodków, ubrano to



w szaty religijne, a te zabraniały współżycia pomiędzy rodzeństwem i najbliższymi krewnymi. Kto i kiedy wpadł na pomysł wymiany młodych kobiet między plemionami, tego nie wiem. Wiem natomiast, że kobiety były łupem wojennym, pożądaną zdobyczą mężczyzn przywożoną z dalekich wypraw.

**– Małżeństwa były monogamiczne czy może jeden mężczyzna miał kilka żon?**

– Na cmentarzyskach w podgubińskich Sękowicach i w okolicach Cybinki pośród grobów wieloosobowych, takich, które można uznać za rodzinne, najczęściej występowały spopielone kości mężczyzny, kobiety i dzieci. Bardzo rzadko wśród spalonych szczątków mężczyzny między trzydziestym a trzydziestym piątym rokiem życia, napotykałem na domieszki kości dwu niewiast. To by wskazywało, że model ówczesnej rodziny był podobny do dzisiejszego lub taki sam. Pośrednio może za tym przemawiać stosowana w obrzędach liczba 3, uznawana za podstawowy symbol układu rodzinnego: ojciec, matka i dzieci.

**– Domyślałem się, że były domy bogatsze i biedniejsze?**

– Identycznie jak dziś był podział na klasy lepszych i gorszych. Na zarządzających i zarządzanych. Na obrońców i bronionych. Na zdolnych, potrafiących, na przykład, nauczyć się od wędrownych rzemieślników, z czego i jak zrobić brąz i takich, których żadne nowinki nie interesowały. Często obok osad, na przykład w Lubniewicach i Łagowie, były siedliska produkcyjne, gdzie robiono naczynia gliniane dla potrzeb własnych i na wymianę z sąsiadami.

**– Jak zdobywali pożywienie? Co jedli?**

– Jedli to samo, co jedzą ludzie współcześni. Mięso, owoce, grzyby, przetworzone zboże. W próbkach ziemi ze świątyni w Łosowie (niem. Lossow) po zachodniej stronie Odry archeolodzy znaleźli ziarna pszenicy, owsa, jęczmienia, prosa i maku. W innym miejscu natrafili na soczewicę, bób i len. Z łądyg lnu praojcowie uzyskiwali włókno, a z nasion wyciskali olej. Podstawowym tłuszczem był łój bydłocy czy barani i smalec. Nie znam wyników badań archeologów na naszej ziemi. Na ogrody w całym znaczeniu tego słowa badacze natrafili na wyspie Neuenhagen w zakolu Odry. Część obszaru

przynależnego do osady datowanej na lata 600-400 przed naszą erą poprzez naniesienie nań urodzajnej gleby została przekształcona w ogród. Oprócz ogrodników i sadoowników w tej osadzie mieszkali wytwórcy naczyń, o czym świadczą ślady po piecu garncarskim.

**– Żeby zdobyć pożywienie, praojcowie pewnie często przenosili się z miejsca na miejsce?**

– W cywilizacji łużyckiej rolnicy uprawiali ziemię metodą wypaliskową, ale i stosowali nawożenie. Do takiego wniosku doszedłem, stwierdzając istnienie osad w tych samych miejscach przez dziesiątki lat. Skoro domy stały w tym samym miejscu, to i pola musiały być w pobliżu. Ziemia uprawna ma to do siebie, że jałowiej, trzeba więc ją nawozić, aby uzyskać satysfakcjonujący plon. Najprostszym nawozem jest popiół roślinny. Uzyskiwano go w wyniku celowego spalania gałęzi, bo nie wierzę, żeby wystarczyło popiołu z palenisk domowych. Sądzę, że w ogrodach przydomowych stosowano nawożenie kompostem lub obornikiem.

**– Nie mam wątpliwości, że praprzodkowie magazynowali zboże na zimę. A jak konserwowali żywność?**

– Na przykład jaja kurze przechowywali w popiele. Być może także używali do tego wapna, wszak znane im były piece do jego wypalania. Z mleka robili ser i masło, solili je, wtedy jeden i drugi produkt mógł leżeć latami. Zimą przodkowie mrozili mięso, latem je marynowali, a przez cały rok solili. Do konserwowania żywności używali tych samych ziół, z których robili wywary pomocne w chorobie. Niezbędny do tego ocet uzyskiwali w wyniku nieudanej, celowo lub przypadkowo, fermentacji alkoholowej. Zakwaszali warzywa, co powodowało, że w takim środowisku rozwijały się jedynie bakterie bezpieczne dla ludzi. Te metody konserwacji nie zmieniły się przez trzy tysiące lat.

**– Skąd mieli sól?**

– W literaturze napotkałem informację, że sól sprowadzano z okolic dzisiejszego Salzburga w Austrii. Na ziemi nadodrzańskie mogła też docierać z dzisiejszych Kujaw. A może pochodziła z jeszcze bliższych terenów? Na pograniczu lubusko-pomorskim są naturalne wychodnie, czyli słone źródła. Znajdującą się w tych miejscach

solankę wylewano na skórzane podłogi i wystawiano je na słońce. Woda wyparowywała, a pozostałe na skórze kryształki soli zgarniano do naczyń glinianych. Do jedzenia nadawała się także sól znajdująca się w roślinach.

**– W czym pramatki gotowały? Na czym podawały strawę? Czy miały talerze, miski, łyżki, mieszadła?**

– Pramatki gotowały strawę w garnkach glinianych. W tych samych garnkach ją podawały lub przekładały do michy. Nie uważam, żeby wszyscy domownicy jedli rękami z jednej michy, chociaż wielu badaczy tak twierdzi. Wydaje mi się, że każdy domownik miał przed sobą gliniany lub drewniany talerz czy miseczkę i wystruganą z drewna łyżkę. Do takiego wniosku doszedłem na podstawie masowych wręcz znalezisk glinianych mis i misek. Noża używano do rozdzielania i pokrojenia mięsa. Przy jedzeniu był zbędny. Na pewno domownicy nie posługiwali się widelcem, gdyż jest to przedmiot używany w Europie dopiero od dziesiątego stulecia naszej ery. Być może na drewniany szpikulec czy rozdwojony patyk nadziewali kawałki mięsa.

**– Epoka brązu trwała pomiędzy epoką kamienia i żelaza. Z literatury szkolnej pamiętam, że zaczęła się w trzecim tysiącleciu przed naszą erą na Kaukazie. Stamtąd przez krainy południowej Europy docierały nowinki. Kiedy mieszkańcy ziemi nad Odrą zaczęli robić brąz?**

– Brąz to stop miedzi i innych metali, najczęściej cyny, w proporcji 10:1. Od mniej więcej 2000 roku przed naszą erą był jednym z głównych towarów. Na ziemię nadodrzańską wyroby z brązu dotarły w latach 1500-1300, oczywiście przed naszą erą. Na Pojezierzu Myśliborskim archeolodzy znaleźli tak dużo przedmiotów brązowych, że okrzyknęli ten rejon zagłębiem skarbów.

**– Czy wszystko, czym posługiwali się praojcowie, robiono z brązu?**

– Brąz był zbyt cennym surowcem, żeby produkować z niego przedmioty często używane w gospodarstwie czy domu. Na pewno służył do wytwarzania noży, sierpów, młotków, dłutek. Najczęściej jednak robiono z niego ozdoby i broń, a więc miecze, topory, ostrza włóczni, groty strzał do łuku.

– A skąd pochodził surowiec do wyrobu tych przedmiotów?  
– Miedź i cynę przywozili kupcy. Wymieniali ją głównie za skóry i jantar. Zdaniem niemieckich badaczy bursztyn pochodził z Ziemi Lubuskiej. Gdy na naszej ziemi powstawały w najlepsze garnki zdobione wypchanymi guzami i szpile z brązu, nad Eufratem i Tygrysem rozpoczęła się epoka żelaza.

– Czy praprzodkowie byli religijni?

– Brakuje przekazu pisemnego, nie można więc na sto procent powiedzieć: tak, byli religijni. Ich religijność potwierdzają liczne znaleziska. Na podstawie wykopalisk po stronie niemieckiej w Lubuszu (niem. Lebus), Łosowie (Lossow), Żelowie (Seelow), a więc miejsc uznanych za święte, można dojść do wniosku, że ludzie cywilizacji łużyckiej wiarę traktowali jako coś bardzo ważnego w swoim życiu.

– Brakuje pisemnych dowodów...

– Psychologicznych korzeni religii należy szukać w strachu i nadziei, które towarzyszą człowiekowi od czasów biblijnego Adama i Ewy. Strach przed śmiercią to jedno. Drugie to strach przed przyrodą. Jedyną formą ochrony przed żywiołami była ucieczka pod opiekę bóstw. Przodkowie uważali, że składając dary mogą liczyć na odwzajemnienie. Było to podejście wręcz kupieckie: ja podzielę się z tobą tym, co mam, a ty zapewnisz mi więcej pożywienia, lżejszą pracę, staniesz w mojej obronie.

– Skoro strachem była śmierć, to nadzieją musiała być wiara w szczęśliwe życie na innym świecie.

– Wiara w życie pozagrobowe była najbardziej racjonalnym wierzeniem ludzkości. Stąd groby, kurhany, piramidy. Stąd rozbudowywanie z pokolenia na pokolenie rytuał pogrzebowy.

– W co wierzyli praprzodkowie?

– Ponad trzy tysiące lat temu błyskawicznie rozpowszechniał się ciepłopalny obrządek pogrzebowy. To może oznaczać początek skłaniania się ludzi ku religii monoteistycznej. Naczelnym bogiem w cywilizacji łużyckiej było Słońce. Dawało ono światło i ciepło, sprawiało, że rosły drzewa, zioła, jagody, grzyby, zboża, warzywa. Im więcej słońca, tym bogatsza stawała się przyroda, a człowiek łatwiej



mógł zaspokoić swoje potrzeby. Słońce raczej nie było przyczyną przykrych zdarzeń. Co innego ogień. Mimo że był żywiołem nieokiełznanym, mógł być bardziej czczony przez przodków niż odległe, dobre Słońce.

– Nie było więc bóstw upostaciowionych?

– Panteon bóstw naszych przodków pewnie był zbliżony do panteonu bóstw na przykład antycznej Grecji. Po zachodniej stronie Odry, ale i w Ośnie Lubuskim archeolodzy znaleźli wózki dwu – i trzykołowe z dyszlem z brązu. Wózek z okolic Frankfurtu był ozdobiony głowami ptaków i byków. Czy to nie przypomina byka, jakiego postać przybrał Zeus, żeby porwać Europę, piękną córkę władcy fenickiego Sydonu?

– Przypomina.

– Prawdopodobnie w antycznej Grecji i na Środkowym Nadodrzu byk imponował swoją siłą rozrodczą. Dzięki niemu powiększały się stada, a ludzie mieli coraz więcej mleka, mięsa, skór, kości, rogów.

– W starożytnej Grecji bogowie przybierali postać człowieka, z zaletami i przywarami ludzi. W tradycji chrześcijańskiej Pan Bóg jest przedstawiany jako starzec z brodą. Syn Boży ma ręce, nogi, tułów, głowę, zarost. Jedynie Duch Święty wygląda jak gołąb.

– Glinianą boginię, zapewne odpowiedniczkę Demetry, greckiej bogini płodności i urodzaju, w 1901 roku znalazł pastor Felix Hobus koło Deszczna. Duchowny ewangelicki wyjaśnił w berlińskim periodyku, że figurka znajdowała się w piaszczystej ziemi na głębokości 75 centymetrów, odchyłona nieco do tyłu, z twarzą zwróconą na zachód. Otaczały ją małe garnki. W pobliżu stała czarna urna ze spalonymi kośćmi oraz wazy ustawione w półokrąg otwarty na południe. Naczynia znalezione w Deszcznie, datowane na lata 700-550 starej ery, swym kształtem i dekoracją nawiązywały do ceramiki italskiej z tego samego czasu, wytwarzanej przez Etrusków, tajemniczych przodków Rzymian.

– Czy tylko w świątyniach przodkowie składali dary przeznaczone dla bóstw?

– Pewnie nie. W Mirocinie Dolnym koło Kozuchowa natrafiliśmy z doktorem Kołodziejskim na dar wotywny: po obu stronach grotu oszczepu leżały po dwie siekierki zrobione z brązu, datowane na 800 rok przed naszą erą. Przebadaliśmy okolicę w promieniu dwóch kilometrów od tego miejsca, ale nie natrafiliśmy na ślady osadnictwa z tego czasu.

– Powiedział pan, że miejsca uważane za święte to Lubusz (Lebus), Żelów (Seelow) i Łosów (Lossow), wszystkie na zachodnim brzegu Odry. Czy to oznacza, że Górzyczanie i Białowiczanie nie mieli takich miejsc?

– Niestety za mojego życia archeolodzy nie odkryli takich miejsc po wschodniej stronie rzeki. Tu miejscami traktowanymi jako święte były jedynie cmentarze.

– Czy praojcowie pielgrzymowali do tych miejsc i zawozili bóstwom ofiary?

– W szybach odkrytych w Łosowie najwięcej było kości dużych zwierząt. Uderzające jest to, że kości nie stanowiły kompletu. Wskazuje to, iż zwierzęta najpierw zostały rozebrane na części, które zapewne ludzie zjedli, a potem obgryzione resztki złożyli w ofierze bóstwom.

– ...

– W jednym szybie badacze natrafili na szkielet człowieka, leżący na brzuchu. Ułożenie rąk i nóg wskazywało, że przed zrzućeniem do jamy zmarły został skrępowany. Antropolodzy ustalili, że to była kobieta w wieku około 25-27 lat, prawdopodobnie garbata. Znajdowało się tam także gliniane naczynie typowe dla Górzyczan, datowane na lata 500-400 przed naszą erą.

– Jak długo żyli?

– Na cmentarzyskach łużyckich najliczniej spotyka się groby trzydziesto – i czterdziestolatków. Zdaniem badaczy, średni wiek zmarłego mógł wynosić trzydzieści kilka lat.

– Skąd badacze to wiedzą?

– A stąd, że archeolodzy znajdowali w grobie szczątki dorosłych i dzieci. Antropolodzy badali ich wiek i dostarczali danych. Z kolei archeolodzy obliczali statystyczny wiek, a nie ten, do jakiego dożywiali przeciętni mieszkańcy.

– Co było najczęstszą przyczyną śmierci praprzodków: wojny, epidemie, choroby, wiek...?

– Pewnie wszystko po trosze. W przypadku kobiet było ich za wczesne i zbyt częste macierzyństwo. W tamtym czasie dzieci bardzo często umierały w wieku niemowlęcym. Brutalnie rzecz ujmując: stanowiło to formę doboru naturalnego. Najsłabsi umierali wcześniej. Najmocniejsi dorastali, zakładali rodziny, płodzili dzieci. Płodzili dużo także dlatego, żeby przeżyły jednostki najmocniejsze.

– Co robili praprzodkowie ze zwłokami zmarłych?

– Ciała palili, a prochy składali w urnach-popielicach. Ciałopaleny obrządek pogrzebowy obowiązywał w ówczesnym świecie aż do początków chrześcijaństwa. Urny przechowywano w świętych miejscach, którymi były cmentarze. Wybierano na nie piaszczyste wzniesienia, tak żeby górowały nad okolicą. Żółty piasek mógł się kojarzyć z barwą ognia i z naczelnym bóstwem, jakim było Słońce. Przodkowie oddawali prochy zmarłych bóstwu, żeby pod jego opieką zaznało szczęścia wiekuistego. Miejsce w zaświatach zależało od tego, jakim kto był człowiekiem na ziemi, czy składał ofiary bóstwom, czy starał się zaskarbić opiekę Słońca i lokalnych bóstw.

– Jak mógł wyglądać obrządek pogrzebowy?

– Przez pierwsze dni, nie dłużej niż tydzień, ciało zmarłego znajdowało się w domu. Tam odbywało się ostatnie pożegnanie z rodziną i sąsiadami. Były płaczki, jakaś ceremonia, niemal teatralna rozpacz, a być może i radość, że współziomek jest już po lepszej stronie smugi cienia. W tym czasie ludzie obsługujący cmentarzyko kopali jamę grobową, znosili drewno z lasu i układali je na stosie w miejscu do tego przeznaczonym. O wyznaczonej porze dnia w procesji pogrzebowej inna grupa ludzi przenosiła ciało zmarłego i układała je na stosie. Szaman, wódz lub inna ważna osoba podpalała chrust, od którego zajmowały się bierwiona. Gdy stos płonął, zebrani przy nim postępowali w zgodzie z ustalonym obrządkiem.

Mogli tańczyć i śpiewać, mogli pić alkohol, a jego resztki wylewać do ognia, co wzmacniało płomienie. Mogli zażywać wywary z roślin halucynogennych i wpadać w amok.

**– Jak długo to trwało?**

– Tak długo, póki ciało zmarłego się nie spopieliło. Zależało to więc od tego, jakiej postury był zmarły, ile ułożono drewna, także od umiejscowienia stosu. Jeśli stos był na miejscu otwartym, palił się szybciej, w miejscu ocienionym drzewami – wolniej. Gdy ogień zupełnie wygasł, wszystkie cząsteczki spalonego ciała wybierano do popielnicy. Zwykle robiono to w porządku anatomicznym, czyli na dnie były spopiелone kości stóp, dalej nóg, miednicy, klatki piersowej i czaszki.

**– Przed lub po wstawieniu popielnicy do grobu żałobnicy przykrywali ją czymś specjalnym?**

– Na wierzchu popielnicy kładli glinianą misę, często zdobioną. W ten sposób zabezpieczali zawartość popielnicy przed piaskiem. Niekiedy owijali popielnicę płóciennym całunem, spinanym z przodu lub z góry brązowymi i żelaznymi szpilami. Być może używali jeszcze innych osłon, na przykład z drewna, trzciny, sitowia, słomy czy skór.

**– W jakiś sposób zabezpieczali jamy grobowe?**

– Na cmentarzysku w Bieganowie koło Cybinki natrafiłem na grób wyłożony faszyną. Piasek więc nie dostawał się do środka. Na tym samym cmentarzysku znalazłem ślady gałęzi, które prawdopodobnie zostały ułożone nad jamą, tak żeby wyznaczały dom zmarłego. Część badaczy, którzy natknęli się na identyczne zabezpieczenie, twierdziło, że ten dom podpalano, żeby jeszcze raz oddać cześć zmarłemu i tą drogą wysłać jego duszę do miejsca wiecznej szczęśliwości.

**– Czy oprócz popielnic do grobów wkładano rzeczy osobiste zmarłego?**

– W zależności od statusu społecznego lub zamożności rodziny do grobów wstawiano naczynia towarzyszące, otaczając nim popielnicę. Niemieccy archeolodzy badali zawartość małych naczyń. Ich



zdaniem wkładano tam jadło i napoje. Prawdopodobnie podczas pogrzebu pito z nich wywary z ziół, a potem naczynka ustawiano wokół popielnicy. W grobach znajdują się kości zwierzęce, co świadczy o tym, że uczestnicy ceremonii pogrzebowej zjadali ofiarowane zwierzę, a kości rzucali obok popielnicy. Być może odbywało się to wedle wierzenia, że skoro człowiek odrodzi się w innym świecie, to i z wrzuconych kości odrodzi się zwierzę, które będzie mu służyło.

– Dziękuję za rozmowę.

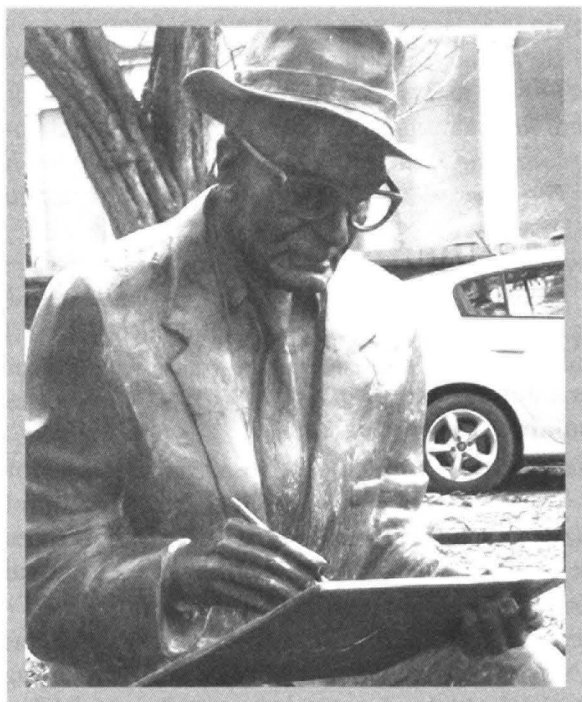
## Muzeum Archeologiczne Środkowego Nadodrza w Zielonej Górze

Muzeum mieści się w zbudowanym w XVII wieku dworze Kietliczów w Świdnicy. Otworzono je tu dopiero w 1976 r. jako oddział archeologiczny Muzeum Ziemi Lubuskiej. W 1982 r. zostało wyodrębnione jako placówka autonomiczna. Pierwszym dyrektorem był dr Adam Kołodziejski. Obecnie muzeum kieruje Włodzimierz Rebelski.

Jak podaje placówka na swojej stronie ([www.muzeum-swidnica.org](http://www.muzeum-swidnica.org)) „zdecydowaną większość zbiorów muzealnych stanowią zabytki pozyskane w trakcie wykopalisk archeologicznych. Niewielkim, ale znaczącym fragmentem tych zbiorów są przedmioty pochodzące z przypadkowych znalezisk oraz spuścizna po zbiorach byłych muzeów niemieckich. Odrębną kategorią zbiorów jest kolekcja około 3000 monet. Obok wielkiej ilości ceramiki i biżuterii z różnych okresów pradziejów w MAŚN przechowywane są okazy militariów z okresu wpływów rzymskich i średniowiecza. W swoich zbiorach muzeum posiada także interesującą kolekcję zabytków pochodzących z prekolumbijskiej Ameryki”.

W muzeum są eksponowane cztery wystawy stałe. Pierwsza, edukacyjna, poświęcona jest łowcom i rolnikom epoki kamienia na Środkowym Nadodrzu. Druga prezentuje kulturę łużycką ze szczególnym uwzględnieniem zabytków pochodzących z groduńska w Wicinie. Trzecia przedstawia osadnictwo na przełomie er na Środkowym Nadodrzu. Czwarta to materiały związane z obronnością zachodniej granicy państwa piastowskiego i osadnictwem wczesnośredniowiecznym.

Muzeum znajduje się przy ul. Długiej 27, 66-008 Świdnica,  
tel. 68 321 54 78, tel. i faks 68 327 31 13,  
e-mail [muzeum@muzeum-swidnica.org](mailto:muzeum@muzeum-swidnica.org).  
Placówka jest czynna  
od wtorku do piątku w godzinach 9.00-15.00,  
w soboty i niedziele od 10.00 do 16.00.



*Jan Korcz – fragment pomnika na skwerze  
u zbiegu ulic Łokietka i Chrobrego w Gorzowie*

## Jan Korcz

Urodził się 1 stycznia 1905 w Samborze koło Lwowa, zmarł 16 marca 1984 r. w Gorzowie. Studiował w Warszawie: m.in. w Szkole Malarstwa i Rysunku im. Konrada Krzyżanowskiego i Szkole Sztuk Pięknych im. Wojciecha Gersona. Do Gorzowa przyjechał w 1947 r. Pracował jako nauczyciel w Koedukacyjnym Liceum Handlowym i Studium Nauczycielskim. Prowadził Nieformalną Akademię Pana Jana, z której wyszli tacy malarze jak m.in. Wiktor Czyżewski, Juliusz Piechocki, Grzegorz Romanczenko. Był członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków. W Alei Gwiazd na gorzowskim Starym Rynku jest jego tablica. Jest także patronem ulicy na Górczynie.

## STRAŻNICA W WIDŁACH NOTECI I WARTY

Rozmowa z Janem Korczem,  
artystą malarzem i pedagogiem

– Ci, którzy znali pana nieźle, mówili, że było trudno spotkać drugą tak humorzystą osobę w Gorzowie. Dodawali, że gdy wpadł pan w chandrę, stronił od ludzi.

– Uciekałem do lasu, nad rzekę, żeby być jak najdalej od miasta. Od ludzi. Nie słyszeć ich zmartwień. Nie widzieć ich zagonionych twarzy. Wtedy wsiadałem do autobusu i jechałem do Santoka, tam przykucałem pod drzewem na pagórku i wlepiałem wzrok w wodę, w zarośla. Czułem się tak, jakbym był sam na świecie. Na innym świecie. A jak rozśpiewały się ptaki, jak we wsi zaszczekał kundel, jak mečki muczały na pastwisku, jak wiatr tarmosił gałęziami wierzb... byłem w siódmym niebie. Wracałem do swojej samotni w Gorzowie odmieniony, naładowany dobrą energią i brałem się za malowanie.

– Czy wtedy nanosił pan na płótno to, co zobaczył w Santoku, co tam usłyszał, co zapamiętał, co...?

– Pejzaże?

– Pejzaże.

– Pejzaże też, ale nie takie jak na fotografii. W ogóle to byłem tradycyjnistą. Nie polubiłem tego nowoczesnego malarstwa. O Korsaku, pisarzu i myśliwym, też gorzowianinie z powojennego przy-musu, mówiono, że jest ostatnim polskim nemrodem, o mnie, że

jestem ostatnim polskim postimpresjonistą. Takie określenie mi nie uwłaczało. Lepiej być dobrym postimpresjonistą niż byle jakim postmodernistą. Kiedy w 1937 roku znalazłem się w Paryżu jako stypendysta, tamtejsi postimpresjoniści zainteresowali mnie do tego stopnia, że nie mogłem się od nich wyzwolić. Oni mnie tym nieuleczalnie zarazili.

– Krytycy pisali, że pan nie interesował się niczym innym poza malowaniem.

– Gdy malowałem, zapominałem o wszystkim. Wystarczał mi niewielki kąt, bylebym miał farby i płótno. Malowałem do kresu sił, do bólu oczu.

– W Santoku, karmiąc wzrok pejzażem, pewnie zastanawiał się pan, jak wyglądało to miejsce setki lat temu?

– A słusznie. Czasem sobie myślałem, jacy ci dawniejsi ludzie byli inteligentni. Nie tam, gdzie rozsiadł się Gorzów, a tu, w widłach wielebnej Warty i nie mniej wielebnej Noteci postawili gród, do którego jeszcze dziś nie jest łatwo się dostać.

– Może miał pan ochotę pokazać, jak wyglądało to miejsce? Jak żyli mieszkańcy grodu? Jak walczyli?

– Malarstwo historyczne nigdy mnie nie pociągało. Nie oznacza to, że nie interesowała mnie przeszłość Gorzowa i okolic. Ale tą dawną historią zajmował się mój młodszy brat Władysław, wykładowca tego przedmiotu w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze i znawca dziejów Środkowego Nadodrza.

– Pamięta pan, kiedy to się stało?

– Czy co pamiętam?

– Tak mi się powiedziało. Chciałem spytać, czy z lektur pan pamięta, kto i kiedy zaczął stawiać gród w Santoku. Po co?

– Na mój rozum w tym miejscu coś musiało stać już w czasach łużyckich. Może nawet w epoce kamienia. Idę o zakład, że w okresie rzymskim była tu porządna osada obronna. Archeologom dotąd nie udało się zapuścić aż tak daleko w przeszłość. Wywnioskowali, że na pewno pod koniec VIII wieku coś znaczącego tu stało. Mówią

o ważnym grodzie. Kto go zbudował, to znaczy ludność polańska czy pomorska, na razie nie wiemy. Miejsce to w stronę północną oznaczało bramę na Pomorze, w południową – do Wielkopolski. Znajdowało się w połowie drogi między Poznaniem i Szczecinem. Przejazd przez bagna Puszczy Noteckiej nie był możliwy, chyba że zimą, ale pewnie zimy w tych okolicach nigdy nie były mroźne. Każdy kupiec, który z towarem chciał się dostać na północ, musiał tędy iść. Nawet jak wybrał drogę wodną, to płynął Wartą i Notecią.

– Czy na pewno ten najstarszy gród stał tam, gdzie Noteć wpada do Warty?

– Musiał tam stać. Na piaszczystej kępie. To jest ten niewielki zarzewiony pagórek na mokradłach po lewej stronie Warty. Dawniej gród był w widłach obu rzek, ale gdy w 1751 roku Warta się rozlała, to już nie wróciła na swoje miejsce, tylko zrobiła sobie nowe koryto na północ od grodziska.

– O którym grodzisku pan mówi?

– O tym z czasów Mieszka I. Wtedy, patrząc od zachodniej strony, było to obok Międzyrzecza najważniejsze miejsce w państwie Piastów. Gall Anonim napisał w swojej kronice, że *Zutok custodiam et clavem*, co znaczy: Santok strażnicą i kluczem państwa polskiego.

– Ten sam Santok?

– Spotkałem się z różnymi nazwami tego miejsca. Arabski geograf Al-Idrisi w *Księdze Rogera* pisze o S(i)tnu, wymieniając je pośród takich grodów jak Łęczyca, Gniezno, Kraków, Wrocław. W jednym dokumencie księcia wielkopolskiego Przemysła I został wymieniony jako Santocg, w innym jako Santok. XIX-wieczny *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego* podaje Santok i Sątok oraz zgermanizowaną nazwę Zantoch. Spotyka się także takie określenia jak Santoc, Szantoch, Suthoc i Zutok.

– Zastanawiał się pan nad pochodzeniem nazwy?

– Oznacza ona spływ rzeki. Po staropolsku sątok.

– Na początku drugiego tysiąclecia w tym miejscu stała osada obronna. Jak ona wyglądała? Była duża?

– Badacze twierdzą, że składała się z grodu właściwego i podgrodzia. Gród, otoczony wałem obronnym, miał średnicę 240 metrów. Wewnątrz stały drewniane domy, w pierwszym mieszkał naczelnik, potem kasztelan i wojowie, duchowny z pomocnikami. Mogła tam stać świątynia najpierw pogańska, potem chrześcijańska. W podgrodziu żyli garncarze, szewcy, tkacze, rymarze, jednym słowem rzemieślnicy.

**– Jak długo miejsce to spełniało swoją funkcję obronną?**

– Na pewno było bardzo ważne w czasach Mieszka I. Na znaczeniu zaczęło tracić w czasach jego syna Bolesława Chrobrego, który zanim przeniósł zachodnią granicę królestwa za Odrę, stał się sprzymierzeńcem cesarza niemieckiego Ottona III. Gdy Bolesław Krzywousty objął władzę, znaczenie santockiej warowni było znikome. Wtedy książę wielkopolski Przemysł I stary gród zmniejszył tak, że miał on średnicę 80 metrów. Tyle że później ziemie nadwarciańskie zajęli śląscy Piastowie i temu miejscu przywrócili znaczenie obronne. Przechodziło ono z rąk do rąk. Po Piaście Henryku Brodatym panem Santoka był książę pomorski Barnim I, po nim książę wielkopolski i śląski Henryk II Pobożny, margrabiowie brandenburscy, znowu Pobożny, znowu Brandenburczycy, Kazimierz Wielki. Spory i wojny o to miejsce między Polską i Brandenburgią ciągnęły się w nieskończoność. Nie pomnę wszystkich, w każdym razie w czasach Nowej Marchii, a to połowa XV wieku, Santok utracił swoją pozycję obronną. Przestał być bramą do Polski. Od tego czasu dawna warownia była siedzibą szlachecką.

**– Powiedział pan, że w grodzie stała świątynia. Przypuszczam, że oprócz znaczenia militarnego miejsce to spełniało ważną funkcję administracyjną w Kościele katolickim.**

– Tak musiało być. Gdy w 1244 roku możnowładca śląski Mroczko z Pogorzeli nadał templariuszom dobra z ośrodkiem w Sulęcinie, określono w dokumencie, że miejsce to leży między Lubuszem, wtedy stolicą biskupią, a Santokiem.

**– Oprócz kasztelana i wojów w grodzie musiał mieszkać wyższej rangi dostojnik kościelny.**

– Już powiedziałem, że archeolodzy nie są zgodni co do tego, kiedy postawiono pierwszy kościół chrześcijański w grodzie. Przypuszczają,

że stało się to zaraz po przyjęciu chrztu przez dwór Mieszka I. Z dokumentów pisanych wynika, że w XIII wieku w warowni stała świątynia pod wezwaniem Świętego Andrzeja. Przy niej urzędował prepozyt.

**– Kto to taki? Jakie miał obowiązki?**

– Słownik podaje, że jest to przewodniczący kapituły katedralnej, tu pewnie chodziło o namiestnika biskupa poznańskiego. Trzeba przyjąć, że była to osoba duchowna, która z upoważnienia biskupa sprawowała rządy kościelne między Odrą, Wartą, Notecią Drawą i Iną. Prepozyt mógł mieć do pomocy kilku kanoników, bo podległy mu obszar był duży.

**– Rządy sprawował w imieniu biskupa poznańskiego, a nie lubuskiego?**

– Granica między biskupstwami przebiegała na zachód od Santoka. Oba biskupstwa, lubuskie i poznańskie, należały do metropolii gnieźnieńskiej. Lubuskie obejmowało parafie po obu stronach środkowej Odry.

**– Biskupstwo lubuskie jest późniejsze. Powstało z zadaniem nawracania na chrześcijaństwo ościennych ludów, między innymi Pomorzan.**

– Czytałem, że takie zadanie w odniesieniu do Pomorzan dostał biskup bamberski święty Otton. W 1124 roku wyruszył z misją chryścianizacyjną z Santoka w towarzystwie 60 rycerzy prowadzonych przez naczelnika grodu Pawła. Na prawym brzegu Warty czekał na niego książę pomorski Warcisław i 300 zbrojnych.

**– Książęcy Pomorzanie zaatakowali biskupich?**

– Przeciwnie. Powitani należycie, w zgodzie dotarli do Pyrzyc, gdzie biskup Otto ochrzcił pierwszą grupkę Pomorzan. Wtedy zaczęła się akcja chryścianizacyjna na ziemiach północno-zachodnich, mająca swój dalszy ciąg w ziemi Prusów.

**– Wcześniej, bo już pod koniec pierwszego tysiąclecia, na ziemię Prusów dotarł święty Wojciech, zamordowany w 997 roku w Świętym Gaju koło dzisiejszego Elbląga.**



– Z tą postacią wiąże się przypuszczenie przedstawione przez Gal-  
la Anonima, a dotyczące Santoka. Zdaniem kronikarza, gdy Po-  
morzanie zaatakowali „pewien polski gród”, objawił się tam święty  
Wojciech. U Długosza ów „pewien polski gród” już ma nazwę. To  
Santok. Skąd Długosz wziął tę wiadomość, nigdzie nie spotkałem  
wyjaśnienia.

– Po drugiej stronie rzeki, na wprost grodu piastowskiego,  
stała jeszcze jedna warownia.

– Był to gródek położony wyżej, wzniesiony przez Pomorzan około  
1100 roku. Zza jego wałów było widać, co się dzieje w grodzie pia-  
stowskim. Nie sądzę, żeby odegrał on jakąś szczególną rolę w dzie-  
jach Pomorza.

– Powiedział pan, że od XIII wieku piastowski gród w San-  
toku zaczął tracić na znaczeniu. Jakie były tego przyczyny?

– W połowie XIII stulecia na terenach przywarciańskich, zamiesz-  
kałych przez Słowian, zaczęli osiedlać się przybysze, głównie zza  
bliskiej Odry. Od tego czasu powoli, ale wyraźnie zmieniała się rze-  
czywistość polityczna na tej ziemi. W 1257 roku margrabia brand-  
enburski Jan I dał Albrechtowi de Luge upoważnienie do zało-  
żenia miasta na prawym brzegu Warty, które dlatego otrzymało  
nazwę Landisberch Nova, żeby je odróżnić od leżącego w pobliżu  
dzisiejszego Berlina miasta Altlandsberg. Miało być konkurentem  
polskiego Santoka. A gdy trzy lata później Konstancja, córka księcia  
wielkopolskiego Przemysła I, wyszła za Konrada, syna Jana I, jako  
posag wniosła ziemie kasztelanii santockiej, ale bez grodu w San-  
toku. Landsberg, czyli polski Gorzów, położony na wzgórzach przy  
trakcie komunikacyjnym ciągnącym się z Brandenburgii wzdłuż  
Warty, zaczął przejmować polityczną i gospodarczą pozycję Santoka.  
Mimo że za rywali najpierw miał pomorski Myślibórz, dokąd biskup  
poznański przeniósł urząd prepozyta, a potem książęcy Kostrzyn,  
z tego zadania wywiązał się dobrze. Nawiasem mówiąc, Berlin zo-  
stał założony dopiero w 1257 roku, czyli w tym samym czasie co  
Gorzów, a stolicą Niemiec stał się w 1871.

– Czy po założeniu Landsberga/Gorzowa Santok został miej-  
scem zapomnianym?

– Jego upadek wiąże się z wielkim pożarem w 1265 roku. Gród odbudowano, pojawiły się nawet wybrukowane ulice i ceglana brama. Jednak jako miejsce warowne w Nowej Marchii Santok nie miał większego znaczenia. Jego właścicielami byli joannici, krzyżacy, krótko Polacy i najdłużej państwo pruskie. Na terenie, gdzie Noteć wpada do Warty, wiodącą funkcję przejął ówczesny Landsberg. Co ciekawe, pomimo utraty Santoka w Polsce aż do rozbiorów zachował się tytuł kasztelanów santockich. W latach 1231-1793 było ich 61.

**– Santok podzielił losy piastowskich grodów w Szydłowie i Niemczy koło Gubina. Na tej ziemi swoją pozycję utrzymał jedynie Międzyrzecz.**

– Nowi gospodarze tej ziemi, mam na myśli Brandenburczyków, zakładali swoje miasta i nadawali im przewodnie znaczenie. Na tym terenie stają się wiodące takie nowe ośrodki jak Torzym, Rzepin, Skwierzyna, Nowogródek Pomorski, Dobiegniew. Przede wszystkim do roli przewodniej urasta Frankfurt, w niedalekiej przyszłości centrum kościelne i administracyjne Nowej Marchii.

**– Kiedy historycy zainteresowali się odległą przeszłością Santoka?**

– Z kronik wynika, że miało to miejsce w latach trzydziestych XX wieku. Początków tego należy dopatrywać się w odkryciach archeologicznych wokół i w pobliżu Morza Śródziemnego. Wtedy poszukiwacz skarbu mitycznego króla Priama, Heinrich Schliemann, odkrył Troję opisaną w *Iliadzie*. Carl Humann odkopał zabytki Pergamonu w Bergamie. Mniej więcej na przełomie stuleci znaleziono złoty skarb Scytów w Witaszkowie koło Gubina i odkryto grodzisko cywilizacji łżyckiej w Wicinie pod Jasieniem. W tym samym czasie pastor ewangelicki z Deszczna Felix Hobus odkrył na cmentarzysku w Ciecierzycach glinianą figurkę bogini, datowaną na 700-550 rok starej ery. W 1926 roku landsberski archeolog amator Fritz Bucholz podobną figurkę miał znaleźć w Karninie. Mówię „miał”, ponieważ na temat tego krążą różne opowieści. Na początku XX wieku moda na odkrycia archeologiczne przekroczyła granicę rozsądku.

**– Domyślałem się, że tymi, którzy rozpoczęli prace wykopaliskowe w Santoku byli archeolodzy niemieccy.**

– Oczywiście. Chociaż... ale o tym za chwilę. Miejsce to od wieków odgrywało ogromną rolę w świadomości Polaków i Niemców. Gdy w latach osiemdziesiątych XIX wieku, po wielkiej powodzi poszerzano koryto Warty, natrafiono na grodzisko. Dlatego w 1932 roku profesor Wilhelm Unverzagt z muzeum prehistorycznego w Berlinie rozpoczął w tym miejscu prace wykopaliskowe. Przerwał je dwa lata później. Landsberski regionalista Paul Dahms podaje, że profesor miał zamiar umieścić znaleziska w muzeum na Wzgórzu Zamkowym. Muzeum z prawdziwego zdarzenia nie powstało, ale to, co Unverzagt wykopał, pozostało we wsi. Wykopaliska w grodzie na niemieckim Wschodzie, jak wtedy propaganda nazistowska nazywała ziemie zaodrzańskie, stały się sprawą polityczną. W ogóle archeologia w Niemczech jako nauka miała charakter polityczny.

– Tylko w Niemczech?

– Znana jest sprawa pewnego zdjęcia, które miało przekonać międzywojennych Niemców, że Santok to miejscowość z niemiecką historią. Zdjęcie przedstawiało łódkę zacumowaną na spokojnie płynącej Warcie. W tle był drugi brzeg z jeszcze nierozkopanym grodziskiem. Identyczną, a najpewniej tę samą, fotografię wykorzystał Instytut Zachodni w Poznaniu, tyle że jako dowód słowiańskości ziemi santockiej.

– Gdy w latach międzywojennych berliński profesor Gustaf Kossinna ogłosił, że trzy tysiące lat temu w Biskupinie żyli pra-Germanie, poznański badacz Józef Kostrzewski odprowadził, że byli to pra-Słowianie. Na jakiej podstawie jeden i drugi doszli do swoich wniosków, żaden nie wyjaśnił.

– Cholernie drażni mnie wciąganie ludzi nauki i sztuki do polityki. A profesor Unverzagt dał się podpuścić propagandystom niemieckim i świadomie albo przypadkowo przyznał, że w zabudowaniach dawnego grodu w Santoku archeolodzy znaleźli niemało gównien. Smród unoszący się jeszcze dziś daje pojęcie o ówczesnych stosunkach kulturalnych, miał powiedzieć profesor. Propaganda to wykorzystana do stworzenia obraźliwego santockiego gnoju. Mało tego, Unverzagt głośno nie protestował, gdy propaganda nazistowska zestawiała prymitywne chałupy z romańskimi katedrami nad Renem, nazywając te pierwsze budynkami słowiańskimi.

**– Czy Józef Kostrzewski też mu odpowiedział?**

– Kostrzewski napisał, że „To niewybredne zestawienie powtórzone z lubością przez prasę niemiecką nie przynosi autorowi zaszczytu”. Swoją wypowiedź poparł przykładami z dawnej historii, kiedy Rzymianie budowali nad Renem akwedukty, łaźnie i amfiteatry, a Germanie żyli w jamach od góry ocieplonych grubą warstwą gnoju.

**– W końcu Niemcy utworzyli muzeum w Santoku? To znaczy w Zantoch?**

– W 1936 roku w miejscu gródka pomorskiego z XI wieku i zamczku rycerskiego z XV stulecia postavili piętnastometrową wieżę widokową. Swoją formą nawiązywała do zamku krzyżackiego. Po schodach można się było dostać aż pod sam dach i zobaczyć, co się dzieje w okolicy. W przyziemiu propagandyści umieścili szkielety odkryte na Wzgórzu Zamkowym, informując, że są to wojowie askańscy, którzy bronili Santoka przed Słowianami. W Polsce Ludowej podpisy pod tymi samymi szkieletami wyjaśniały, że to szczątki wojów Chrobrego.

**– One jeszcze tam stoją?**

– Zaginęły. Kiedy i w jaki sposób, tego nie wyjaśniono. Wieża należy do mieszkającego w Santoku poety i amatora plastyka, wspinałego znawcy dziejów tej ziemi, Jerzego Gąsiorka.

**– Po 1945 roku, czyli gdy Santok znalazł się w granicach Rzeczypospolitej, prowadzono tam badania archeologiczne?**

– Dopiero w 1958 roku archeolodzy zainteresowali się grodziskiem. Od tamtego czasu z przerwami wracają do Santoka. Niemalą część znalezionych przedmiotów umieścili w Muzeum Grodu Santok.

**– Dziękuję za rozmowę.**

## Pomnik Jana Korcza w Gorzowie

Pomnik stoi na skwerze u zbiegu ul. Łokietka i Chrobrego. Został odsłonięty w 2010 r. Przedstawia Jana Korcza siedzącego na kamieniu ze szkieletnikiem w ręku. Pracę wykonaną z brązu zaprojektowała gorzowianka Zofia Bilińska.

Obok znajduje się pomnik Ernsta Henselera (1852-1940). Malarz urodził się w Landsbergu, zmarł w Berlinie. Często jako artysta wracał w rodzinne strony. Pomnik, odsłonięty w 2010 r., jest dłutą gorzowskiego rzeźbiarza Andrzeja Moskaluka.

## Muzeum Grodu w Santoku

Placówka jest częścią działu archeologii Muzeum Lubuskiego im. Jana Dekerta w Gorzowie. Została utworzona w 1978 r. jako oddział Muzeum Okręgowego w Gorzowie. W 2005 r. otwarto wystawę stałą *Dzieje grodu w Santoku*, opartą na poniemieckich i powojennych znaleziskach archeologicznych. Rozpoczyna ją poglądowy profil z nawarstwień grodu. Na planszy pokazano lokalizację grodu, a w gablotach wystawiono najstarsze naczynia z VIII-IX wieku i naczynia typu Feldberg z IX w. *Santok jako emporium handlowe* przedstawia mapę i zabytki importowane ze Skandynawii, Fryzji, Cesarstwa Bizantyjskiego i Moraw, m.in. grzebienie, paciorki, brązową sprzączkę. Kolejne tematy to *Transport* i *Uzbrojenie*. Nasiona i narzędzia rolnicze przedstawiają temat *Rolnictwo*. Po nich jest *Rybołówstwo i rogownictwo*. Można zobaczyć ubiory i tkaniny, naczynia i wyroby kowalskie. Wystawę kończą *Dalsze dzieje grodu*, czyli historia upadku średniowiecznego Santoka.

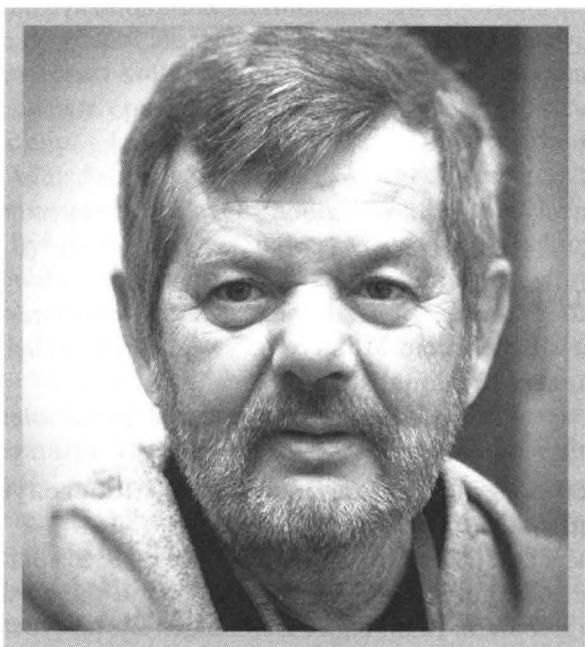
Muzeum znajduje się w pobliżu przeprawy promowej. Wiosną i latem jego zwiedzanie można połączyć z przeprawą na grodzisko, gdzie jest rezerwat archeologiczny.

Placówka jest czynna

od wtorku do czwartku w godz. 9.00-16.00,

w soboty i niedziele od 12.00 do 17.00.

Mieści się przy ul. Wodnej 4, tel. 95 731 61 08.



*Edward Mincer – zdjęcie ze zbiorów Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zielonej Górze – fot. Paweł Janczaruk*

## **Edward Jan Mincer**

Urodził się 1 czerwca 1947 w Toruniu, zmarł 8 maja 2014 r. w Zielonej Górze. Ukończył studia chemiczne na Politechnice Szczecińskiej. Był asystentem w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Zielonej Górze, radnym i zastępcą prezydenta miasta, pracował w Izbie Rzemieślniczej, redagował „Solidarność Środkowego Nadodrza” i „Gazetę Nową”. Najdłużej, bo w latach 1972-1982 i od 1994 do śmierci, pracował w Polskim Radiu „Zachód”, gdzie prowadził audycje historyczne. Związany z Solidarnością, w 1981 r. był internowany.

## WILK KALWIŃSKI

Rozmowa z Edwardem Mincerem,  
dziennikarzem i regionalistą

– W moich poszukiwaniach sławnych grünberczyków największą grupę stanowią ewangelicy.

– Reformacja dotarła do Grünberga dość wcześnie za sprawą żagańskiego augustianina Paula Lemberga. W literaturze występuje on także jako Lemberk, Lembergk i Lemberger. Był on synem sukiennika z Żar. Po wstąpieniu do zakonu kanoników regularnych w Żaganiu, nazywanych też augustianami, odbył studia w Wittenberdze. Tam poznał Marcina Lutra i stał się gorącym zwolennikiem jego nauk. Powołany na opata żagańskich augustianów zaczął głosić luteranские idee. Za to został przeniesiony do Grünberga na miejsce proboszcza Jakoba Grössego, który zastąpił go w żagańskim klasztorze.

– Dlaczego biskup wrocławski nie wydalil Lemberga ze stanu duchownego, tylko przeniósł go do prowincjonalnego Grünberga?

– Pewnie biskup Jakob von Salz doszedł do wniosku, że probostwo grünberskie jest dostateczną karą dla byłego opata. Okazało się, że Lemberg dopiero tu rozwinął skrzydła. Nie tylko wprowadził ewangelickie nabożeństwo, zlikwidował nieszpory, święta apostołskie i maryjne, spowiedź uszną, ale i odstąpił od celibatu, po czym się ożenił. Za jego sprawą dotychczasowe parafie katolickie wokół Grünberga w mgnieniu oka zamieniły się na ewangelickie. Prawda, nowej wierze sprzyjała okoliczna szlachta.

– Zwierzchnicy żagańscy nie reagowali na działania podejmowane przez proboszcza Lemberga?

– Brakuje dowodów, ale wiele wskazuje na to, że właśnie z powodu Lemberga czeski król Ferdynand I wydał edykt nakazujący znanym duchownym opuszczenie Śląska. Lemberg schronił się na dworze legnickim, gdzie najpierw był kaznodzieją, a potem proboszczem w Adelsdorfie, parafii pod Złotoryją. Ale skutecznie zasiał nasiona protestantyzmu w Grünbergu. Według innych źródeł Lemberg nie był pierwszym wyznawcą wiary ewangelickiej, on tylko kontynuował to, co zapoczątkował Andreas Ebertus, który wrócił do miasta po studiach w Pradze, Lipsku i Wittenberdze, gdzie zetknął się z poglądami Lutra.

– W czasie, kiedy Ebertus zaszczerpiał na gruncie grünberskim wyznanie luterzańskie, urodził się Nicolai Fabri.

– Fabri to jedna z najciekawszych postaci wywodzących się ze średniowiecznego Grünberga. Po nauce w miejscowej szkole elementarnej kształcił się w Głogowie, potem studiował teologię w Lipsku, gdzie też uzyskał stopień doktora. Kiedy elektor saski Fryderyk III Mądry utworzył uczelnię w Wittenberdze, nazywaną Atenami Saksonii, Fabriego powołał na wykładowcę. W tamtejszych dokumentach grünberczyk widnieje pod łacińskim nazwiskiem Nicolai Fabri Viridimontanus Polonus. W innych pismach występuje jako Gruninbergensis. Grünberczyk już jako rektor uniwersytetu przyjął Lutra w poczet wykładowców. W *Rozmowach przy stole* reformator napisał, że Fabri „w swoich kazaniach z łatwością posługuje się alegorią i obrazami zmysłowymi. Ludowi to się podoba. Mistrzowi podobnym stać się muszę w prawieniu słowa Bożego”.

– Czy to oznacza, że Fabri mógł kształtować umysł Lutra? Że pod jego wpływem mnich augustiański sformułował 95 tez, w których odrzucał możliwość kupienia łaski Bożej i w 1517 roku wywiesił je na drzwiach kościoła zamkowego w Wittenberdze?

– Zanim Luter wywiesił swoje tezy na drzwiach, wyraził je w publikacji *Disputatio contra scholasticam theologiam*. Nie znalazła ona większego odzewu wśród hierarchii kościelnej. Fabri mógł znać tę pracę,



mimo to do końca swoich dni pozostał katolikiem. Zmarł rok przed tym, jak Luter ogłosił tezy.

– Spotkałem taką informację książkową *Bartholomeo Pitiscus z Zielonej Góry na Śląsku. Trygonometria*, wydaną w 1612 roku we Frankfurcie nad Menem.

– To kolejny średniowieczny wielki grünberczyk. Według jednych informacji urodził się w 1561 r. w Słonie niedaleko dzisiejszej Zielonej Góry, według innych źródeł pochodził z Grünberga. Studiował teologię i matematykę na sławnym uniwersytecie kalwińskim w Heidelbergu, gdzie został profesorem i zwolennikiem palatyna reńskiego Fryderyka V. Imię tego władcy warto zapamiętać ze względu na powiązania z innym grünberczykiem. Jemu, to należy Pitiscusowi przypisywać się użycie przecinka w zapisie ułamków dziesiętnych. W historii nauki Pitiscus zapisał się przede wszystkim jako autor terminu „trygonometria” i korektor tabel ułożonych przez Johanna Rheticusa, którymi posługiwał się Mikołaj Kopernik, przygotowując arcydzieło swojego życia *De revolutionibus orbium coelestium*. W uznaniu zasług grünberczyka jego imieniem nazwano krater na Księżycu. Co ciekawe, w niektórych publikacjach Pitiscus jest uważany za Polaka.

– Którego innego grünberczyka pan przed chwilą miał na myśli, przywołując Fryderyka V?

– Trzecim spośród wielkich średniowiecznych grünberczyków, którego nazwisko znajduje się w każdej encyklopedii, był Abraham Schultetus lub Schultes albo Schulte, Schulze, Schulz. Podobnie jak poprzedni mężowie nauki, w literaturze występuje on pod zlatinizowanym nazwiskiem Scultetus. Na okładkach jego książek obok nazwiska znajduje się przydomek Silesius, Grunbergensis lub Grunbergensis Silesius.

– Czy Scultetus był rówieśnikiem Pitiscusa?

– To nie tylko rówieśnik i rodak Pitiscusa, ale i jego uniwersytecki kolega w Heidelbergu. Urodził się w rodzinie luterańskiej, jego ojciec był ławnikiem, matka wnuczką grünberskiego burmistrza Karscha. Identycznie jak Fabri naukę zaczął w miejscowej szkole u Andreasa Ebertusa. Kontynuował ją we Wrocławiu, ale po pożarze

w Grünbergu, który strawił majątek rodziców Abrahama, wrócił do rodzinnego miasta. Nie na długo, bo niebawem wyjechał do Kożuchowa, gdzie został nauczycielem dzieci burmistrza.

– **Próżno znaleźć nazwisko grünberczyka w historii Kożuchowa. Za to bardzo dużo osób o tym nazwisku było w Görlitz. Nawet jedna z ulic tak została nazwana.**

– Görlitz to kolejne miejsce, gdzie przebywał grünberczyk. Tam, identycznie jak w Kożuchowie, udzielał lekcji i sam się kształcił. Jest możliwe, że spotykał się z Jakubem Böhmem, mieszkańcem tego miasta, mistykiem, myślicielem i teologiem, który zapoczątkował nowożytną filozofię. Z Görlitz Scultetus pojechał na studia matematyki, anatomii, etyki i teologii do Wittenbergi. Tam napisał pracę przedstawiającą życie i nauczanie ojców Kościoła od czasów apostoelskich do soboru w Nicei. Kiedy dzieło ukazało się drukiem, został zaliczony do szerokiego grona autorytetów teologicznych, co należy uznać za ogromne wyróżnienie.

– **Miał dopiero 22 lata.**

– Dlatego protektorzy wysłali go na studia do uczelni kalwińskiej w Heidelbergu. To przesądziło o jego związku z ewangelizmem reformowanym. Nawet założył szkołę dla młodzieży szlacheckiej z Niemiec, Francji i Anglii, w której prowadził zajęcia z etyki i astronomii.

– **Przyznawał się do miasta swego pochodzenia?**

– Wielokrotnie odwiedzał Grünberg. Ile razy był w pobliżu miasta, tyle razy wpadał do rodziny i znajomych. Za chwilę, kiedy będziemy rozmawiali o klęsce praskiej, wyjdzie na jaw, że w rodzinnym Grünbergu znalazł schronienie i dlatego uniknął szubienicy.

– **Czy Scultetus był duchownym protestanckim?**

– Heidelberg Fryderyka IV i Fryderyka V to ośrodek kalwiński. W późnym średniowieczu nie uczelnie w Genewie i Lejdzie były centrami nauki kalwińskiej, lecz akademie w Heidelbergu, wszak palatyn reński, jej wspomożyciel, tę wiarę szczerze wyznawał. Wtedy obowiązywała zasada: czyja władza, tego religia. Tam w 1563 roku ukazał się katechizm zwany heidelberskim, będący

jednym z podstawowych dokumentów zawierających doktrynę teologiczną chrześcijaństwa reformowanego. Zanim Scultetus objął uniwersytecką katedrę badań nad Starym Testamentem, szukając stałego zajęcia starał się o miejsce w radzie kościelnej. Zdał więc odpowiedni egzamin, został wyświęcony i objął obowiązki kaznodziei w podheidelberskim Schriesheimie. Był tam bardzo krótko, bo już w 1595 roku dostał się na dwór palatyna. Jako członek konsystorza reńskiego został spowiednikiem elektora Fryderyka IV. Był do tego stopnia człowiekiem zaufanym na jego dworze, że w imieniu władcy wizytował księstwo i podejmował decyzje głównie dotyczące edukacji.

– **Był kimś w rodzaju ministra oświaty.**

– Można tak to nazwać. W tamtym czasie Palatynat Reński, obok Saksonii, należał do wiodących pod względem religijnym księstw niemieckich. Zawdzięczał to z pewnością grünberczykowi, który miał wyjątkowe zdolności organizacyjne.

– **Poprzez małżeństwo kolejnego władcy księstwa Fryderyka V z angielską księżniczką Elżbietą, palatyńska linia Wittelsbachów związała się ze Stuartami.**

– Sprawcą tego związku mógł być jeden z grünberczyków: Pitiscus lub Scultetus. Jak powiedziałem, ten drugi miał ogromny wpływ na to, co działo się na dworze palatyna reńskiego. Świadczy o tym to, że nie Pitiscus, lecz Scultetus towarzyszył Fryderykowi V w drodze do Anglii, gdzie odbył się ślub palatyna z Elżbietą, córką króla Jakuba I Stuarta.

– **Mimo tylu obowiązków Scultetus nadal zajmował się nauką?**

– Na pewno miał ogromny wpływ na decyzje podejmowane przez palatyna. Otrzymał tytuł profesora teologii na heidelberskim uniwersytecie. Pisał rozprawy naukowe, które do dziś zajmują ważne miejsce w chrześcijaństwie kalwińskim. Zbierał materiały do pracy na temat stulecia wyznania protestanckiego. Jemu przypisuje się pomysł ustanowienia Święta Reformacji. Gdy idea dotarła do Wittenberga, tamtejsi teolodzy zaapelowali do elektora saskiego Jana Jerzego II o ustanowieniu obchodów jubileuszowych na dni od 30 października do 2 listopada 1617 roku.

– Pogubiłem się. Scultetus był ewangelikiem wyznania augsburskiego czy reformowanego, nazywanego też kalwińskim?

– Urodził się w rodzinie luterńskiej, w Heidelbergu Wittelsbachów zainteresował się doktryną kalwińską i stał się jednym z najważniejszych jej głosicieli i myślicieli. Kiedy w 1610 roku książę Christian I z Anhalt zorganizował wyprawę wojenną do księstw Jülich, Kleve i Berg, wziął ze sobą Scultetusa jako kapelana polowego. Grünberczyk reprezentował Palatynat Reński na synodzie w niderlandzkim Dordrechcie, uważanym za „jedno z najbardziej interesujących wydarzeń siedemnastego stulecia”, gdzie w pięciu punktach określono zasady protestantyzmu reformowanego. Jako kaznodzieja uczestniczył w delegacji palatyna na koronację cesarza Macieja we Frankfurcie nad Menem. To zaledwie kilka przykładów potwierdzających jego wysoką pozycję w Palatynacie.

– Na synodzie w Dordrechcie raczej nie został dobrze przyjęty.

– Teolog Caspar Barlaeus z kalwińskiego uniwersytetu w Lejdzie zarzucił mu, że nie przyczynił się „zarówno radą jak i działaniem do represji, jakim poddawani są remonstranci”. Chodziło o to, że Scultetus wspierał niderlandzkich remonstrantów, czyli odłam protestancki w łonie Kościoła kalwińskiego. Barlaeus nawet nazwał go „niewolnikiem w kościelnej farsie”.

– Za to na dworze palatyna reńskiego Scultetus miał bardzo silną pozycję. Uważano go za szarą eminencję. Ba, współtworzył antykatolicką politykę Wittelsbachów, czyniąc ich przywódcami sojuszu wojskowego znanego jako Unia Protestantka.

– Z jednej strony czuł się mocny na dworze, ale to odbijało się na jego stosunkach z podwładnymi Ferdynanda V i Elżbiety. Krótko mówiąc, nie był lubiany przez dworzan. Szczególnie to się uwidoczniło w 1620 roku, kiedy palatyn musiał zrezygnować z korony czeskiej, między innymi z powodu decyzji podjętych przez Scultetusa.

– To znaczy?

– Zahacza to trochę o dzieje Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Jagiellonowie zawarli układ wiedeński z Habsburgami. Chodziło o to,

że w przypadku wygaśnięcia czesko-węgierskich Jagiellonów, na tronie zasiądzie władca austriacki. W 1526 roku bezpotomny Ludwik Jagiellończyk poległ pod Mohaczem w wojnie z Turcją. Wtedy na tron praski wstąpił katolik Ferdynand I Habsburg. Władca ograniczył swobody religijne protestanckich Czechów i przywileje stanowe, co doprowadziło do wystąpień. Protestanci czescy wdarli się na zamek hradeczański i wyrzucili przez okna namiestników nowego króla Ferdynanda II. To wydarzenie było przyczyną wybuchu wojny trzydziestoletniej (1618-1648). Wtedy stany będące pod wpływem protestantów wybrały na tron palatyna reńskiego Fryderyka V Sprawiedliwego. Stało się to za podszeptem Scultetusa, który miał powiązania z protestantami czeskimi.

**– Fryderyk V przeniósł się na Hradczany czy rządził Czechami z Heidelberga poprzez swego namiestnika?**

– Jesienią 1619 roku spora część dworu palatyna znalazła się w Pradze. Razem z Fryderykiem pojechał Scultetus, który na Hradczanach poczuł się jeszcze bardziej pewnie niż w Palatynacie. Wprawdzie w Heidelbergu był szarą eminencją, ale w Pradze podejmował decyzje, o których władca często dowiadywał się po fakcie. Podejmował je wbrew podpowiedziom dworu i możliwych czeskich. Szczegółem pewności siebie był spór o obrazy, który w niemałym stopniu doprowadził do detronizacji Ferdynanda.

**– O co poszło, że król musiał opuścić czeski tron?**

– Tuż przed Świętami Bożego Narodzenia 1619 r. Scultetus polecił usunąć katolickie obrazy i relikwie z czeskich kościołów. Wychodził z założenia, że skoro władca jest protestantem, to nie powinno być w kraju niczego, co katolickie. Nie wiadomo czy za wiedzą króla, bo pewnie nie na jego polecenie, ten oświecony uczonością grünerczyk w Wigilię 1619 r. kazał wyłamać drzwi do katedry Świętego Wita na Hradczanach, która była kościołem zamkowym, zniszczyć wszystko, co było ważne dla katolików. Na jego polecenie usunięto nie tylko obrazy, lecz i relikwie kanonizowanych. Wysłannicy Scultetusa nawet splądrowali grób świętego Jana Nepomucena. Mało tego, kilka dni później rozkazał zburzyć ołtarz Maryjny, arcydzieło powstałe w pracowni Lukasa Cranacha zwanego Młodszym.

**– Z pewnością tymi decyzjami wywołał oburzenie katolickiej części Czechów.**

– Scultetus, wychowany w duchu protestanckim, pewny siebie, nie przypuszczał, do czego doprowadzi swoimi poleceniami. Był zago-rzałym wrogiem wszystkiego co katolickie, ale i nie oszczędzał lu-teran. Z nabożnością traktował kalwinistów. Do tego stopnia przy-służył się temu odłamowi protestantyzmu, że do dziś jego prace są źródłem kalwińskiej myśli religijnej.

**– Wtedy Habsburgowie rozpoczęli walkę o tron czeski. Doszło do bitwy na Białej Górze w listopadzie 1620, gdzie wojska protestanckie zostały pokonane przez siły cesarsko-bawarskie. Właściwie dopiero wtedy rozpoczęła się wojna trzydziestoletnia.**

– Na pomoc katolickim Czechom ruszyły wojska habsburskie, wsparte przez oddziały bawarskie, hiszpańskie i polskie. Protestan-cką armię pod dowództwem Krystiana I księcia Anhalt-Bernberg pobiły na Białej Górze. Po tym Habsburgowie nie tylko ograniczyli swobody religijne w Czechach, ale i zaczęli przymusową rekatoli-zację. Cudzoziemcy zaczęli zastępować czeską arystokrację, z czym Czesi nie chcieli się pogodzić.

**– Co się stało z królem Ferdynandem V? Co ze Scultetusem?**

– Zdetronizowany i ośmieszony Fryderyk przeszedł do historii Bo-hemii jako „król zimowy”. Władca najpierw uciekł do Wrocławia, a potem do Holandii, gdzie przebywał u rodziny swojej matki. W 1623 roku cesarz pozbawił go tytułu elektorskiego. Nie będzie przesadą wyciągnięcie następującego wniosku: w doprowadzeniu do bitwy na Białej Górze nie miały udziału Scultetus. Grünberczyk, ten wilk kalwiński albo rozsierzdzone bestia, jak nazwał go niezna-ny z imienia kronikarz czeski, zatrzymał się w Grünbergu. Razem z nim do miasta na winnych wzgórzach dotarł w popłochu orszak zdetronizowanej królowej Elżbiety ze Stuartów.

**– To było w 1620 roku. Jeszcze przez z górą sto lat władzę w mieście będą sprawowali wiedeńscy Habsburgowie.**

– Grünberg, jak i księstwo głogowskie, a wraz nimi Śląsk, od 1489 roku najpierw należał do władców czeskich, potem wiedeńskich –

jak całe Austro-Węgry. Dopiero w 1740 miasto i Śląsk zajęli Prusacy. Przy okazji warto wspomnieć, że w bitwie pod Wiedniem w 1683 roku między wojskami polsko-austriacko-niemieckimi pod dowództwem króla Jana III Sobieskiego a armią turecką uczestniczyli grünberczycy jako podwładni Habsburgów.

**– Wróćmy do Scultetusa. Jakie były jego losy?**

– Popadł w niełaskę nowego władcy Palatynatu, którym był książę Bawarii Maksymilian I. Chciał wrócić na uczelnię w Heidelbergu. Nie udało się. Chciał być bliżej dworu. Został odtrącony. Dopiero w 1622 roku dostał posadę kaznodziei w Emden we Fryzji, gdzie trzy lata później zmarł.

**– Dziękuję za rozmowę.**

## Ważniejsze daty w dziejach Grünberga i Zielonej Góry

- 1302 – 5 marca: pierwsza pisemna wzmianka o Grünbergu w dokumencie sygnowanym przez księcia głogowskiego Henryka III, dotycząca wsi Henrichesdorf [Jędrzychów], położonej *in territorio Grunenbergensis*
- 1314 – wielka zaraza; ocaleni mieszkańcy w dowód wdzięczności postawili kapliczkę Maryjną na Winnicy (dziś ul. Aliny)
- 1456 – pierwszy udokumentowany pożar miasta
- 1477 – 24 lipca: bitwa pod Leśniowem, w której grünberczycy pokonują agresorów z Krosna
- 1479 – sukiennicy otrzymali przywilej cechowy
- 1487 – budowa wieży przy Bramie Nowej (wieża Głódowa)
- 1488 – pożar zamku
- 1504 – sukiennicy otrzymali przywilej zezwalający na sprzedawanie sukna w Polsce
- 1506 – stanęły pierwsze murowane domy w mieście
- 1526 – w Grünbergu zaczął się rozszerzać luteranizm
- 1527 – pierwsza wzmianka o szpitalu
- 1537 – ewangelicy przejęli szkołę parafialną
- 1540 – powstał cmentarz Świętej Trójcy (w miejscu dzisiejszego placu Słowiańskiego)
- 1554 – pierwsza wzmianka o wieży kościoła pw. Świętej Jadwigi
- 1614 – 5 lipca: cesarz Maciej potwierdził *Statut Grunbergenese* z 1467 r., nadany miastu przez Henryka IX
- 1640 – początek procesów czarownic w Grünbergu
- 1648 – w Grünbergu mieszkało 10 tys. osób
- 1651 – wielki pożar miasta, spaliło się 660 domów
- 1679 – powstała nowa, 90-metrowa wieża kościoła pw. Świętej Jadwigi (dzisiejsza ma 43 m)
- 1740 – 16 grudnia: wojska pruskie zajęły Grünberg liczący 3,5 tys. mieszkańców
- 1746 – początek budowy kościoła znanego dziś jako pw. Matki Boskiej Częstochowskiej
- 1763 – Grünberg został miastem garnizonowym
- 1784 – powstał plan Büttnera, najstarszy zachowany plan miasta
- 1797 – 21 czerwca: Rada Miejska wydała przepisy regulujące naukę i pracę w zawodzie winiarza



- 1800 – w Grünbergu mieszkało 8321 osób
- 1816 – Anglik O'Brien założył przędzalnię wełny, w której wykorzystano napęd wodny
- 1825 – zaczął ukazywać się tygodnik „Grünberger Wochenblatt”
- 1826 – powstała wytwórnia win musujących Gremplera
- 1853 – zostało uruchomione Gimnazjum Realne (na dzisiejszym pl. Słowiańskim)
- 1860 – początek budowy wieży dziś zwanej Braniborską
- 1876 – Georg Beuchelt i Albert Ribbeck kupili zbankrutowaną manufakturę, która dała początek fabryce mostów i wagonów, późniejszemu Zastalowi
- 1878 – Anglicy Oldroyd i Blakeley wykupili fabrykę, która po 1945 r. przyjęła nazwę Polska Wełna
- 1886 – powstała wytwórnia koniaków Heinricha Raetscha
- 1900 – w Grünbergu mieszkało 21 tys. osób
- 1904 – zgromadzenie zakonne Bethesda rozpoczęło budowę szpitala przy dzisiejszej ul. Wazów
- 1917 – poświęcono kościół znany dziś jako pw. Najświętszego Zbawiciela
- 1922 – odbyły się obchody 700-lecia miasta, utworzono muzeum miejskie
- 1929 – początek budowy miejskiej kanalizacji
- 1931 – odbyło się otwarcie teatru miejskiego (dziś Lubuski Teatr)
- 1938 – 9 listopada: podczas Nocy Kryształowej naziści podpalili synagogę przy dzisiejszym pl. Powstańców Wielkopolskich
- 1945 – 14 lutego: miasto zajęła Armia Czerwona
- 1945 – 12 maja: w mieście rozpoczęła działalność grupa Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów
- 1945 – 6 czerwca: początek administracji polskiej w Zielonej Górze, burmistrzem został Tomasz Sobkowiak
- 1950 – 28 czerwca: Zielona Góra stała się stolicą województwa zielonogórskiego
- 1951 – 24 listopada: *Zemstą* Fredry rozpoczął działalność Państwowy Teatr Ziemi Lubuskiej
- 1952 – 1 września: zaczęła się ukazywać „Gazeta Zielonogórska” (później „Lubuska”)
- 1954 – 1 stycznia: powstała Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna (dziś im. Cypriana Norwida)

- 1956 – 29 maja: koncert inaugurujący działalność Zielonogórskiej Orkiestry Symfonicznej
- 1957 – 21 stycznia: Zielonogórska Rozgłośnia Polskiego Radia weszła w eter programem inauguracyjnym
- 1960 – 9 maja: Zielona Góra przekroczyła 50 tys. mieszkańców
- 1960 – 30 maja: miało miejsce starcie mieszkańców z milicją, które przeszło do historii jako wydarzenia zielonogórskie
- 1965 – 3 czerwca: powołanie Wyższej Szkoły Inżynierskiej
- 1971 – 20 lipca: powołanie Wyższej Szkoły Nauczycielskiej
- 1974 – 15 lutego: Zielonogórska Orkiestra Symfoniczna została podniesiona do rangi filharmonii
- 1975 – 1 czerwca: w wyniku podziału Polski na 49 województw, województwo zielonogórskie zostało pomniejszone
- 1978 – 9 marca: pierwsi zielonogórzanie otrzymali nominacje profesorskie – dr Stanisław Kołaczkowski, dr hab. Michał Kisielewicz, dr hab. Marian Eckert i dr hab. Wojciech Pasterniak
- 1992 – 25 marca: papież Jan Paweł II przeniósł siedzibę biskupią z Gorzowa do Zielonej Góry i zmienił nazwę diecezji na zielonogórsko-gorzowską
- 1999 – 1 stycznia: utworzenie województwa lubuskiego z siedzibą marszałka i sejmiku w Zielonej Górze oraz wojewody w Gorzowie
- 2001 – 1 września: utworzenie Uniwersytetu Zielonogórskiego
- 2014 – 29 lipca: Rada Ministrów zdecydowała o włączeniu gminy wiejskiej do miasta. Od 1 stycznia 2015 Zielona Góra będzie liczyła 138 tys. mieszkańców



*Georg Philipp Telemann – fragment pomnika  
przy ratuszu w Żarach*

## **Georg Philipp Telemann**

Urodził się 14 marca 1681 w Magdeburgu, zmarł 25 czerwca 1767 r. w Hamburgu. Ukończył prawo na uniwersytecie w Lipsku, gdzie po studiach pracował jako organista i był dyrektorem muzycznym teatru. W 1705 został kapelmistrzem hrabiów Promnitzów w Sorau (pol. Żary). Potem przebywał w Pless (pol. Pszczyna), podróżował do Krakowa i Warszawy, gdzie interesował się polską muzyką ludową. Od 1708 mieszkał kolejno w Eisenach, Frankfurcie nad Menem i Hamburgu. Jest uważany za jednego z najważniejszych twórców operowych późnego baroku. Jako kompozytor samouk stworzył ponad 3 tys. utworów, m.in. 50 oper, 35 oratoriów, 15 mszy.

## **PRAWNIK, KTÓRY BYŁ KAPELMISTRZEM**

**Rozmowa z Georgiem Telemannem,  
kompozytorem i dyrygentem**

**– Czy pan przyjaźnił się z Bachem? Z Janem Sebastianem Bachem?**

– Bach pewnie coś wiedział o mnie. Ja o nim bardzo dużo. Gdy byłem kapelmistrzem na dworze w Eisenach, a on sprawował obowiązki koncertmistrza w kapeli księcia Wilhelma Ernsta w Weimarze, kilka razy wymieniliśmy ukłony. Wielki Jan Sebastian nie przyjaźnił się z nikim, ze środowiska muzycznego. Artyści tej rangi co Bach nie mają przyjaciół wśród artystów. Na ogół w ich świecie pierwsze skrzypce gra zazdrość.

**– Mimo to pan zawsze chciał zostać twórcą utworów muzycznych?**

– Do obowiązków każdego człowieka należy posłuszne wykonywanie woli tego, który jest nad nami. Pana Wszechmogącego. Moja rodzina od pokoleń była silnie wierząca, chrześcijańska w tradycji luteranńskiej. Mama i ojciec wychowali się w rodzinach pastorów. Mnie także rodzice usiłowali przeznaczyć do tej posługi, ale Pan zdecydował inaczej, obdarzając mnie talentem muzycznym. Nie umiejętnościami kantora, nie uzdolnieniami organisty jak ojca, a najprawdziwszym talentem kompozytorskim. Rodzice dziwili się, że jako kilkuletnie dziecko potrafiłem zagrać na skrzypcach, flecie, cytrze, organach. Brałem instrument do ręki i grałem bez przygotowania.

– Na pewno nikt panu nie tłumaczył, jak zapisywać dźwięki na papierze nutowym, żeby inni mogli je odtworzyć?

– Ojciec był kaznodzieją i organistą. Gdy miał ochotę i czas, pokazywał, jak mam trzymać instrument, co trzeba zrobić, żeby dźwięki powstające w głowie muzyka były miłe uchu słuchacza. Jako dziecięciolatek wywołałem konsternację dziadków, gdy podczas rodzinnej uroczystości dowiedzieli się, że stworzyłem operę *Sigismundus*. Już jako dorosły kompozytor uważałem tamten dziecięcy utwór za zupełnie poprawny. A mimo to mama nie chciała, abym rozwijał się muzycznie. Zawód muzyka nie zapewni mu chleba w dostatecznej ilości – przekonywała ojca. Co innego służba jako pastor.

– W żadnym pana życiorysie ani w autobiografii nie ma mowy o tym, że spełnił pan oczekiwania matki.

– Po ukończeniu gimnazjum zapisałem się na studia prawnicze w Lipsku. Nie było to po myśli mamy, ale jako rejent czy mecenas, przy odrobinie szczęścia może i sędzia, mógłbym mieć gwarantowane dochody. Prawo miało i tę przewagę nad innymi profesjami, że otwierało drogę do urzędów, co z kolei oznaczało spełnienie oczekiwań ojca.

– Otrzymawszy dyplom magistra praw, zdaje się, nigdy go pan nie wykorzystał.

– Jeszcze jako student przy lipskim kościele Świętego Mateusza założyłem wraz z kolegami niewielką orkiestrę z chórem Collegium Musicum. Oprócz moich kompozycji zespół prezentował utwory innych autorów. Koncerty odbywały się przeważnie w środowisku uniwersyteckim. *Notabene* moim następcą został Jan Sebastian Bach, pod którego kierownictwem Collegium Musicum wyszło poza uniwersyteckie mury Lipska. Tworzyłem także dla miejscowych świątyń, głównie dla kościoła, którego późniejszym patronem został Święty Tomasz i gdzie Bach dostał posadę organisty. Moje kompozycje przyciągały wiernych, szczególnie zamożniejszych mieszczan, ponieważ słyszeli w nich dźwięki operowe, wtedy bardzo modne. Nie bez znaczenia dla mojej błyskawicznej kariery było i to, że komponowałem dla lipskiej opery, co w 1703 roku spowodowało przekazanie pod moje kierownictwo części muzycznej tej placówki.

– Czy tam, w lipskiej operze, kompozycji pana słuchał właściciel państwa stanowego Żary-Trzebiel?

– Tego nie wiem. A dlaczego pan pyta?

– Pytam dlatego, że w 1705 roku odpowiedział pan na propozycję hrabiego Erdmanna II Promnitz, godząc się zostać kapelmistrzem orkiestry na jego dworze.

– Nie potrafię odpowiedzieć, jaką drogą dotarła do mnie ta propozycja. Prawdę mówiąc, to wtedy niewiele wiedziałem o majoracie Sorau-Triebel. Ale propozycję przyjąłem z zadowoleniem. Z jednej strony uznałem to za wyróżnienie, z drugiej chciałem zmienić środowisko i mieć więcej czasu na komponowanie, tym bardziej że hrabia obiecał zapewnić mi wikt, opierunek i w miarę przyzwoite dochody.

– Co pan wiedział o Erdmannie II Promnitzu?

– To, że jest z rodu Promnitzów, właścicieli państw stanowych Sorau-Triebel i Pless. Pierwsze leży na pograniczu śląsko-łużyckim, drugie na Śląsku przy granicy z Małopolską. I że kiedy wybierałem się na dwór Promnitzów, władzę w obu państwach sprawował hrabia Erdmann II.

– Czy hrabia wysłał po pana kogoś ze swojego dworu?

– W drodze z Lipska do Sorau towarzyszył mi Andreas Gottlob von Maks, właściciel majątku Jeziory Dolne, szambelan królewski i burgrabia. Od niego dowiedziałem się, że zanim biskup Baltazar Promnitz stworzył państwo stanowe Sorau-Triebel, posiadłość należała do Bibersteinów, którzy postawili ogromny zamek w centrum Sorau. Po bezpotomnej śmierci ostatniego z rodu majątek przejął król Czechów. Osadzony na nim jako zarządca Fabian von Schönaich chciał kupić dobra. Z taką samą ofertą wystąpił Fryderyk von Brandenburg-Ansbach. Ponieważ żaden nie miał zamiaru ustąpić, w 1558 roku biskup Baltazar Promnitz z Breslau za 124 tysiące złotych reńskich kupił majorat i przekazał go w ręce swego krewnego Zefirida z wichowskiej linii Promnitzów.

– Wcześniej, bo w 1548 roku ten sam biskup kupił państwo stanowe Pszczyna.

– Pan von Maks powiedział mi, że ksiądz biskup Baltazar w Pless osadził tam innego swego krewnego, Stanisława z lasocińskiej linii rodu Promnitzów. Tak więc oba majoraty, odległe od siebie o trzysta kilometrów, poprzez rodzinę należały do biskupa z Breslau.

– Zdobył pan wykształcenie prawnicze, zatem umie wyjaśnić laikowi, co to jest majorat.

– Nie nabyłem pełnych kwalifikacji prawniczych, byłem jedynie *adeptus iurisprudentiae*. Odpowiadając na pytanie, nie będę się wdawał w zawiłości prawne. Majorat oznacza, że posiadłości nie wolno dzielić między dzieci. Dziedzicem może zostać najstarszy syn lub krewny zmarłego właściciela w przypadku braku potomków w linii męskiej.

– Majorat i państwo stanowe oznaczają to samo?

– Państwa stanowe pojawiły się w XV wieku na Śląsku po wygaśnięciu rodów Piastów i Przemyślidów. Stało się to za rządów Macieja Korwina, króla Węgrov i Czechov. Wtedy dawne księstwa śląskie zaczęły przechodzić w ręce dynastii niepanujących. Ich właściciele nie podlegali książętom, a wprost królowi, z czasem cesarzowi wiedeńskiemu, który był władcą ziem czeskich. Sorau-Triebel od strony zachodniej graniczyło z państwami stanowymi Muskau i Forst-Pforten, od południowej z Seidenberg-Reibersdorf i od wschodu z dobrami należącymi do księstwa żagańskiego.

– Pamięta pan ten dzień, kiedy postawił nogę na żarskim bruku?

– Było to ostatniego dnia lipca 1705 roku. Ponieważ wtedy hrabia Erdmann jako dworzanin towarzyszył królowi Augustowi w jakiejś wyprawie na północ, zatrzymałem się w Hotelu de Pologne. Pierwsze, co mnie uderzyło w oczy, to miasteczko zadbane, uporządkowane, pełne soczystej zieleni, mimo że było to upalne lato. Liczyło coś trzy tysiące dusz, a wyglądało jak Lipsk wokół opery. W samym środku Sorau stał zamek, jak mi powiedziano podczas pierwszego spotkania przy stole, wzniesiony przez Bibersteinov na miejscu, gdzie stała budowla Dewinov, przebudowany i powiększony tak, żeby pełnił funkcję rezydencji Promnitzov. Wtedy, kiedy wysiadłem z powozu, jeszcze nie było tego wspaniałego pałacu. Pan von Maks dyskretnie szepnął mi do ucha, że hrabia Erdmann

już zamówił projekt nowej siedziby rodu, która przyćmi zamek w Muskau, pałac Nostitzów w Reibersdorfie, a nawet żagański pałac Lobkowitzów. Będzie równa co najmniej pszczyńskiej siedzibie Promnitzów.

– Hrabia Erdmann objął księstwo rok przed przyjazdem pana do Żar. I już miał tak dalekosiężne plany?

– Erdmann kontynuował to, co zaczęli jego poprzednicy. Proszę sobie wyobrazić, że przodek hrabiego Baltazar założył bibliotekę kościelną porównywalną z książnicami zakonnymi czy uniwersyteckimi, nazywaną Promnische Bibliothek. Widziałem tam manuskrypty i druki najznakomitszych humanistów niemieckich, niderlandzkich, włoskich. Moją ciekawość wzbudziły takie dzieła jak *Statuta Regni Poloniae* Jana Herbuta, *Correctura Iurium* Taszyckiego i *Historia Polonica* Jana Długosza. Widziałem też *Psałterz* Jana Kochanowskiego, *Dworzanina* Łukasza Górnickiego i nawet *Władysława IV* Samuela ze Skrzypny.

– Historycy twierdzą, że Baltazarowi i Erdmannowi udało się odbudować zniszczenia wywołane przez wojnę trzydziestoletnią i na fali entuzjazmu cechującego mieszkańców umocnić majorat. Zgadza się pan z ich zdaniem?

– Nie wiem, jakie zniszczenia spowodowała wojna trzydziestoletnia na ziemi między Nysą i Bobrem. W 1705 roku, kiedy znalazłem się w mieście, prezentowało się ono znakomicie. Leżało na szlaku handlowym z Saksonii do Polski i do Czech przez Breslau. W Sorau rozwijało się rzemiosło włókiennicze, co mnie zaskoczyło, piwowarstwo, w okolicznych wsiach przybywało nowoczesnych upraw. Ponadto to przecież niewielkie miasto miało charakter wiodącego ośrodka życia kulturalnego.

– Czym odróżniał się żarski dwór Erdmanna Promnitzza od innych dworów w okolicy?

– Należące do hrabiego Erdmanna Pless i Sorau uchodziły za jedno z najświetniejszych sasko-polskich rezydencji magnackich. W pałacu w Sorau nie tylko panował przepych, ale i obowiązywały zasady niespotykane w posiadłościach innych, również znamienitych rodów. Promnitzowie czerpali wzory z królewskiego dworu Sasów, a ci



z monarchii Ludwika XIV, który był rzeź „Państwo to ja”. Czteroskrzydłowy pałac w Sorau zaprojektował Giulio Simonetti, budowniczy kościołów między innymi w Glogau i Sagan, oraz Johann Spanninger. Na wysokości drugiej kondygnacji architekci przerzucili murowany ganek łączący pałac z zamkiem. Bogaty wystrój sztukatorski wewnątrz to dzieło Piotra Dallingera i Heinricha Schultzego, rzeźby wykonał Jan Bauch. Pałacowe wnętrza zdobiły płaskorzeźby, plafony, kominki, meble pochodzące z najlepszych pracowni. Według projektu Simonettiego na północ od rezydencji powstał pałac ogrodowy zwany letnim. W głównej budowli, oprócz sali koncertowej, znajdowała się bogata galeria malarstwa. Nie potrafię zliczyć włoskich i francuskich zespołów operowych i baletowych, które często prezentowały się w pałacu.

– **A ponadto była tam orkiestra pod pana dyрекcją.**

– Zanim przyjechałem do Sorau, wiedziałem, że na dworach są kapelle, ale na dworach znaczących i zamożnych władców. Utrzymanie nawet kilkusobowej orkiestry, która dawała kilka koncertów rocznie, było kosztowne. Z drugiej strony kusiło, bo podkreślało zamożność i nowoczesność władcy. Takimi byli nie tylko Baltazar i Erdmann II Promnitzowie, lecz i, tak to odbierałem, ich poprzednicy. Zaczęło się chyba od Erdmanna I, który w 1662 roku poznał Wolfganga Printza w Dreźnie i tam zaproponował mu prowadzenie pałacowej orkiestry. Jednakże niespodziewana śmierć Erdmanna spowodowała, że zamiast obiecanej funkcji kapelmistrza, Printz został kościelnym kantorem w Triebel. Cierpliwie czekał i w 1668 r. się doczekał. Został dyrektorem dworskiej orkiestry, co było jego największym marzeniem. Printz w teorii muzyki to postać pierwszorzędna.

– **Gdyby nie rozgłos, jaki uzyskał Printz w Lipsku, pan pewnie nie przyjechałby do Żar.**

– Słusznie. Promnitzowie ściągnęli go na swój dwór po to, żeby zaczął tworzyć naprawdę elitarnie środowisko muzyczne, o którym będzie głośno w Pradze, Dreźnie, Warszawie. Printz w sprawie twórczości miał bardzo dużo do powiedzenia, z jego zdaniem się liczone, wszak napisał znakomite kompendia dotyczące komponowania i śpiewania. Jego pióra był czteroczęściowy poradnik *Idea*

*dobrego komponowania*. Inne poradniki, między innymi *Arkana muzyki*, *Muzyka teoretyczna*, *Zintegrowana sztuka tworzenia pieśni* były mi znane jako manuskrypty. Korzystałem z nich, ale pozostawałem wierny swojej szkole komponowania, opartej na melodyjnym sposobie traktowania utworu.

**– Dobrze pan poznał Printza? Może dochodziło pomiędzy nim i panem do dyskusji na temat teorii muzyki?**

– Printz był moim przewodnikiem po mieście i państwie. Nie mogę powiedzieć, że się zaprzyjaźniliśmy, ale i nie byliśmy zwalczającymi się przeciwnikami. Dużo się od niego nauczyłem, mimo że był ostrożny i nieufny wobec nowych prądów w muzyce. Niech pan nie pyta, czy jego konserwatyzm czasem mnie denerwował. Tak, a szczególnie wtedy, gdy ubolewał nad kompozycjami, które przedstawiałem mu do wykonania przez orkiestrę. Nie oznaczało to, że w ogóle nie przyjmował nowości. Kiedyś zdradził mi, że ma pomysł, jak wykorzystywać muzykę w życiu społecznym. Choćby że tą drogą można wysyłać rozkazy na pola bitewne. Albo śledzić decyzje podejmowane przez ministrów.

**– Rok po pana przyjeździe do Żar w mieście osiadł Erdmann Neumeister, który został proboszczem parafii przy kościele Mariackim i w randze superintendenta zwierzchnikiem okolicznego duchowieństwa.**

– Neumeister był luterańskim dogmatykiem ostro zwalczającym odstępstwa od wiary, ale dla mnie liczył się przede wszystkim jako ten, który zreformował kantatę kościelną. Napisał grubo ponad sto prac teologicznych i literackich, ułożył około siedmuset pieśni tłumaczonych na główne języki europejskie, także na polski. Do jego pierwszego i trzeciego cyklu poezji skomponowałem muzykę... Wcześniej wspomnieliśmy o Bachu.

**– Ciekawiło mnie, czy pan z nim się przyjaźnił.**

– Na tamto pytanie przecież odpowiedziałem.

**– To skąd ten nawrót do Bacha?**

– Kantaty Neumeistera były tak nowatorskie, że zainteresował się nimi nawet Bach, uważany za najwybitniejszego kompozytora

niemieckiego baroku, a to oznaczało sławę. Mimo że dźwięki powstające w mojej głowie także odtwarzały orkiestry, nie byłem tak znany jak Bach. Nie miałem tego szczęścia.

– Sprowadzając pana do Żar, hrabia Erdmann miał w tym konkretny cel?

– Najkrócej można to tak wyjaśnić: hrabia chciał uchodzić za pierwszego wśród siebie równych. I za mecenasa sztuki. Proszę wziąć pod uwagę to, że hrabia był dworzaninem królewskim i że był w najbliższym otoczeniu władcy Saksonii i Polski.

– To był jedyny cel hrabiego? Czyżby nie wyznaczył panu konkretnych zadań?

– Kapela dworska nie była liczny zespół. Gdy hrabia życzył sobie urządzenie większego koncertu, wtedy powiększałem ją o instrumentalistów z Lipska, Pragi, Wiednia, Warszawy. Do moich podstawowych obowiązków jako kapelmistrza należało rozpisywanie nut, prowadzenie kapeli przygotowującej oprawę muzyczną nabożeństw w kaplicy pałacowej i uroczystości dworskich, gra na organach oraz komponowanie.

– W spisanej przez Worbasa historii Żar natknąłem się na informację, że w końcu września 1705 roku król polski i elektor saski August II w drodze z Warszawy do Drezna gościł na dworze Promnitzów.

– Do dyspozycji dworu królewskiego hrabia Erdmann oddał swoją rezydencję. Główna część orszaku towarzyszącego władcy została zakwaterowana w apartamentach na zamku. Ci mniej ważni byli ulokowani w domach znaczących mieszczan i w Hotelu de Pollogne. Wtedy hrabia Promnitz olśnił króla i całe towarzystwo nie tylko wspianiałym powitaniem, lecz i bogactwem. Były polowania, wyborna kuchnia, rozmowy, a wieczorem przedstawienia teatralne i muzyka.

– W opracowaniach o pana twórczości przeczytałem, że hrabia był zafascynowany polską muzyką ludową. Historyk profesor Majchrzak pisze, że sprowadził pana na dwór Promnitzów

między innymi po to, żeby pan poznał polską muzykę i ją upowszechniał.

– Jest w tym racja o tyle, że rzeczywiście urzekła mnie twórczość ludowa poznana na ziemi małopolskiej. W Sorau przebywałem do połowy 1706 r., skąd pojechałem do drugiej siedziby Promnitzów w Pszczynie. Robiłem tam to samo, co w Sorau, czyli głównie dyrygowałem orkiestrą i grałem na kościelnych organach, ale i poznawałem muzykę polską. Stamtąd miałem blisko do Krakowa i Warszawy. Przyznam się z ręką na sercu, że byłem pod wrażeniem tych nieznanych mi wcześniej dźwięków. Do tego stopnia wdarli się one do mojej głowy, że nie umiałem się z nich wyzwolić.

– To i dlatego kilka pańskich kompozycji ma w tytułach polskie określenia?

– Nie wypieram się, że zacząłem się skłaniać ku polskiemu stylowi muzycznemu. Napisałem ogromną ilość utworów, tytuły niektórych wyleciały mi z głowy. Odpowiadając na pana pytanie, wspomnę tylko o tych, które w tej chwili mi się przypominają. Będzie to zatem muzyka kameralna składająca się z sześciu partit *alla polacca* na skrzypce, flet i klawesyn oraz suita *Partie Polonaise*.

– Po dwuletniej nieobecności w Żarach wrócił pan do miasta. Na długo?

– Wróciłem i tego żałowałem. Stało się coś, czego nie mogłem zrozumieć. Osłabło zainteresowanie muzyką na dworze w Sorau. Hrabia Erdmann pewnie miał jakieś problemy, które zajmowały go całymi dniami. Może chodziło o to, że nikt nie potrafił odpowiedzieć, czy August II jeszcze jest królem Polski, czy zadania monarsze już przejął Stanisław Leszczyński.

– Przecież August zrzekł się korony.

– Po wybuchu wojny północnej i zajęciu Warszawy w 1704 roku przez Szwedów polska szlachta zdetronizowała Augusta II. Kandydatem władcy szwedzkiego Karola XII na polski tron został Leszczyński, ale wtedy król August II nie miał zamiaru abdykować. Zanim do tego doszło w 1706 roku, w Rzeczypospolitej trwała wojna między zwolennikami Leszczyńskiego i Augusta. Sas zrzekł

się korony po przegranej bitwie pod Wschową. Nie na zawsze, bo w 1709 r. władca z rodu Wettynów wrócił na tron polski.

– **Wtedy pana już nie było w Żarach.**

– Jesienią 1708 roku opuściłem to urocze miasto. W Eisenach dostałem posadę koncertmistrza i dyrygenta kapeli na dworze Johanna Ernesta Weimarskiego.

– **Dziękuję za rozmowę.**

## **Ławeczka Telemanna**

Od 16 kwietnia 2010 r. na żarskim Rynku stoi ławka, na niej „siedzi” młody kompozytor i dyrygent Georg Philipp Telemann. Autorem rzeźby odlanej w brązie jest krakowski artysta Marek Szala. Metalową ławeczkę wykuł żarski rzemieślnik Kazimierz Polak.

## **Muzeum Pogranicza Śląsko-Łużyckiego w Żarach**

Tradycje muzealnictwa żarskiego sięgają drugiej połowy XIX wieku. W 1888 r. towarzystwo historyczne zorganizowało pierwszą ekspozycję stałą, z czasem przekształconą w muzeum regionalne. W 1930 r. zbiory przeniesiono do odrestaurowanego zamku. W kwietniu 1944 r. podczas nalotów amerykańskich zostało zniszczone jedno ze skrzydeł budowli. Mimo że zbiory zostały zabezpieczone, po zakończeniu wojny uległy rozproszeniu. Niewielka część kolekcji znalazła się w muzeum nowosolskim. Gospodarze placówki twierdzą, jej większa część znajduje się w piwnicach jednej z uczelni lubelskich bądź w magazynach polskich i zagranicznych muzeów. Po wielu eksponatach wszelki ślad zaginął. Wielokrotnie podejmowano próbę zorganizowania placówki muzealnej w mieście. Dopiero w 2002 r. udało się utworzyć Muzeum Pogranicza Śląsko-Łużyckiego. Pamiątki po zlikwidowanych jednostkach wojskowych zgromadzono w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sali Tradycji Wojska Polskiego w Żarach 1945-2001. W 2005 r. przy pomocy kolekcjonerów prywatnych utworzono Gabinet Historii Miasta.

Muzeum jako samodzielna placówka funkcjonuje od 1 lipca 2013 r. Są w niej prezentowane wystawy tematyczne: żarska porcelana, przemysł szklarski i włókienniczy, górnictwo węgla brunatnego, zabytki archeologiczne, żarskie piwowarstwo i garnizon wojskowy po 1945 r.

Placówka mieści się przy ul. Ogrodowej 2,  
tel. 68 363 83 70, e-mail [muzeumzary@wp.pl](mailto:muzeumzary@wp.pl),  
[www.muzeumzary.pl](http://www.muzeumzary.pl).

Muzeum jest otwarte

od wtorku do piątku w godzinach 10.00-16.00,

w soboty w godzinach – 12.00-16.00 i niedziele – 14.00-18.00.



*Albert Severin – ilustracja ze zbiorów Muzeum  
Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze*

### **Albert Severin**

Urodził się w 1851 r. w Grünbergu (pol. Zielona Góra), zmarł 17 sierpnia 1934 w Grünbergu. Po studiach architektonicznych w berlińskiej Bauakademie rozpoczął pracę w biurze architekta miejskiego w Insterburgu w Prusach Wschodnich, potem był dyrektorem szkoły budowlanej. W 1888 r. objął urząd architekta i szefa policji budowlanej w Grünbergu. Sprawował go przez 32 lata. Był jednocześnie autorem wielu projektów, m.in. budynku starej filharmonii, szkół, budowli zwanej wieżą Bismarcka. Jego imieniem został nazwany park na południowo-zachodnim skraju miasta.

## **MIASTO OGRODÓW**

**Rozmowa z Albertem Severinem,  
architektem i urbanistą**

**– Zgadza się pan, żebym nazwy ulic i placów w Grünbergu końca XIX i początku XX wieku podawał po polsku? To wyłącznie ze względu na polskiego czytelnika.**

**– (przytaknięcie głową)**

**– Po studiach w Berlinie nie wrócił pan w rodzinne strony, a wyjechał do Insterburga, wschodniopruskiego miasta dwa razy większego od Grünberga.**

**– To, że Insterburg był dwa razy większy od Grünberga, nie miało żadnego znaczenia w podjęciu tej decyzji. Gdyby czekała na mnie praca w rodzinnym mieście lub w którejś z okolicznych miejscowości, pewnie przyjąłbym ją bez namysłu. Skorzystałem z propozycji architekta miejskiego w Insterburgu, który poszukiwał współpracownika z dyplomem akademickim. Nie żałowałem tego, ponieważ sporo nauczyłem się pod jego okiem. Miałem też możliwość projektowania. Według mojego pomysłu stanął kościół garnizonowy i kompleks zabudowań szpitalnych w Insterburgu. Zielone promenady otaczające miasto najpierw powstały w mojej głowie. Przed wyjazdem z miasta zaprojektowałem nowoczesny gmach szkoły rzemiosł budowlanych, którą kierowałem.**

**– Ciągnęło pana w rodzinne strony?**

**– Szczerze?**



– **Zgadłem?**

– Nie służył mi tamtejszy klimat, zwyczaj, jakiś taki chłód w codziennych kontaktach ludzi. Nie umiałem się przyzwyczaić do surowego, ceglanego budownictwa, bliskiego temu, co można zobaczyć w Skandynawii. Na studiach w Berlinie nauczyłem się odmiennych rzeczy, a czegoś innego oczekiwali ode mnie inwestorzy w Prusach Wschodnich.

– **Wie pan, że pokrzyżackie miasto Insterburg, położone nad Instruczem albo Wystruczem, było też w granicach Rzeczypospolitej? Nosiło wtedy polską nazwę Wystruć lub litewską Isrutis.**

– Nie zauważyłem śladów polskich czy litewskich. To było wschodniopruskie miasto powiatowe.

– **Czy myślał pan o wyjeździe?**

– Czas uciekał, a ja jeszcze nawet nie zbliżyłem się do tego, co było moim celem. I wtedy gospodarz Insterburga powiedział mi, że burmistrz Grünberga ogłosił konkurs na stanowisko architekta miejskiego. Nie przyznał się, że doktor Fluthgraf jest jego kolegą ze studiów prawniczych na uniwersytecie w Greifswaldzie. Po latach, kiedy bliżej poznałem grünberskiego burmistrza, pokazał mi list, który dostał od gospodarza Insterburga. Stało w nim: „Tobie, przyjacielu ze studenckiej ławy, powiem o czymś, co mnie niepokoi w zachowaniu Severina. To nie jego fantazyjne podpowiedzi, a opinie na temat architektury wygłaszane na zebraniach Heimatschutzu. Ma odwagę zaproponować coś dziwnego i z niespożytą energią bronić swojego pomysłu, choćby musiał stanąć oko w oko z profesorem uniwersytetu. Ale wolę pracować z dziwnymi inżynierami niż z takimi, którzy najpierw pytają, ile pieniędzy dostaną za swoją pracę”.

– **Mimo takiej opinii został pan architektem grünberskim.**

– Burmistrz Fluthgraf przyznał mi się, że późną wiosną 1887 roku prezydent rejencji wezwał go do Liegnitz i kazał utworzyć biuro architekta miejskiego. Burmistrz usiłował go przekonać, że sprawy budowlane w Grünbergu zupełnie dobrze rozwiązuje wspólny dla miasta i powiatu inspektor nadzoru architektonicznego. Utworzenie nowego urzędu to dodatkowy wydatek z kasy magistratu. Prezydent

najpierw łagodnie mu perswadował, że miasto rośnie jak na drożdżach. Anglicy sprowadzili maszyny do produkcji sukna, jakich nie ma nawet we Flandrii, a Brugia czy Gandawa to przecież centra europejskiego włókiennictwa. Po tym, jak piwo pana Brandta zostało wyróżnione złotym medalem na wystawie w Chicago, browar pracuje na trzy zmiany. Inżynier Beuchelt przerzuca już nie tylko proste mosty, lecz i buduje wagony kolejowe systemu pulmanowskiego. Pan Grau uruchomił dom handlowy z modnymi towarami. Prawda, w połowie XIX stulecia w Grünbergu mieszkało 10 tysięcy osób, pod koniec wieku liczba ta się podwoiła. A ponadto, z czym nie dyskutował burmistrz, pruskie prawo nakazywało w miastach średniej wielkości, a do nich zaliczał się Grünberg, powoływanie administracji budowlanej.

**– Powiatowy Grünberg był miastem średniej wielkości?**

– W Prusach istniał podział na miasta duże, czyli liczące ponad 50 tysięcy mieszkańców, średnie i małe, zamieszkałe przez mniej niż 10 tysięcy osób. Grünberg pełnił rolę ośrodka powiatowego i okręgowego.

**– A jak sprawy budowlane rozwiązywano przed pana powrotem do miasta?**

– Nadzór nad budownictwem w Grünbergu powierzano osobom prowadzącym firmy budowlane, za co oczywiście płacono z miejskiej kasy. Tuż przed moim powrotem zajmował się tym radny miejski i doradca techniczny do spraw budownictwa Carl Mühle. I pewnie jakiś czas jeszcze by tak było, gdyby Mühle nagle nie umarł. Mówiono mi, że również korzystano ze wsparcia architekta powiatowego, który jako kierownik Wyższego Urzędu Budowlanego swoim zasięgiem obejmował powiat ziemski, Glogau i Freystadt. W moim czasie obowiązki te wykonywał Emil Friede, projektant między innymi kościoła Jezusowego.

**– Po śmierci Carla Mühlego, pod wpływem prezydenta rejencji, burmistrz ogłosił konkurs na stanowisko architekta miejskiego, tak?**

– Decyzję podjęli radni jesienią 1887 roku. Burmistrz spodziewał się, że na konkurs wpłynie może pięć, może osiem, a nie aż ponad

osiemdziesiąt zgłoszeń. Wśród nich były nie tylko kandydatury z Breslau, co go nie zdziwiło, lecz i z Berlina, Pomorza Przedniego, Prus Wschodnich, Dolnej Saksonii, a nawet z dalekiej Frankonii. Tuż przed głosowaniem komisja wyłoniła Johanna Krügera z Peine koło Hanoweru i mnie. Za Krügerem opowiedziało się podobno sześciu rajców, za mną o jednego więcej. Ostateczna decyzja należała do prezydenta rejencji.

– **Zatwierdził wybór?**

– Zatwierdził bez uwag. Zanim 1 marca 1888 roku objąłem urząd, zostałem wezwany przed oblicze radnych.

– **Chcieli wiedzieć, dlaczego pan zamienił Insterburg na Grünberg? Czy człowiek o zdrowych zmysłach by tak postąpił?**

– Dokładnie tak było.

– **Jak pan się bronił?**

– O tym zdecydowała siła wyższa, powiedziałem. Wszyscy obecni w sali narad na ratuszu bez wyjątku zrobili wielkie oczy i otworzyli usta, a potem wybuchnęli śmiechem. Gdy przestali się śmiać, burmistrz poprosił mnie, abym objaśnił to, co powiedziałem, bo może się przestęsział albo błędnie zrozumiał moją odpowiedź. Tak, panowie, o tym zdecydowała siła wyższa, powtórzyłem. Panowie rozumieją siłę wyższą jako pożar, suszę, oberwanie chmury, śnieżycę, powódź, przymrozek niszczący winnice, wiatr zrywający kapelusze z głów. Czyli coś, na co człowiek nie ma wpływu. Ja również znam taką siłę wyższą. Lecz siła wyższa może mieć i inny wymiar.

– **Co pan miał na myśli?**

– Siła wyższa, o której chcę panom opowiedzieć, zacząłem, przysłała do mnie we śnie pod postacią mego ojca. Już czas, abyś wrócił tam, skąd pochodzisz, powiedział. I tym, czego nauczyci cię profesorowie w Bauakademie, całym swoim talentem, a przecież talentem dobrego Pana obdarował cię sowicie, podzielił się z mieszkańcami miasta, w którym się urodziłeś. Albercie, jedyny synu, moja żona Catharina wydała cię na świat w Grünbergu. Tak, panowie, urodziłem się tu, co dziś mógłby poświadczyć doktor Langer, gdyby nie wyjechał

z Grünberga. Urodziłem się dziewięć lat przed postawieniem wieży na Halbmelmühle, zwaną od niedawna Grünberger Höhe. Dlatego chciałbym analogicznie jak doktor Gersdorf zaprojektować budowlę, którą ludzie nazwą „rondlem z maczugą”. To nie jest obraźliwe dla architekta. Przeciwnie, w ten sposób dzieło projektanta pozostaje na wieki w pamięci mieszkańców.

– Tyle zdań wystarczyło, żeby radni nie mieli więcej pytań?

– Nie chcę odejść z tego świata tak, jak większość grünberczyków. Chcę, aby po mnie coś zostało. Jak po panu Gersdorfie ten podziwiany „rondel z maczugą”, a po panu Gremplerze ta znakomita wytwórnia win musujących. Dodałem, że dobry architekt, dbając o oryginalność swoich dzieł, pamięta, aby współgrały one z istniejącą zabudową miast i posiadały cechy narodowe. Jakże się cieszę, że generalny konserwator zabytków w Prusach, doktor Quast, nie pozwolił rozebrać wieży przez jednych zwanej Głodową, przez drugich Łaziebną. To najcenniejszy zabytek w Grünbergu, przemawiający do nas z dawnych wieków. Myślę, że wtedy burmistrz i ci rajcy, którzy głosowali za mną, pluli sobie w brodę. Za późno. Nie mogli mnie odwołać przez 12 lat. Tak długo trwała kadencja architekta miejskiego wybranego w drodze konkursu.

– Od czego pan zaczął urzędowanie?

– Od tłumaczenia się burmistrzowi. Jakiś miesiąc po urządzeniu się w biurze do ratusza wpadł rozwścieczony Heinrich Abers. Jeszcze poprzedni burmistrz namawiał go do budowy nowoczesnej rzeźni z wędliniarnią. Dał się przekonać doktorowi Fluthgrafowi, gdy miasto niemal za bezcen sprzedawało mu parcelę przy ulicy Dąbrowskiego. Projekt wytwórni wykonał nie młody architekt bez doświadczenia, a mistrz Weinert. Severin odrzucił dokumentację, skarżył Abers. Jeśli pan nie wpłynie na niego to rzeźnię postawię w Wartenbergu albo w Züllichau, zagroził burmistrzowi. Ostatnim zdaniem bardziej go wystraszył niż zdenerwował. Burmistrz kazał więc woźnemu wezwać mnie do ratusza. Gdy wszedłem do jego gabinetu, naburmuszony doktor Fluthgraf nawet nie odpowiedział na pozdrowienie, tylko pokazał zydel przed stołem, przy którym siedział. Rozmowę zaczął od pytania o moje samopoczucie w rodzinnym mieście. Potem interesowało go, czy kogoś się radzę, gdy

wyrokuje, który projekt trzeba poprawić, a który zatwierdzam bez zastrzeżeń. Do rzeczy, przerwałem mu. Nie po to pan mnie wezwał, aby zaspokoić swoją ciekawość w kwestii mego samopoczucia. Słusznie, przytaknął burmistrz. Gdy Lorenz poskarżył mi się, że poniesie dodatkowe koszty, związane ze wzmocnieniem ścian spichlerza w majątku Woitscheke, nie stanąłem po jego stronie. On zawsze na swoje wyjdzie. Nie prosiłem o wyjaśnienia, gdy skarżyli się majstrowie, że pana podwładni zaczęli domagać się rygorystycznego przestrzegania przepisów na budowach. Ale dłużej nie mogłem zwlekać po wizycie w tym gabinecie pana Abersa. Proszę mi wyjaśnić, dlaczego odrzucił pan projekt rzeźni przygotowany przez mistrza Weinerta. Dotarłem do planów rozwoju miasta, ja na to. Jest w nich mowa, że za dziesięć lat Grünberg będzie jednym z większych skupisk ludności na Śląsku, czego nie uwzględnia projekt rzeźni wykonany przez Weinerta. Czy to jedyny powód, dla którego pan odrzucił jego projekt? Zaproponowane przez Weinerta rozwiązania są przestarzałe, dodałem. Na przykład, w chłodni powinna być izolacja korkowa. Weinert nie rozwiązał problemu ścieków. Nie sądzę, aby lekarz miejski zgodził się na ich powierzchniowe odprowadzanie wzdłuż ulicy do Złotej Łączy. Burmistrz podniósł się zza stołu i cicho powiedział: Niech pan dalej tak pracuje.

– **Sukces.**

– Nie bardzo. Pastor Lonicer zdradził mi, że nie będę miał łatwego życia. Mistrzowie budowlani wieszali na mnie psy. Mówili, że jestem gorszy niż żandarm. Miasto płaci mi za pilnowanie porządku w architekturze, odpowiedziałem, żeby coś odpowiedzieć. Panie pastorze, w Insterburgu mieszkalem, a w Grünbergu... żyję. Zależy mi na tym, aby moje miasto było naprawdę piękne.

– **Mimo ataków nie żałował pan powrotu do rodzinnego Grünberga?**

– Nigdy nie żałowałem. Miałem plan, który postanowiłem zrealizować. Chciałbym, żeby jeszcze za mojego życia miasto było zielone i od wiosny do jesieni ukwiecone. Ten, kogo po mnie rada miejska zatrudni w biurze architekta, żeby żył wśród kwietników, klombów, rabat, gazonów. Zgodnie z nazwą Grünberg musi być zielonym miastem, dlatego tam, gdzie się da, proponuję zakładanie ogrodów,

rzuciłem hasło na zebraniu towarzystwa upiększania miasta. Grünberg jak żadne miasto na świecie do tego się nadaje. Położony na wzgórzach, wśród lasów sosnowych, gdzie panuje specyficzny klimat, o czym świadczą hektary winnic, może mieć to, co zaproponował Ebenezer Howard.

**– A kto to taki?**

– Po powrocie ze Stanów do Londynu Howard, bardziej filozof i reporter niż urbanista, ogłosił ideę miasta-ogrodu. Była to odpowiedź na złe warunki życia robotników w przeludnionych miastach angielskich po rewolucji przemysłowej. Pierwsze takie miasto Letchworth stanęło w 1903 roku na północ od Londynu. Niebawem wyrosły Hampstead i Welwyn. Ideę szybko pochwycili Kruppowie w Niemczech, zakładając Essen-Margarethenhöhe i Karlsruhe. Na peryferiach Drezna powstało Hellerau. Magistrat Breslau ogłosił konkurs na przebudowę miasta, ale nigdy nie przystąpił do pełnej realizacji projektu. Polskie przykłady to Podkowa Leśna i Milanówek pod Warszawą.

**– Czy grünberczykom spodobała się ta propozycja?**

– Najpierw przedstawiałem ją w towarzystwie upiększania miasta, potem członkom loży masońskiej. Większość mieszkańców była za, ale nie Carl Lorenz i osoby, którym sprzedał parcele przy niedawno wytyczonej alei Niepodległości, łączącej centrum z dworcem kolejowym. Wprawdzie Gideon Weinert przewidział tam aleję willową ocienioną szpalerem lip i wierzb, ale nikomu nie wspomniał, że przed każdym budynkiem musi powstać ogródek okolony niskim płotem. Prawdę mówiąc, na pierwszy rzut oka takie rozwiązanie większości fabrykantów, kupców, bankierów przypadło do gustu. Dopiero gdy zaczęła się rozmowa z Lorenzem o kosztach budowy, inwestorzy byli przeciwni papierowemu projektowi Weinerta.

**– I ci najbogatsi stanęli przeciw panu?**

– Pan najpierw stara się sprzedać place pod budowę, powiedziałem do Lorenza. Potem robi pan wszystko, aby nie kto inny, tylko pana firma postawiła tam ekskluzywne domy nabywców parceli. Złoty interes, Lorenz. A jeśli kiedyś wnuk spyta, kto zbudował te wspaniałe wille Brandów, Heiderów, Fischera, Kurtziga, pan wypnie

pierś i dumnie wskaże na siebie. Twój dziadek miał najlepszą firmę budowlaną, podkreśli pan, co będzie prawdą. Ja mam identyczne marzenie i też pragnę, żeby mój wnuk powiedział: Zielone miasto to dzieło mojego dziadka.

**– W dyskusji padały argumenty?**

– Lorenz twierdził, że szkoda miejsca na kwiaty i drzewa w środku miasta. Jestem za ogrodami, ale na wzgórzach i zboczach wzniesień, mówił. Przy alei Niepodległości, Kazimierza Wielkiego, Wrocławskiej, Kupieckiej powinny stać kamienice i wille takie jak w Liegnitz. Gdy jednak dał się przekonać, że już dawno Grünberg wyszedł za mury i dalej wyraźnie się rozrasta, a niezbyt wielki plac Słowiański przestaje spełniać funkcję forum, przyznał mi rację. Jak większość zamożnych grünberczyków nawet wpłacił składkę do kasy komitetu budowy pomnika cesarza Wilhelma, który miał stać na nowej agorze.

**– Wygląda na to, że mistrz budowlany Lorenz nie był aż takim wrogiem pana koncepcji rozbudowy miasta. A czy był ciekawy, gdzie pan zaplanował nową agorę?**

– Był ciekawy i się obawiał, że usłyszy coś, co pokrzyżuje jego plany i o czym dowiedzą się mieszkańcy. Przyszedł do mojego biura wieczorem, żeby nikt go nie widział. Pokazałem mu dużego formatu barwny projekt placu cesarskiego. Miał on się składać z dwóch części. W północnej części zaplanowałem okazałą świątynię i wodotrysk. Południowa, dużo większa, miała łączyć funkcję rekreacyjną z reprezentacyjną. Niestety, północna część nigdy nie została zrealizowana, a świątynia ewangelicka stanęła tam, gdzie nie miała stać. To była moja porażka.

**– Południowa część placu okazała się sukcesem?**

– Jej uroczyste otwarcie odbyło się w 1894 roku. W centralnym miejscu stał sześciometrowy pomnik cesarza Wilhelma. Wykuty w kamieniu przez Roberta Bärwalda władca z wysokiego cokołu oglądał plac pełen pergoli i gazonów oraz wsłuchiwał się w to, co mówią grünberczycy odpoczywający wokół na ławkach.

**– Czyli przekonał pan Lorenza.**

– Po pierwsze, Lorenz przestał być moim wrogiem i przeciwnikiem moich planów, żeby Grünberg stał się miastem-ogrodem. Po drugie, cieszył się, że jego firma będzie miała co robić przez wiele lat. Rzeczywiście miała, bo po obu stronach alei Niepodległości co roku przybywało willi, przed którymi powstawały ogrody. Ulica biegnąca od dworca kolejowego do ratusza przez dawne folwarczne pole przybrała charakter szerokiej promenady, przy której mieszkali kupcy, bankierzy, lekarze, fabrykanci. Przy wlocie do niej, na działce inżyniera Beuchelta odstąpionej parafii, stanął kościół, jakiego nie było ani w Glogau, ani w Liegnitz.

– Na planie miasta z początku XX wieku, oprócz promenadowej alei prowadzącej od dworca do ratusza, są promenady przy ulicach Moniuszki, Jaskółczej, Kilińskiego, Słowackiego.

– Wydając pozwolenie budowlane zwracałem uwagę na to, czy architekt wykorzystał naturalne walory środowiska. Jeśli nie, to dom stawiany przy nowej ulicy miał być otoczony zielenią. Nie chodziło mi tylko o winnice, lecz i o drzewa owocowe, o ogrody kwiatowe, a nawet o najprostsze trawniki. Zobowiązałem właścicieli letnich kawiarni i restauracji do ustawiania stolików wśród zieleni.

– W drugiej połowie XIX wieku chlubą miasta był Oderwald, miejsce, gdzie w wolne dni niemal wszyscy odpoczywali. Na początku XX wieku zmalało zainteresowanie grünberczyków tym miejscem, mimo że była tam restauracja, ścieżki spacerowe, kanały, po których pływały łódki.

– Częściowo stało się to z mojego powodu. Oderwald leżał za daleko od miasta. Podpowiedziałem więc panu Schulzowi, żeby nieczynny młyn na Gęsniku zamienił na restaurację. Potem dobudował muszlę koncertową, kręgielnię i jeszcze jedną restaurację. Wzdłuż brzegu jeziora wykonał pomosty i postawił altankę na wodzie. W 1896 roku za pieniądze miasta powstał tam otwarty basen kąpielowy.

– Czy to była Dolina Luizy?

– Tak nazwali ją grünberczycy na cześć królowej. Ale w mojej głowie ulął się kolejny plan.

– Czego dotyczył?



– Zaproponowałem władzom miasta zamianę lasu na Wzgórzach Piastowskich w jeszcze jedno miejsce wypoczynku grünberczyków, chociaż takich miejsc nie brakowało. Ci, którzy jeżdżą na Oderwald, niech tam jeżdżą, mówiłem. Ci, którzy lubią Dolinę Luizy, niech tam pozostaną. A ci, którzy nie lubią ucywilizowanych miejsc, niech pokochają naturę, powiedziałem do nowego burmistrza. Chodziło mi o uporządkowanie lasu za południowo-zachodnimi rogatkami miasta. Wytyczę tam alejki i ścieżki, wskażę najlepsze miejsca na letnie restauracyjki i kawiarenki. I... urwałem, widząc skrzywioną minę burmistrza. I co? I żeby wszystkie dróżki z ulicy Piastowskiej przez ten nowy park-las prowadziły do ogrodu botanicznego.

– Czy ma pan na myśli park ludowy, wzorowany na podobnych budowlach w wielu niemieckich miastach?

– Tak. W 1925 roku profesor Herman Jensen z 'Technische Hochschule w Berlinie opracował jego koncepcję. Zakładała ona utrzymanie niepowtarzalnych widoków i kameralnych wnętrz. Krajobraz sprawiał wrażenie naturalności. Od strony miejskiej park płynnie łączył się z ogrodami, winnicami i sadami, a od zachodu z lasem. Największą polaną była Łąka Zabaw, z którą sąsiadowały dwa stawy. Atrakcję stanowił strumyk Rotwasser, posiadał on czerwonawe zabarwienie pochodzące od występujących w nim wodorotlenków żelaza. Wzdłuż niego prowadziła alejka do Łąki Zabaw. Były tam tory dla saneczkarzy i narciarzy.

– Przedostatnie pytanie: w 1909 roku w budynku magistrackim otwarto wystawę starych przedmiotów z pana kolekcji. Wtedy burmistrz powiedział, że w sprawie wiedzy o chlubnej przeszłości jeden człowiek, tu wskazał na pana, zrobił więcej niż my wszyscy razem. Czy zbierał pan pamiątki z myślą o utworzeniu pierwszego muzeum, do czego doszło w 1922 roku?

– Zawsze chyliłem głowę przed przeszłością. Jeśli więc znalazłem coś, co było stare, związane z miastem, kładłem to na półce, a szaf w biurze architekta było sporo. Od dziecka zachwycało mnie piękno, dlatego zostałem architektem. Wiem, że byli tacy, którzy uważali mnie za dziwaka. Bo zaglądałem na strychy i jak biedak prosiłem o starocie. Z warsztatu po rymarzu wyniosłem szydła, szpilardy,

igły, kopyta. Aptekarz dał mi rondle, makutry, miski, czerpaki, które miał wyrzucić na śmieci. W cechu rzeźników cieszyli się, gdy wziąłem księgę przywilejów nadanych przez wiedeńskiego cesarza Leopolda, bo nie wiedzieli co z nią zrobić. Z ratusza zabrałem zbyt wiele pieczęci i odpisy protokołów sądowych, sporządzone jeszcze w czasie procesów czarownic...

**– Po 32 latach sprawowania urzędu architekta miejskiego odszedł pan na emeryturę. Czy odbyło się uroczyste pożegnanie?**

– Burmistrz powiedział, że dzięki mnie Grünberg zachował malowniczość, uwzględniającą położenie i osiągnięcia urbanistyki. Idąc którąkolwiek ulicą naszego miasta przechodzień domyśla się, co spotka za zakrętem, zaznaczył doktor Ouvrier. Pan Severin starał się, aby szerokość naszych dróg była dostosowana do ich długości. I jeszcze jedno, na co przyjezdni zwracają uwagę: place w naszym mieście ułatwiają komunikację i oferują piękne widoki.

**– Dziękuję za rozmowę.**

## Ogród Botaniczny Uniwersytetu Zielonogórskiego

Historia ogrodu zaczęła się 28 lutego 1922 r., kiedy utworzono Miejskie Towarzystwo Kultury Rolnej „w celu rozpropagowania intensywnej uprawy ziemi w Zielonej Górze oraz powiecie wśród mniej zamożnych grup społecznych. Dlatego program miał obejmować prowadzenie prac w kierunku utworzenia stref zieleni, polepszenie nawadniania, upowszechnienie nowych narzędzi i sprzętu technicznego, porady naukowe i praktyczne dla właścicieli małych ogrodów. Towarzystwo było w istocie spółką prawa handlowego, jego kapitał zakładowy wynosił 1 mln marek. Udziałowcami byli miasto Zielona Góra i największe zielonogórskie firmy”. Był to czas zanikania winnic i produkcji wina, które było wypierane z rynku przez tańsze wino z zachodnich Niemiec. W 1922 r. powierzchnia miejskich winnic skurczyła się z 700 do 150 hektarów.

Najpierw Lebrecht Migge z Wurpswerde koło Bremy podjął się opracować plan, dla którego powstało towarzystwo. Twierdził, że Zielona Góra musi pozostać zieloną górą. „Jednym z elementów koncepcji było utworzenie w rejonie ulicy Botanicznej terenów zadrzewionych wraz z wybudowanym ogrodem botanicznym. Cały obszar miał zostać pocięty szeregiem drózek, rozchodzących się promieniście ze wzgórz (punktów widokowych) lub przecinających się pod kątem prostym na terenach bardziej płaskich. Spółka przeznaczyła na ten cel oraz stworzenie ogrodów 87 ha”.

Plany budowy ogrodu przygotował inspektor budowy ogrodów Carl (?) Rickheben. Zagospodarował on 1,78 ha. W ogrodzie uprawiano ciekawe sadzonki „roślin rodzimych i egzotycznych w celu popularyzacji upiększania i pielęgnacji roślin ogrodowych i doniczkowych”. Wydzielono działy: Rośliny karkonoskie i Rośliny alpejskie. W szklarni prowadzono uprawę flory tropikalnej, m.in. opuncji, palm, figowców, drzew cytrusowych.

Po 1945 r. miejsce to zdziczało, mimo że Liga Ochrony Przyrody zabiegała o przywrócenie ogrodu. Udało się to dopiero po utworzeniu Uniwersytetu Zielonogórskiego. Po pół wieku nieobecności ogród został otwarty 17 października 2007 r. Zajmuje 2,5 ha, gdzie rośnie blisko 500 gatunków i odmian roślin. Dominują europejskie gatunki drzewiaste. Są też rośliny azjatyckie i północnoamerykańskie. Pracownicy ogrodu prowadzą badania naukowe. Miejsce to ma także charakter edukacyjny i rekreacyjny. W sąsiedztwie od 2014 r. znajduje się niewielki ogród zoologiczny (filia placówki z Chociebuza).



*Alfred Henschke-Klabund – fragment pomnika na skwerze  
przy ul. Poznańskiej w Krośnie Odrzańskim*

## **Alfred Henschke-Klabund**

Urodził się 4 listopada 1890 w Crossen an der Oder (pol. Krosno Odrzańskie), zmarł 14 sierpnia 1928 r. w szwajcarskim Davos. Po ukończeniu gimnazjum we Frankfurcie nad Odrą rozpoczął studia farmaceutyczne w Monachium. Porzucił je na rzecz filozofii, germanistyki i teatrologii w Berlinie i Lozannie. Jako szesnastolatek zachorował na gruźlicę. Był autorem płodnym i wszechstronnym. Spod jego pióra wyszło 14 powieści, 21 tomików wierszy, 25 sztuk scenicznych, zbiory legend i prace historyczno-literackie. Jego prochy złożono na cmentarzu w Crossen. W centrum miasta jest pomnik w formie ławeczki, na której Klabund siedząc pisze w notesie.

## NIEŚMIAŁY AUTOR

Rozmowa z Alfredem Henschkem-Klabundem,  
poetą, pisarzem i dramaturgiem

– „Często wspominam cię / Małe miasteczko nad błękitną /  
Wartką Odrą / Wśród łąk pokrytych rosą, / Otulone mgłą, /  
Na granicy Śląska i Marchii, / Tam, gdzie Bóbr do Odry /  
A czas do wieczności wpływa.”

– „Na oplecionym dzikim winem balkonie / Chronionym przed  
słońcem i deszczem / Szklanym daszkiem, / Siedzi w swym bia-  
łym, lnianym kitlu / Siwowłosa, dobrotliwy / Mądry człowiek – mój  
ojciec”. To, co pan przypomniał i co ja dodałem, pochodzi z *Ody do  
Krosna*. Z miasta, gdzie się urodziłem i dokąd często wracałem. Oj-  
ciec był właścicielem apteki Adler w narożnym budynku stojącym  
niemal na wprost ratusza. Stąd jako radny robił kilkanaście kroków  
i już był na sesji miejskiego samorządu. Ja miałem dalej do szkoły,  
bo musiałem iść obok ratusza, przez uliczkę, wzdłuż kościoła w po-  
bliże zamku.

– Tam pan zaczynał edukację i tam kończył?

– Tam, na Schulstrasse, jedynie zaczynałem. Kształcenie na pozio-  
mie średnim skończyłem we Frankfurcie nad Odrą, gdzie mieszkał  
mój dziadek, który identycznie jak ojciec był farmaceutą i właścicie-  
lem apteki. Chodziłem do bardzo dobrego gimnazjum humanistycz-  
nego zwanego fryderycjańskim. A w ogóle Frankfurt przełomu XIX  
i XX wieku to wiodący ośrodek humanistyczny w Brandenburgii.  
Był głównym miastem Nowej Marchii, zamieszkałym przez ponad

osiemdziesiąt tysięcy osób. Wprawdzie uniwersytet Viadrina już został przeniesiony do Breslau, ale w mieście Kleista, Carla Bacha i braci Humboldtów pozostała tradycja i klimat sprzyjający nauce i sztuce.

**– Skoro dziadek i ojciec byli aptekarzami, to pewnie pan jako męski potomek Henschków chciał kontynuować rodzinną tradycję?**

– To było życzenie nie tyle moje, co ojca i dziadka. Jednego nie mogli ustalić: którą aptekę przejmę, tę w Frankfurcie czy tę w Crossen. Ojciec nawet dał mi do zrozumienia, że jako kontynuator tradycji rodzinnej mam postarać się, aby chociaż jedno z moich dzieci zostało farmaceutą. Gdyby coś poszło nie po myśli ojca, to znaczy, gdybym spłodził dziewczynkę, to musiałbym ją wydać za mąż za aptekarza. I tylko dlatego zapisałem się na Uniwersytet Ludwika Maksymiliana w Monachium, gdzie miałem studiować chemię i farmację.

**– Ta informacja jest w pana oficjalnym życiorysie. Jest i taka, że zrezygnował pan ze studiów.**

– Długo bałem się przyznać ojcu, a jeszcze dłużej dziadkowi. Przecież byłem ich nadzieją na kontynuowanie rodzinnej tradycji. Oni sobie nie wyobrażali przekazania aptek w obce ręce. A ja nie wyobrażałem sobie siebie rozgniatającego jakieś grudki w moździerzu, z okularami na nosie, w otoczeniu szklanych kolb, próbowek, menzurek, filtrów, puszek na zioła, kamionkowych butli na wodę destylowaną, robiącego maści, syropy, pigułki. Dlatego zamieniłem studia farmaceutyczne na humanistyczne. Postanowiłem studiować to, co mnie naprawdę interesowało, to znaczy filozofię i germanistykę oraz teorię teatru.

**– A może była inna przyczyna tej decyzji?**

– Wabiła mnie praca literacka. Już w Crossen prowadziłem notatki, było to coś w rodzaju wierszyków, spostrzeżeń, wrażeń. We Frankfurcie przybrało to kształt niemal profesjonalny. Dużo czytałem, bywałem w salonach, gdzie nie tylko rozprawiano o pruskim wojsku, ale i o poezji. W miejscowej gazecie udało mi się zamieścić kilka pierwszych utworów, co uznałem za sprawę najważniejszą. Tylko

tak dalej, cieszyłem się. Drzwi twórczości powoli przede mną się otwierają. Kiedyś będą szeroko rozwarłe. Dziadek mnie pochwalił, ale żeby się cieszył, tego nie dostrzegłem ani w jego oczach, ani nie wyczytałem z ust.

**– Pytając o inną przyczynę rezygnacji ze studiów farmaceutycznych miałem na myśli pana chorobę. Czy mężczyzna chory na gruźlicę powinien być aptekarzem?**

– Jako dziecko nie byłem pyzaty. Nie ganiałem z chłopakami nad rzekę. Nie bawiłem się w chowanego. Nie rzucałem kamieniami. I nie miałem za dużo kolegów. Nikt nie lubi chuderlaka, a ja byłem wąty, bojaźliwy i od każdego dostawałem baty. Trochę zmieniło się to w gimnazjum, ale wtedy zacząłem chorować na płuca. Zdaniem medyka wezwanego przez dziadka, choroba już była zaawansowana... Ojciec, a przede wszystkim dziadek, nie poddawał się. Jeździł ze mną do najlepszych medyków w Berlinie. Nadzieją był doktor Robert Koch. Niestety odkryty przez niego lek okazał się jeszcze nieskuteczny. W tamtym czasie gruźlica była jedną z najpoważniejszych chorób. Jak dżuma w średniowieczu dziesiątkowała narody. Nie wybierała. Zabierała zdrowie biednym i lepiej urodzonym, przede wszystkim młodym – chłopcom i dziewczętom. Wracając do pana pytania... Aptekarz nie powinien być roznosicielem żadnej choroby, a gruźlica to schorzenie zakaźne... Tak, decyzja o przerwaniu studiów farmaceutycznych wynikała właśnie z tego, o czym przed chwilą powiedziałem. Ale, to chciałem podkreślić, gruźlica jako choroba nieuleczalna ukształtowała mnie jako człowieka i jako pisarza.

**– Na pewno tylko dlatego przerwał pan studia chemiczne?**

– Takie wyjaśnienie przekonywało ojca i dziadka. Obaj zdawali sobie sprawę, że póki nie zostanie wynaleziony lek na suchoty, moje szanse na wyzdrowienie są niewielkie. Gdy Albert Calmette opracował szczepionkę, niestety dla mnie było już za późno.

**– W sierpniu 1914 roku wybuchła wojna światowa. Pana nie zmobilizowano. Dlaczego?**

– Właśnie z powodu daleko posuniętej choroby. Wojsko potrzebowało zdrowych mężczyzn. Po co komu chory żołnierz?

– Mimo to wyruszył pan na front. Nie w mundurze i nie z karabinem, a z piórem.

– W 1914 wojna i walka z wrogiem była na ustach wszystkich Niemców. Gazety przekonywały, że trzeba ją wygrać. Że Niemcy były, są i muszą być wielkim narodem. Jak tysiące moich rówieśników wierzyłem tym hasłom. Dlatego dzień w dzień pisałem pieśni patriotyczne, w których starałem się dodać otuchy naszym żołnierzom. Chciałem, żeby moje wiersze dotarły na linie frontu, do okopów, do lazaretów. Do tych, którzy przelewali krew za cesarza i naród. Tak to pompatycznie brzmiało.

– Niedługo to tak brzmiało. W drugim roku wojny przeszedł pan na stronę pacyfistów.

– Stało się to po tym, gdy wróciłem do domu rodzinnego i usłyszałem, że w Crossen powstał obóz jeniecki. Byli w nim przetrzymywani żołnierze carscy, wzięci do niewoli w Prusach Wschodnich, podobno po bitwie pod Tannenbergiem. Widziałem tych biedaków. Chorych, głodnych, brudnych, obdartych, tęskniących za bliskimi. I pomyślałem, że w identycznych warunkach gdzieś w Rosji czy Serbii mogą przebywać żołnierze pruscy, bawarscy, wittenberscy.

– I wtedy zmienił się pana punkt widzenia na wojny? Doszedł pan do wniosku, że wszystkie są niesprawiedliwe, a ta szczególnie okrutna? Napisał więc pan list do cesarza Wilhelma, uznając go za sprawcę konfliktu i domagając się jego zakończenia oraz abdykacji władcy.

– Później dowiedziałem się, że cesarz Wilhelm większą część wojny spędził na Śląsku w Pszczynie, gdzie była główna kwatera naszych wojsk. I że od drugiego roku wojny stopniowo tracił wpływ na to, gdzie i z kim walczyły niemieckie armie. O wszystkim decydowali generałowie Erich Ludendorff i Paul von Hindenburg. List doszedł do otoczenia cesarskiego, a ono przekazało jego treść do Crossen. Zostałem ukarany uwięzieniem za drutami właśnie w obozie jenieckim. Po tym nie miałem wątpliwości, że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. W 1918 r. cesarz abdykował. Próbował wrócić na tron, ale bezskutecznie. Do końca życia mieszkał w holenderskim Doorn.



– Większy wpływ na podjęcie tej decyzji miała rewolucja listopadowa w Niemczech niż przegrana armii cesarskich na frontach pierwszej wojny.

– Pewnie tak. Ale ja miałem satysfakcję, że jako lojalny poddany ostrzegałem cesarza.

– **Bojkot pisarzy, niszczenie książek z powodów politycznych czy religijnych miało miejsce w historii.**

– Nie będę zaskoczony, jeśli i w Niemczech pojawi się wódz narodu, który każe spalić wszystko, co napisałem, bo jest to przeciw niemieckiemu duchowi. Studenci i ich profesorowie rzucą w ogień dzieła Tomasza Manna, Bertolta Brechta, Arnolda Zweiga. A może i Hemingwaya, Londona, Wellsa. Tak postępują ci, którzy boją się prawdy. Moje książki mogą zostać spalone w miejskiej fontannie na rynku w Crossen. To będzie zaszczyt dla mnie, że spłoną na oczach sąsiadów, którzy niczego nie zrozumieli.

– **Pisanie jeszcze raz zaprowadziło pana do sali, gdzie władza sądownicza wymierza sprawiedliwość.**

– Było to w 1915 r. w Monachium po wydrukowaniu w czasopiśmie „Pan” wiersza uznanego za obrazoburczy. Nie żałowałem tego, że musiałem zapłacić grzywnę, zresztą symboliczną. Kara spowodowała, że byłem na ustach monachijczyków, a wydawcy zaczęli interesować się moimi utworami. Krótko mówiąc, stało się wedle powiedzonka: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– **Co się wydarzyło 24 grudnia 1911 roku? Pytam o pana zachowanie w Monachium.**

– Ach, o tamten wieczór panu chodzi! Jak każdy młody autor wszelkimi sposobami usiłowałem zwrócić uwagę na to, co napisałem. Pisarzowi nigdy nie było łatwo. Pomyślałem więc, że jak spaść i się potłuc, to z wysokiego konia. Wieczorem 24 grudnia przebrałem się za jałmużnika i stanąłem przed bramą posiadłości Maksa Halbego. To był jeden z najbardziej cenionych i popularnych dramaturgów. Jedno jego słowo wypowiedziane w środowisku wydawców znaczyło więcej niż długie i przemądrzałe monologi innych. Halbe, sumien-ny chrześcijanin, kazał wpuścić mnie do domu, posadzić przy stole wigilijnym i podać kolację. Oczywiście przyznałem się, kim jestem.

Tak mu się spodobał ten podstęp, że w następnym roku przysłał mi zaproszenie na uroczystość w swojej posiadłości.

**– A czy pomógł w starcie literackim?**

– Dużo się od niego nauczyłem. Zresztą wcześniej poznałem sławnego Artura Kutschera. Profesor chwalił się, że uczył pisania Tomasa Manna i Bertolta Brechta. Drugim moim nauczycielem był Frank Wedekind. Nie jestem tego pewien, ale chyba pod ich wpływem zainteresowałem się twórczością teatralną.

**– Pierwsze utwory powstające we Frankfurcie podpisywał pan swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem. W 1913 r. pojawiło się S. Klabund. Skąd ta zmiana?**

– Jedni koledzy w gimnazjum mówili do mnie Fredi, drudzy Sami. Dlaczego Sami, nie wiem. Przecież nie przypominałem Samuela. Mnie się to podobało. Chciałem ukrywać się za Samim, ale to za mało. Już w Monachium pomyślałem o pseudonimie takim trochę intrygującym, trochę nie z tej ziemi, a trochę śmiesznym. Nie potrafię wyjaśnić, gdzie i w jakich okolicznościach przyszedł mi do głowy Klabund. Na pewno było to już na uniwersytecie w Monachium. Pewnie w 1912. Oprócz pseudonimu Klabund, pod niektórymi tekstami podpisywałem się jako Jucundus Fröhlich lub Jakob Roeder.

**– A co oznacza pseudonim Klabund?**

– Pierwsza część pochodzi od określenia der Klaubautermann (pol. duch okrętowy), druga od der Vagabund (pol. włóczęga). Miało to związek z moim życiem. Ponieważ chorowałem na suchoty, często jeździłem do ośrodków, gdzie takich jak ja poddawano leczeniu. Na niewiele się ono zdawało, bo choroba postępowała, a leku ciągle nie było, ale zmienione warunki klimatyczne łagodziły skutki choroby. Łatwiej było oddychać w powietrzu Davos i mniej męczył mnie przewlekły kaszel. Miałem nadzieję, zresztą jak wszyscy suchotnicy, że któregoś dnia opiekujący się mną doktor Poeschel powie: panie Henschke, jest cudowny lek na pańską chorobę. Niestety...

**– Pisał pan powieści i opowiadania, dramaty, wiersze erotyczne, patriotyczne i filozoficzne, satyryczne. Spod pana pióra wyszły prace dotyczące historii literatury, przekłady.**

**Ma pan w swoim dorobku zbiór legend. Człowiek renesansu czy utalentowany dyletant?**

– Nie dodał pan, że tłumaczyłem utwory autorów chińskich, japońskich i perskich.

**– A gdzie i kiedy zdążył pan nauczyć się chińskiego?**

– Z domu i szkoły znałem francuski i angielski. Mimo że lepiej posługiwałem się językiem Woltera, jednak przekładałem za pośrednictwem angielskiego. Wiem, że to nie jest to samo, co tłumaczenie z języka oryginału, ale takie były czasy. Myślałem nawet o podjęciu studiów orientalnych.

**– Kilka lat po tym, jak Seidler wydrukował zebrane przez pana legendy w tomie *Celestina*, gdy zaczęto mówić o panu jako o najciekawszym przedstawicielu niemieckiego ekspresjonizmu, rodzinne Crossen nadało panu tytuł Honorowego Obywatela Miasta. I jak nagle nadało, tak nagle postanowiło go odebrać. Z jakiego powodu postanowiło pozbawić pana tej godności?**

– Katolicy mówią, że ktoś jest bardziej święty niż sam papież. Tacy też byli w Radzie Miejskiej. Niewiele czytali, jeszcze mniej rozumieli, nie znali się na poezji, ale wygłaszali zdecydowane opinie. Gdy więc ukazały się moje erotyki, ktoś z członków rady usłyszał, że są za odważne, dlatego domagał się pozbawienia mnie godności Honorowego Obywatela Miasta. Jego zdaniem za daleko się posuwałem w przekazywaniu treści, o których nie powinno się głośno mówić. Wniosek upadł, a potem nigdy do niego nie wrócono.

**– Chciałem zadać to pytanie pod koniec rozmowy, zadam je teraz. Dlaczego mieszkańcy miasta mówili, że coś działo się przed lub po otwarciu sklepu Reiniego?**

– Było tak. Z drugą żoną, to znaczy z Carolą Neher przyjechałem w odwiedziny do rodziny. Jeszcze w drodze z Berlina opowiadałem jej, jak malowniczo jest położone Crossen, że na wzgórzach wśród winnic i lasów, gdzie Bóbr wpada do Odry, a wokół jeziora. Którejś niedzieli Carola nabrała ochoty na kąpiel w jeziorze łochowickim, ale nie miała kostiumu, a był dzień wolny w handlu i wszystkie sklepy były zamknięte. Mimo to poprosiłem pana Reiniego, który

prowadził handel odzieżą, żeby pomógł. Otworzył sklep i pozwolił Caroli wybrać najpiękniejszy kostium. Wyglądała w nim tak, jak to opisał Brecht w jednym z listów do mnie, to znaczy „nieskazitelnie dziewczynsko”. Ci, którzy byli nad jeziorem, zamiast zażywać słonecznych kąpiei, wodzili oczyma za Carolą.

– **Lubił pan swoje miasto?**

– Każdego roku wracałem na tydzień, na dwa po to, żeby sobie przypomnieć zapach miasta, pospacerować wzdłuż brzegu Odry, zajrzeć do Skyren [pol. Skórzyn], gdzie była posiadłość rodzinna Caprivic. Na tamtejszym cmentarzyku został pochowany kanclerz zjednoczonych Niemiec i minister spraw zagranicznych Leon Caprivi, następca Bismarcka. Mimo że był wojskowym pruskim, miał poglądy dalekie od imperialnych. Odpowiadały mi jego spostrzeżenia natury politycznej. Drugim, którego ceniłem, był mój krajan Rudolf Pannwitz. Jako pisarz zadebiutował opowieścią *Landschaftsmärchen aus Crossen an der Oder*. Z czasem literaturę zamienił na filozofię, chociaż pierwszej dziedzinie w niewielkiej skali pozostał wierny.

– **Zanim spytam o sztuki dramatyczne i Brechta, proszę powiedzieć, jak pan dotarł do autorów legend znad Odry w Crossen?**

– W tym mieście się urodziłem, mieszkalem, miałem kolegów. Bywając w ich domach czasem słyszałem, jak dziadkowie opowiadali o dawnych czasach. Z tamtych opowieści coś zachowało się w mojej pamięci. Wracając do rodzinnego domu z Frankfurtu, z Berlina, z Monachium, z Davos, chodząc ulicami Crossen, rozmawiałem z mieszkańcami, wsłuchiwałem się w ich opowieści o dawnych czasach i dawnych bohaterach. A gdy tych opowieści nabierało się sporo, w 1912 r. wyszedł zbiór *Celestine*, wydrukowany w Crossen. Na początku ojciec był ze mnie dumny, ale potem coraz mniej radości gościło w jego oczach. Członkowie rady miejskiej mówili w obecności ojca, że syn, zamiast wychwalać, obnaża przywary mieszkańców miasta.

– **Czy to samo mówili po 1918 roku, kiedy stała się głośna powieść *Bracke*, moim zdaniem, także z akcją osadzoną w Crossen?**

– Akcja mikropowieści *Bracke* dzieje się w wielu miejscach Marchii, także w Crossen.

– To, co pan nazywa Marchią, jest historyczną Ziemią Lubuską.  
– Czym?

– Do 1249 r. po obu stronach środkowej Odry leżała Ziemia Lubuska. Jej stolicą był biskupi Lubusz. Wtedy książę Bolesław Rogatka potrzebował pieniędzy na prowadzenie wojny z bratem Konradem o sukcesję głogowską, a że skarb książęcy był pusty, zaciągnął pożyczkę u biskupa magdeburskiego, zastawiając połowę Ziemi Lubuskiej. Ponieważ Rogatka przegrał wojnę, nie miał z czego zwrócić długu. Przejętą Ziemię Lubuską biskup sprzedał margrabiom brandenburskim. Ci lewobrzeżną część włączyli do Marchii, prawobrzeżną nazwali Nową Marchią, najpierw ze stolicą w Myśliborzu, potem w Kostrzynie.

– O tym nie wiedziałem. Mnie uczono, że Marchia po obu stronach środkowej Odry, od granicy ze Śląskiem i Łużycami po Pomorze, to stara ziemia brandenburska. Wspominano o wojnach z Chrobrym, Kazimierzem Wielkim, ale to nie myśmy napadali. Z naszej strony była to obrona przed agresją Polaków i próbami zajęcia ojczystej ziemi brandenburskiej.

– A mnie uczono, że wszystko, co parło z zachodniego brzegu Odry, było agresywne. Niemcom zawsze chodziło o przestrzeń, o nowe terytoria, o panowanie nad światem.

– Dajmy temu spokój.

– *Bracke* stała się skandalem na niemieckim rynku wydawniczym, co nie przeszkodziło, by została zaliczona do najwybitniejszych dzieł epickich w literaturze europejskiej dwudziestego wieku. To rzecz sowizdrzalska, przełożona na wiele języków, także na polski.

– Na polski? O tym nie wiedziałem.

– Ukazała się w 1970 roku w Państwowym Instytucie Wydawniczym w tomie z *Borgia* i *Mahometem*. W 1930 r. po

polsku wyszedł *Car Piotr*. A w ogóle to często w swoich powieściach uwieczniał pan znakomite rody i postacie, choćby Borgiów, Mahometa, Rasputina.

– Podobają się panu opowieść o Brackem?

– Doszedłem do wniosku, że w tej powieści do maksimum wyeksploatował pan swoją biografię. Wystarczy przeczytać *Brackego*, żeby wiedzieć, co pan myślał. Tak robi większość pisarzy, nawet ci, którzy tworzą dzieła historyczne. Chociaż kpi pan z czytelnika. Na przykład gdy ustami Brackego wyjaśnia „jak utrzymać dziewczynę w czystości”.

– Aha, to się panu podoba. „Utrzymania dziewczyny w czystości moralnymi radami niech próbuje diabeł. Znacznie lepszy jest sposób następujący: jeśli masz córkę dziewczę, wyjmij serce z synogarliczki i zaszyj je w skórę lisa. Noszenie tego amuletu nie dopuści do żadnej nieobyczajności”.

– „Był sobie raz figlarz, który mówił prawdę, niby to zmyślając, ale nikt mu nie wierzył...” Ile jest prawdy w tym, że Brecht ukradł panu pomysł na dramat? I dlatego pogniwialiście się?

– Nie ukradł, tylko wykorzystał główny motyw mojego *Kredowego koła*. Bertolt to jeden z najgenialniejszych ludzi teatru. Ja, mimo że napisałem ponad dwadzieścia sztuk, w porównaniu z nim jako dramaturg byłem nikim. Prawda, *Kredowe koło* mi się udało. Wystawione w teatrze w Breslau mnie przyniosło rozgłos, a Caroli Neher, która grała główną rolę, sławę. Było wystawiane na scenach wielu teatrów na świecie, także w Polsce, na przykład w Warszawie i Białymstoku.

– Sukcesy odniesione w tej sztuce zaprowadziły Carolę Neher i pana przed ołtarz?

– Moja pierwsza żona Irene, także chora na płuca, którą poznałem w sanatorium w Davos, była piosenkarką. Zmarła niedługo po porodzie. Pierwszej nocy po jej śmierci napisałem *Sonety do Irene*.

– Przez krytyków uważane za majstersztyk literacki. Podprawione erotyką, wyjaśniają, kim była dla pana Brunhilde

Heberle, czyli Irene. Nie przyznał się pan, że *Kredowe koło* napisał dla Elisabeth Bergner, chcąc ją obsadzić w głównej roli.

– Tak, Elisabeth bardzo mi się podobała. Była wspaniałą aktorką austriacką, nominowaną do Oscara za rolę w filmie *Nie odchódź ode mnie*.

– Czy Brecht widział Carolę Neher w *Kredowym kole* na scenie w Breslau?

– Tak się Carolą zachwycił, że specjalnie dla niej napisał rolę Polly w *Operze za trzy grosze*. Niestety, wtedy ciężko chorowałem i Carola wolała być przy mnie. W premierowym przedstawieniu *Opery...* zastąpiła ją Roma Bahn, dla której ta rola była trampoliną do wielkiej kariery, przede wszystkim filmowej.

– Pisarz i obserwator życia literackiego w Niemczech, Hans Sahl przypomina, że „nosił pan duże okulary, miał ogoloną głowę i wygląd nieśmiałego studenta, który wie więcej niż on sam”. Dodaje, że był pan „lustrzanym odbiciem Brechta”. Że „Brecht był szorstki i lekceważący dla swoich rozmówców”, pan zaś „uprzejmy i grzeczny”.

– Słabo znałem Sahla, może raz czy dwa go widziałem. Pewnie dlatego jego opinia o mnie jest prawdziwa jedynie wtedy, gdy opisuje mój wygląd. Nawet nie przyszło mi na myśl, że jestem lustrzanym odbiciem Brechta. Prawda, cechowała mnie nieśmiałość, Brecht zaś wszędzie czuł się pewnie, ale, na to zwracam uwagę, Brecht był wielki.

– Miał pan pretensję do Brechta?

– O co?

– O to, że podkradł pomysł z *Kredowego koła* do swojego *Kaukaskiego koła kredowego*.

– Brecht był wielkim dramaturgiem. Obwinianie go, czepianie się nie ma sensu. Bertolt Brecht to Bertolt Brecht. To Moliere... to Szekspir dwudziestego stulecia. Koniec rozmowy. Kropka.

– Pana twórczość podobno inspirowała Tomasza Manna?

– Słyszałem, że Mann pisząc *Czarodziejską górę* zaglądał do moich powieści. Chyba do *Brackego*.

– Mistrzu, ma pan w swoim dorobku nawet scenariusz filmowy.

– Powieść *Car Piotr* została sfilmowana przez amerykańskiego producenta Metro-Goldwyn-Mayer. To epizod w moim życiu literackim bez znaczenia. Przyznam się, że nie znam filmowej wersji powieści.

– Im człowiek jest starszy, tym częściej myśli, gdzie powinno być miejsce jego wiecznego spoczynku.

– Odpowiem ostatnimi zdaniami z *Ody do Krosna* w przekładzie na polski Kazimierzy Kaźmierczak: „Była ta ziemia ojczyzną / I będzie nią znowu, / Kiedy grudy ziemi załomocą głucho / O twą trumnę, oddając ziemi / Twe mizerne, dziecinnie / Zmałe ciało, / Ziemi, która cię zrodziła / Na granicy Śląska i Marchii, / Gdzie Bóbr do Odry, / A czas do wieczności wpływa”.

– Historycy podają, że gdy poczuł się pan bardzo słabo, wtedy powiedział żonie, że ma ostatnie życzenie.

– Zdawałem sobie sprawę z tego, że dni moje są policzone. Gruźlica to straszna choroba, ale straszniejsza jest bezradność lekarzy. Leżąc na szpitalnym łóżku w Davos powiedziałem do Caroli, że chciałbym zostać pochowany na cmentarzu w Crossen. Na wzgórzu, żeby mieć w dole Odrę i równinę.

– Dziękuję za rozmowę.



## **Ławeczka Klabunda**

Ławeczka stanęła w maju 2012 r. na skwerze przy ul. Poznańskiej w Krośnie Odrzańskim. Rzeźbę odlaną w masie imitującej brąz wykonała pracownia Andrzeja Richttera z Bydgoszczy. Postać przedstawiająca Klabunda siedzi na ławce i coś pisze. Wedle inicjatorów ławeczki, pisarz tworzy *Odę do Krosna*.

## **Zamek Piastowski w Krośnie Odrzańskim**

Początki zamku sięgają pierwszej połowy XIII wieku, gdy panował książę Henryk Brodaty. W czasie walk z Tatarami w 1241 r. księżna Jadwiga Śląska przebywała w krośnieńskiej rezydencji wraz z mniszkami trzebnickiego klasztoru. Przez wiele stuleci budowla była ważnym punktem strategicznym, pełniła funkcje reprezentacyjne i obronne. Jej przebudowę pod koniec XV w. zainicjowała wdowa po Henryku XI, Barbara Hohenzollern. Renesansową oprawę siedziba otrzymała w XVI w. za rządów margrabiego Jana Jerzego. Od tego czasu zamek stał się siedzibą wdów. Po wojnie trzydziestoletniej wdowa po elektorze brandenburskim Elżbieta Charlotta nadała budowli barokowy charakter i nakazała dobudowanie kaplicy i wieży. Za Fryderyka II zamek został zamieniony na magazyny wojskowe, a potem stał się koszarami armii pruskiej. W pierwszej połowie XX w. w części urządzono mieszkania, pozostałe stanowiły muzeum. W lutym 1945 r. wraz z lewobrzeżnym Krosnem zamek spłonął. Jego odbudowa rozpoczęła się pod koniec XX w. Najpierw został wyremontowany budynek bramny i uporządkowano dziedziniec. W 2008 r. zakończono rewitalizację części skrzydła południowego i kaplicy (wozowni) w skrzydle zachodnim. Dziś zamek jest centrum artystyczno-kulturalnym.

W zabytkowych murach są prezentowane wystawy stałe: *Od grodu do miasta, Millenium, Co krośnianie w domach mieswali, Co na zamku znalezione*. Zwiedzający mogą zobaczyć piwnicę winiarską, kuchnię zamkową, salę tortur, lapidarium.

Ekspozycje można oglądać codziennie, oprócz poniedziałków, jesienią i zimą od wtorku do piątku w godzinach 10.00-17.00, w soboty i niedziele w godzinach 12.00-17.00. Latem wystawy są czynne od wtorku do piątku w godzinach 11.00-18.00, a w soboty i niedziele od 12.00 do 18.00. Na dziedzińcu odbywają się m.in. koncerty, pokazy walk rycerskich.

Centrum Artystyczno-Kulturalne „Zamek”, w którym jest punkt informacji turystycznej, znajduje się przy ul. Szkolnej 1, w pobliżu kościoła pw. Świętej Jadwigi Śląskiej,  
tel. 68 383 89 94 i 68 359 16 37,  
e-mail: sekretariat@cak-zamek.pl, [www.cak-zamek.pl](http://www.cak-zamek.pl)



*Christa Wolf – fotografia z „Leksykonu literatury gorzowskiej”  
Krystyny Kamińskiej, Gorzów Wlkp. 2003*

## Christa Wolf

Urodziła się 18 marca 1929 w Landsbergu (pol. Gorzów Wielkopolski), zmarła 1 grudnia 2011 r. w Berlinie. Do 1945 r. mieszkała w przedwojennym Gorzowie. Po studiach germanistycznych w Jenie i Lipsku pracowała w Związku Pisarzy NRD i w redakcji miesięcznika „Neue Deutsche Literatur”, potem przeniosła się do Halle, gdzie była redaktorką w wydawnictwie Mitteldeutscher Verlag. Debiutowała w 1961 r. książką *Moskauer Novelle*. Jej powieści to m.in. *Podzzielone niebo*, *Rozmyślenia nad Christą T.*, *Aż do trzewi*. Po krótkim pobycie w Gorzowie w 1971 r. napisała *Wzorce dzieciństwa*. W 1997 r. jeszcze raz odwiedziła miasto nad Wartą.

## MIEJSCE W PAMIĘCI

Rozmowa z Christą Wolf, pisarką

– „Wówczas, latem 1971, padła propozycja, żeby pojechać wreszcie do L., dzisiejszego G.”. Czy Gorzów miała na myśli narratorka *Wzorców dzieciństwa*?

– Nie zaprzeczam i nie potwierdzam. Jak napisałam na stronie tytułowej, wszystkie postacie są wymyślone, a przedstawione epizody nie pokrywają się ze zdarzeniami rzeczywistymi.

– Kiedy pierwszy raz pani noga stanęła na gorzowskim bruku?

– Na gorzowskim czy landsberskim?

– Na gorzowskim.

– Było to w lipcu 1971 roku.

– Po 29 latach nieobecności?

– Dokładnie po 28 latach i sześciu miesiącach stanęłam na bruku miasta, które dawniej nazywało się Landsberg an der Warthe, a teraz jest Gorzowem Wielkopolskim.

– Wróciła pani tą samą drogą, którą wyjechała?

– Ja nie wyjechałam. Uciekłam razem z matką i bratem. Może lepiej powiedzieć to delikatniej: zbiegłam przed Armią Czerwoną. I nie z Gorzowa, a z Landsberga. Gorzów jest i nie jest moim miastem. W dowodzie osobistym jako miejsce urodzenia urzędnik napisał Landsberg an der Warthe.

– W literaturze, szczególnie niemieckiej, spotykam określenie „wypędzeni”. Niemcy zostali wypędzeni z miast i wiosek, w 1945 roku zajętych przez Polaków na mocy postanowień konferencji w Poczdamie.

– Ani mnie, ani mojej matki, ani mojego młodszego brata nikt nie wypędził z naszego domu w Landsbergu. 29 stycznia 1945 myśmy uciekli ostatnim ambulansem pocztowym przez most na Odrze w Küstrin. Uciekliśmy w ostatniej chwili. Ledwie zdążyliśmy przedostać się na zachodni brzeg Odry. Ojciec, wysłany z francuskimi jeńcami marszem w kierunku Myśliborza, we wsi Lubno dostał się do niewoli północnej grupy wojsk radzieckich. Mimo że ludność wzywano przez telegraf do opuszczenia miasta, wielu naszych sąsiadów zostało w Landsbergu, niektórzy nawet do lata 1946. Ale i ci nieposłuszni wobec władz niemieckich musieli opuścić swoje domy. Zostawili w nich swoje pierzyny, talerze, książki... Oni właśnie, zdaniem niemieckiego Związku Wypędzonych, zostali wypędzeni ze stron ojczystych. Polacy mówią, że nie wypędzeni, lecz wysiedleni. W oficjalnej nomenklaturze nazywa się to przymusowym transferem ludności niemieckiej z terenów znajdujących się poza obszarem alianckich stref okupacyjnych i Austrii.

– Czy tą samą drogą po 28 latach i sześciu miesiącach przyjechała pani do Gorzowa?

– Nie. Granicę przekroczyłam we Frankfurcie. Wtedy most na Odrze w Küstrin-Kietz – Kostrzyn od 1945 r., przez który prowadzi najkrótsza droga z Berlina do Gorzowa, miał znaczenie wojskowe i dlatego był zamknięty dla cywilów i ich samochodów.

– Korciło panią, żeby zobaczyć miasto wpisane do dowodu osobistego jako miejsce swego urodzenia?

– Ma pan na myśli Gorzów?

– Mam na myśli Gorzów, który do 1945 roku był Landsbergiem.

– Uciekłam z Landsberga jako szesnastolatka. To za dużo, żeby pamiętać i za mało, żeby tęsknić. Myślałam o Landsbergu, ale czy moim największym marzeniem było tu przyjechać, nie wiem. Pewnie nie, bo przecież gdybym tak bardzo chciała przyjechać do Gorzowa wcześniej, to jako członkini Związku Pisarzy NRD mogłam

bywać za granicą. Enerdowski Związek Pisarzy i Związek Literatów Polskich utrzymywały oficjalne kontakty.

– Czekala pani, aż rządy NRD i PRL podpiszą umowę „o wzajemnych podróżach obywateli obu państw”?

– Wtedy, kiedy byłam w Gorzowie latem 1971 r., miałam paszport i wystarałam się o wizę. Przejazdy przez granicę na podstawie stempelka w dowodzie osobistym mogły się odbywać dopiero od 1 stycznia 1972. Gdybym o tym wiedziała, pewnie poczekałabym pół roku. Mnie się tak bardzo nie spieszyło.

– Mój ojciec, urodzony na Wołyniu, ostatni raz stapał po tamtej ziemi w 1943 roku, kiedy szedł do wojska. W 1945 zajął polniemiecki dom w Kostrzynie. Wieczorami często opowiadał o mroźnych zimach na Wołyniu. Grusza, która stała na podwórzu, w jego wspomnieniach rodziła owoce większe niż głowy. Ptaki grały na skrzydłach, motyle fruwały przez cały rok. Ukraińscy sąsiedzi mieli gołębie serca. Swoją opowieść zawsze kończył zdaniem, że chciałby tam pojechać i zobaczyć, czy stoi dom rodzinny i przy nim grusza, co rodziła owoce większe niż głowy. Gdy można było jechać za Bug, wykreślił się podeszłym wiekiem. Myślę, że tak naprawdę ojciec nigdy nie chciał tam jechać, żeby się nie zawieść.

– Uważa pan *Wzorce dzieciństwa* za moją podróż w tamte lata? Napisałam je dlatego, żeby wspominać? Rozpaczać nad utraconą ziemią? Domagać się zwrotu domu albo zadośćuczynienia?

– Z ręką na sercu może pani powiedzieć, że nie o to chodziło?

– Jeśli zaprzeczę, że przyjazd do Gorzowa był inspiracją do napisania *Wzorców*, będzie to kłamstwo. Z drugiej strony tą powieścią próbowałam dokonać rachunku sumienia. Nie rozliczyć się z przeszłości, bo jako dziecko i nastolatka nie nagrzeszyłam aż tak, żeby bić się w piersi i prosić o przebaczenie. Zresztą kogo i za co? We *Wzorcach dzieciństwa* starałam się ukazać wspólnotę winy za drugą wojnę i wywołać dyskusję ze stereotypem, z jakim spotykałam się w propagandzie NRD, o dobrych, czyli wschodnich, i złych, czyli zachodnich Niemcach. *Wzorce...* to też jak najbardziej rzecz o współczesności. O Amerykanach wojujących z Wietnamczykami.

O torturach w Chile. O powodzi w Bangladeszu. O katastrofie kolejowej w Zagrzebiu. Takie ostrzeżenie przed konsekwencjami.

– Spytałem, czy dzisiejszy G. to dawny L. Pani odpowiedziała, że nie zaprzecza i nie potwierdza. *Wzorce dzieciństwa* są więc powieścią. To tylko literatura.

– W tym przypadku jest to literatura mocno wykorzystująca życiowe doświadczenia autorki. Pełnymi garściami czerpiąca z biografii. Ze źródła młodości i tęsknoty za miejscem utraconym. Po niemiecku *Wzorce...* ukazały się w 1976. Na polskie wydanie czekałam do 1981 r.

– W Gorzowie była pani jeszcze raz, w 1997 roku.

– Nie pamiętam na czyje zaproszenie przyjechałam do miasta mojego dzieciństwa. Mogłam odmówić. Jednak stawiałam się na rozmowę z mieszkańcami w teatrze pełnym starszych i młodszych, gdzie odpowiadałam na pytania. To było spotkanie z autorką książek w ogóle, a szczególnie z autorką *Wzorców dzieciństwa*, która mówiła o karczowaniu korzeni.

– Od którego miejsca zaczęła pani zwiedzanie Gorzowa wtedy, w 1971 roku?

– Od domu przy Armii Czerwonej, ale w mojej pamięci jeszcze to była Soldiner Strasse.

– Dziś jest to aleja Konstytucji 3 Maja.

– W latach trzydziestych postawiono tam kilka dwupiętrowych bloków mieszkalnych. Wtedy nowoczesnych. Ojciec prowadził niewielki sklep. Matka też pracowała w sklepie.

– Urodzony w 1928 roku Klemens Neumann wspomina, że wychowywał się w domu dziadków przy Zechowerstrasse 55, naprzeciwko szpitala miejskiego. „Na parterze mieszkała między innymi Christel Wolf, była mniej więcej w moim wieku, stała się więc moją pierwszą towarzyszką zabaw. Pan Wolf był wówczas bezrobotnym członkiem partii komunistycznej. Nosił mundur i grał na werblach w orkiestrze”. W 1933 „pan Wolf założył mundur i był doboszem SA”.

– Zbieżność nazwisk. Nigdy nie poznałam Klemensa Wolfa i w Landsbergu nie mieszkalam przy Zechowerstrasse 55. Mój ojciec nie grał na żadnym instrumencie muzycznym. Nigdy nie był bezrobotnym. Nie chodził w brunatnej koszuli i nie należał do Sturmabteilung.

– *We Wzorcach...* napisała pani, że „rozumne dziecko zapomina pierwsze trzy lata swojego życia”. Co to znaczy?

– Uчени twierdzą, że dzieci nie nie pamiętają z trzech pierwszych lat swego życia. Wykasowują je. W nauce nazywa się to dziecięcą amnezją. Jeśli jako dorośli zapewniamy, że coś pamiętają, to jest tylko wyobraźnia. Nie wierzę uczonym, bo bardzo dużo pamiętam z najwcześniejszych lat. W swojej pamięci przechowuję na przykład to, jak pijany krawiec szedł przez Sonnenplatz, jak śpiewał „Ty wierna nie możesz być, o nie, choć usta twe miłość wieczną przysięgły mi”. Pamiętam, gdzie się zaczynała i w którym miejscu kończyła Werpritzer Chaussee, teraz Kostrzyńska. Co powiedział ojciec podczas konfirmacji, co matka, co pastor Grunau. Powtórzyć?

– **Dziękuję. Nie. Proszę pani, jaki był Landsberg w 1929 roku?**

– Położony na obu brzegach Warty Landsberg należał do rejencji frankfurckiej obejmującej wschodnią część Brandenburgii. Na pewno był największym ośrodkiem miejskim po wschodniej stronie Odry między Stettin a Liegnitz i Breslau. W 1892 miasto zostało wydzielone z powiatu ziemskiego i od tego roku stanowiło powiat grodzki, taki sam jak Frankfurt, Guben, Cottbus i Forst w rejencji frankfurckiej. W roku mojego urodzenia w Landsbergu żyło 45 tysięcy osób. Nie było to miasto ani wyraźnie przemysłowe, ani handlowe, ani rolnicze, ani kulturalne czy oświatowe. Miało wszyskkie po trosze, a to oznaczało, że życie w nim było zwyczajne.

– **Nie było dzielnic biedy?**

– Biedacy mieszkali na Brückenvorstadt, jak nazywaliśmy Zamoście czy Zawarcie. Tamta, zawarciańska część Landsberga była mi najmniej znana. Nie miałam powodu tam chodzić. Wiedziałam, że z centrum trzeba przejechać przez most na drugi brzeg Warty. Tamtejsi ludzie pracowali w przędzalni i tkalni juty założonej przez Maksa Bahra albo w wytworni powrozów. Ich domy były

małe, stare, często dachami liżące ziemię, wiosną w piwnicach stała woda. Dzieci tych ludzi nie chodziły do tych samych szkół co my, nie kąpały się w tych samych miejscach w rzece, tylko poza kąpieliskiem, gdzie były ławice piasku i wiry i gdzie młodzi zamościanie nawiązywali znajomości z flisakami i marynarzami.

**– Pani uczyła się w szkole w pobliżu domu?**

– Chodziłam do Mädchenlyzeum, szkoły dla dziewcząt, przy Böhmstrasse. Jeśli dobrze zapamiętałam ze spotkania w teatrze, to jej miejsce zajął „Economik”.

**– Od poniedziałkowego ranka do sobotniego wieczora rodzice pracowali w sklepie, pani chodziła do szkoły. A jak wyglądały niedziele?**

– Byliśmy rodziną chrześcijańską, więc każdej niedzieli chodziliśmy do kościoła. Po obiedzie, zawsze bardziej uroczystym, bo tego dnia mama nie pracowała w sklepie, szliśmy na spacer po parku, na festyn, latem na lody, na lemoniadę. Zimą sporo czytaliśmy.

**– Czy chodziła pani do teatru?**

– Budynek teatru nie zmienił się od przedwojennych czasów. Dziś stoi przy Teatralnej, dawniej przy Theaterstrasse. Na zadane pytanie ze wstydem odpowiadam, że nie chodziłam do teatru. I wcale nie dlatego, że grane tam sztuki były łatwe, proste i przyjemne. W mojej rodzinie, typowo mieszczańskiej, nie było w zwyczaju bywanie w teatrze. Ojciec chodził do restauracji z kolegami. Mama była wręcz wzorcową kobietą niemiecką, pasującą do sloganu: Kinder, Küche und Kirche. Nie buntowała się, gdy narodowi socjaliści przekonywali, że dla niemieckiej kobiety światem jest jej mąż, jej rodzina, jej dzieci i jej dom.

**– W 1932 roku, kiedy partia nazistowska objęła władzę w Niemczech, co się zmieniło w mieście?**

– Do lokali wyborczych poszło 28.658 landsberczyków. 15 055 oddało swój głos na narodowych socjalistów. Najwięcej przeciwników NSDAP było w dzielnicy robotniczej, po drugiej stronie Warty. Niebawem po tym zaczęły się dziać dziwne rzeczy. W wyborach 13 listopada tego samego roku frekwencja wyniosła niemal sto procent.



Większość głosowała tak, jak tego oczekiwali naziści. Landsberg przodował w Marchii Wschodniej. W tym samym roku NSDAP miała półtora miliona członków. Jak pisał „General Anzeiger”, obóz koncentracyjny w Dachau mógł pomieścić „pięć tysięcy próżniaczych, niebezpiecznych dla ogółu i niepewnych elementów”.

– **Partia nazistowska w Landsbergu też rosła w siłę?**

– Narodowi socjaliści szybko urosli w siłę. Większość w partii stanowili mężczyźni, raczej młodzi, związani z handlem, transportem, urzędnicy, pracujący w fabrykach jako średni personel kierowniczy. A gdy po 1932 roku członkowie Sturmabteilung w brunatnych koszulach znowu wyszli na ulice, ludzie zaczęli się bać. Przecież zwycięstwo wyborcze nazistów rok wcześniej było możliwe tylko przy poparciu siłowym SA.

– **Sturmabteilungen były głównym narzędziem terroru?**

– Już chyba tak. W „General Anzeiger” znalazłam informację, że pod koniec lata 1933 landsberski standartenführer SA Rudi Arndt pytał mieszkańców, od kogo reporter gazety dowiedział się, że w pobliżu naszego domu na Wepritzer Chaussee został zastrzelony urzędnik ubezpieczeniowy.

– **A dlaczego został zastrzelony?**

– Benno Weisskirch miał narzeczoną Żydówkę. Kazano mu zerwać ten, jak podała gazeta, haniebnny romans. Odmówił i dlatego zginął. Według Arndta, zmarł nie na wskutek pobicia przez jego SA-manów, lecz na atak serca. „Od małego lania jeszcze nikt nie umarł”, powtórzyła gazeta za standartenführerem.

– **Czy już wtedy było popularne hasło „Dobro ogółu ważniejsze od prywaty”?**

– Cała propaganda narodowych socjalistów opierała się na hasłach. Tą drogą najłatwiej można było dotrzeć do Niemców. Nie trzeba było rozwijać myśli. Wystarczyło stanąć na mównicy, zacisnąć dłoń w kułak i krzyknąć. Do historii przeszło wiele zawołań Goebbelsa. Na przykład takie: „Im większe kłamstwo, tym ludzie łatwiej w nie uwierzą”, „Zwykła propaganda ma niewiele wspólnego z obiektywizmem i jeszcze mniej z prawdą”. „Dajcie mi pięć lat, a nie poznacie

Niemiec”. To Hitler, gdy przejmował władzę. „Dobre kłamstwo jest jak magiczne zaklęcie”. „Sumienie to żydowski wynalazek”.

– **To też przekazywano uczennicom w Mädchenlyzeum?**

– We *Wzorach...* jest taki fragmencik, proszę posłuchać: „Niemiecka dziewczynka, powiedział pan Warsinsky, musi umieć nienawidzić: Żydów, komunistów i innych wrogów narodu. Jezus Chrystus, mówił pan Warsinsky, byłby dzisiaj stronnikiem führera i nienawidziłby Żydów.”

– **Przerażające.**

– W „General Anzeiger” z 1936 r. znalazłam informację o czerwcowej imprezie, gdy landsberska Hitlerjugend urządziła święto przesilenia dnia z nocą. Motto uroczystości brzmiało: „Chcemy płonąć, ażeby w naszych dziełach dać ciepło jeszcze przyszłym pokoleniom”. Szef okręgu oświadczył, że „nie wystarczy już wołać: Zbudźcie się, Niemcy! Teraz musimy wołać: Zbudź się Europo!”

– **Pani należała do Hitlerjugend?**

– Każda uczennica należała do jakiejś organizacji.

– **W moich latach szkolnych dziewczyny prowadziły pamiętniki. Dawady je wybranym chłopcom, żeby coś tam wpisali. Nie chodziło im o byle co, ale o jakieś zdania dotyczące zauroczenia...**

– Myśmy też prowadziły takie pamiętniki. Najczęściej były w nich sentencje w rodzaju „Na górze róże, na dole fiołki, kochajmy się z tobą jak dwa aniołki”. A Hella Teichmann pisała: „Kto chce żyć, ten walczy. A kto nie chce walczyć w tym świecie wiecznych zmagają, nie zasługuje na życie!”.

– **Sama to wymyśliła?**

– Powtórzyła chyba po kimś ważnym. Może po Hitlerze. Pan sobie pewnie nie zdaje sprawy, jaką siłą przekonywania miał ten człowiek. Ilu młodych ludzi bezmyślnie powtarzało wykrzywane przez niego hasła. To porażające.

– **Landsberg był miastem żydowskim?**

– Landsbersecy Żydzi nie rzucali się w oczy. W 1933 r. było ich już tylko 435, co stanowiło blisko jeden procent mieszkańców miasta. Ale byli, na to zwracają uwagę historycy, znaczącą siłą gospodarczą w mieście i okolicy. Lemkowie mieli fabrykę obuwia, Mannheimowie zajmowali się handlem zbożem, do Reichmannów należały banki. Żydowskie pochodzenie miało wielu lekarzy, aptekarzy, prawników, nauczycieli, właścicieli dużych magazynów, sklepikarzy.

– **Z innych miast Żydzi zaczęli emigrować do Palestyny.**

– Z Landsberga także. Wyjeżdżali ci, którzy przeczuwali, że będą zastraszani i zmuszani do opuszczenia Niemiec. Zdecydowana większość, mimo że ich prawa były coraz bardziej ograniczane, jednak to lekceważyła. Wierzyli, że jako pełnoprawni obywatele państwa niemieckiego mogą czuć się bezpiecznie. Mieli w pamięci choćby to, że wielu ich rodaków w czasie pierwszej wojny światowej oddało życie walcząc w armii niemieckiej.

– **Ledwie naziści objęli rządy w Niemczech, już ogłosili akcję antyżydowską.**

– Władze w Berlinie zdecydowały oznaczenie sklepów żydowskich specjalnymi napisami. Akcję zaplanowano na 1 kwietnia 1933. Odbывała się pod hasłem „Dobro ogółu ważniejsze od prywaty”. W Landsbergu objęła ona dziewięciu lekarzy, jednego weterynarza i dziewięciu adwokatów. „General Anzeiger” nie podaje liczby kupców żydowskich, których to dotyczyło. Przed sklepami i drzwiami kancelarii adwokackich i gabinetami lekarzy stały posterunki SA. Nikt nie mógł wejść do budynku.

– **Bojkotowano wyłącznie Żydów?**

– Pewnie nie. W „General Anzeiger” znalazłam taką informację: „Wprowadzony w sobotę przez SA bojkot pana mecenasa i notariusza doktora Murta Meyera z Landsberga, Friedeberger Strasse 2, był wynikiem pomyłki i został cofnięty”.

– **Co pani zapamiętała z roku 1936?**

– Olimpiadę w Berlinie. Bohaterem zawodów lekkoatletycznych był czarnoskóry Amerykanin Jesse Owens, zdobywca trzech złotych medali w biegach na 100 i 200 metrów oraz w skoku w dal

i pierwszego miejsca w sztafecie 4×100 metrów. Owens został bohaterem słynnego filmu Leni Riefenstahl o berlińskich igrzyskach. Może nie tyle zapamiętałam, co przeczytałam w „General Anzeiger”.

– Często powołuje się pani na „General Anzeiger”.

– Do Landsberga docierały gazety wydawane w Berlinie. Na miejscu wychodziło kilka tytułów, ale ja najlepiej zapamiętałam właśnie „General Anzeiger”. Pewnie dlatego, że rodzice abonowali tę gazetę. Abonowali też inne czasopisma, niestety, tytułów nie pamiętam.

– W polskim wydaniu *Wzorców...* na stronie 198 są takie zdania: „Tak zwana później »noc kryształowa« odbyła się z 8 na 9 listopada [1938]. 177 synagog, 7500 żydowskich sklepów zostało zniszczonych na terenie Rzeszy. W wyniku zarządzeń państwowych Żydzi po tym spontanicznym wybuchu ludowego gniewu zostali wywłaszczeni, ich synowie i córki usunięci ze szkół i uniwersytetów”. A jak to wyglądało w Landsbergu?

– Po tej nocy do mojej klasy nie chodziła żadna żydowska dziewczynka. Kilka lat później jedna z koleżanek odmówiła śpiewania kolędy „Raduj się, córo Syjonu”, ze względu na gloryfikację żydostwa w tej pieśni. Nauczyciel muzyki Johannes Freidank dostał napadu wściekłości i wytknął, że żydowskie dziewczynki dawniej nie odmawiały śpiewania chrześcijańskich pieśni. Koleżanka zaprotestowała przeciw porównaniu jej z Żydówką.

– Wróćmy do listopadowej nocy 1938 roku w Landsbergu.

– O tym, że w nocy z 8 na 9 listopada synagoga została spalona, dowiedziałam się rano. Po środku małego placu, otoczonego małymi, krzywymi domami, stała ruina. Dymiała jeszcze, kiedy tam poszłam po lekcjach. Była to pierwsza ruina, jaką widziałam w życiu. Przy jednym z tych małych domów była brama wjazdowa, stanęłam w niej i się przyglądałam. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu i przerażeniu z drzwi wypalonej świątyni wyszli mężczyźni. Czterech lub pięciu z długimi brodami, w czarnych czapkach na głowach i w czarnych, długich płaszczach. Do domku z pruskiego muru wnieśli swoje święte złote skarby. Wypalone mury synagogi widziałam jeszcze pod koniec stycznia 1945 r.

– Zanim wojna podeszła pod Landsberg, do miasta musiała dotrzeć wiadomość o klęsce armii Paulusa pod Stalingradem.  
– To miało być zwycięstwo, otwarcie drogi na żyzny Kubań i bogaty Kaukaz. „General Anzeiger” pisał, że „poświęcenie 6 Armii świętym zobowiązaniem dla nas wszystkich!”

– Jak pani to rozumiała?

– Panna Schröder, nauczycielka robót ręcznych, wpadła do rozwrzeszczanej, szalejącej klasy, ale nie z powodu tej klęski, i ciskała gromy: Czy wy się nie wstydzicie? Nasi niemieccy żołnierze umierają pod Stalingradem, a wy śmiejecie się i śpiewacie.

– Wiele lat temu rozmawiałem z łużyckojęzycznym pisarzem i ilustratorem książek Měrcinem Nowakiem-Njechorńskim. Przyznał się, że w czasie wojny służył w Wehrmachcie w Warszawie. Spotykali go Polacy, których poznał w Berlinie w czasie, kiedy współpracował z czasopismem „Młody Polak w Niemczech”. Wstydził się tego, że nosi niemiecki mundur, ale nie protestował, ponieważ był lojalnym obywatelem niemieckim narodowości łużyckiej.

– Znałam Nowaka. Myślę, że wiele osób co innego myślało i co innego robiło. Tak też było w Landsbergu.

– Dziękuję za rozmowę.

## Ważniejsze daty w dziejach Landsberga i Gorzowa

- 1257 – 2 lipca: lokacja Landisberch Nova na prawie brandenburskim
- 1262 – około tego roku rozpoczęto budowę kościoła Mariackiego, dzisiejszej katedry
- 1345 – 11 lutego: pożar strawił całe miasto
- 1348 – 29 listopada: najstarszy dokument opatrzony pieczęcią sekretną Landsberga
- 1402 – 9 sierpnia: na 52 lata miasto przejmują krzyżacy
- 1454 – 8 kwietnia: wraz z Nową Marchią miasto wróciło do Brandenburgii
- 1539 – 1 listopada: początek reformacji w Landsbergu
- 1563 – 5 stycznia: spalono 5 kobiet uznanych za czarownice
- 1627 – 22 czerwca: wojska cesarskie zajęły miasto
- 1631 – 15 kwietnia: po raz pierwszy Szwedzi zdobyli miasto
- 1647 – 22 kwietnia: najtragiczniejszy pożar w historii miasta, ocalał jedynie ratusz, kościół i kilka pobliskich domów
- 1652 – we Frankfurcie nad Menem ukazał się 13 tom *Typographia Germaniae*, zawierający miedzioryt z panoramą Landsberga
- 1798 – początek budowy Krajowego Domu Ubogich, gdzie dziś ma siedzibę Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa
- 1820 – 1 stycznia: zaczął się ukazywać „Neumärkische Wochenblatt”
- 1857 – 9 grudnia: uruchomiono gazownię miejską, zapalono lampy gazowe oświetlające ulice
- 1885 – rozpoczęto budowę zakładu leczniczego dla psychicznie chorych
- 1892 – 31 marca: utworzono powiat grodzki
- 1897 – 20 czerwca: uruchomiono fontannę Pauckscha
- 1899 – 29 lipca: uruchomiono trzy linie tramwajowe
- 1899 – 1 września: do mieszkań popłynął prąd elektryczny
- 1935 – 21 września: do Landsberga wróciło wojsko
- 1938 – 8 listopada: spalenie synagogi
- 1943 – 23 czerwca: uruchomiono dwie linie trolejbusowe
- 1945 – 30 stycznia: pododdziały 5 Armii Uderzeniowej weszły do miasta
- 1945 – 28 marca: ukonstytuowała się polska administracja
- 1945 – 15 sierpnia: powstała administracja apostolska kamieńska, lubuska i prałatury pilskiej

- 1946 – 7 maja: miasto przyjęło nazwę Gorzów Wielkopolski
- 1950 – 28 czerwca: Gorzów przestał być siedzibą ekspozytury Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego, wszedł w skład województwa zielonogórskiego
- 1962 – 1 stycznia: granice miasta poszerzyły się o Siedlice, Chwałęcice Dolne i Wieprzyce
- 1971 – 24 kwietnia: powstała filia poznańskiej Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego (dziś Wydział Zamiejscowy Kultury Fizycznej AWF)
- 1972 – 28 czerwca: została erygowana diecezja gorzowska
- 1975 – 1 czerwca: powstało województwo gorzowskie
- 1992 – 25 marca: siedzibę biskupa przeniesiono do Zielonej Góry, zmieniono nazwę na diecezja zielonogórsko-gorzowska
- 1997 – 2 czerwca: w mieście przebywał papież Jan Paweł II
- 1999 – 1 stycznia: powstało województwo lubuskie z siedzibą wojewody w Gorzowie i marszałka w Zielonej Górze



*Georgij Żukow – zdjęcie ze strony internetowej [pl.wikipedia.org](http://pl.wikipedia.org)*

### **Georgij Konstantinowicz Żukow**

Urodził się 19 listopada (1 grudnia) 1896 w Strielkowce w guberni kałuskiej, zmarł 18 czerwca 1974 r. w Moskwie. W 1916 r. ukończył szkołę podoficerską, dwa lata później wstąpił do Armii Czerwonej. Podczas drugiej wojny światowej najpierw był szefem Sztabu Generalnego, potem zastępcą naczelnego wodza. Dowodził wojskami radzieckimi pod Stalingradem. W 1943 r. został marszałkiem, następnie przejął dowództwo 1 Frontu Białoruskiego i kierował operacją berlińską. Był dowódcą wojsk lądowych ZSRR i ministrem obrony. Napisał *Wspomnienia i refleksje*.



## JAK HIROSZIMA

Rozmowa z marszałkiem Georgijem Żukowem,  
dowódcą 1 Frontu Białoruskiego

– Brytyjski historyk Geoffrey Roberts w książce *General Stalina* pisze, że był pan najważniejszym i najciekawszym dowódcą radzieckim. „Kimś, kto stał się postacią symboliczną nie tylko w Rosji, ale i na świecie”. Na świecie postrzegano pana jako militarnego architekta radzieckiego zwycięstwa nad Niemcami.

– Moje zwycięstwa zaczęły się od największej bitwy pancерnej drugiej wojny światowej – na Łuku Kurskim. Tam tylko koordynowałem działania naszych armii. Zresztą do 1944 byłem oficerem do zadań specjalnych. Otoczenie Stalina twierdziło, że najlepiej wykonuję takie rozkazy. Później było różnie, nawet popadłem w niełaskę Stalina. Byłem na wozie i pod wozem. Lekceważony za Chruszczowa, gloryfikowany za Breżniewa. Zapominany i znowu podziwiany.

– Mnie interesuje udział pana w drugiej wojnie światowej, nie całej wojnie, a jedynie tej toczonej zimą i wiosną 1945 roku. Jakie zadanie wtedy pan dostał?

– Zimowa ofensywa Armii Czerwonej w pierwszym etapie oznaczała rozbięcie wszystkich zgromadzeń niemieckich na zachód od Wisły i osiągnięcie rubieży Bydgoszcz – Poznań. W drugim etapie nasze wojska miały rozbić umocnienia przy granicy polsko-niemieckiej, to, co historia nazwała Wałem Pomorskim, przekroczyć z marszu Odrę i zająć Berlin. Założyliśmy, że linia Odry jako niemiecka rubież

obronna odegra nieistotną rolę i szybko znajdziemy się w stolicy Trzeciej Rzeszy.

– Było inaczej.

– Jołki-pałki, było.

– **I dlatego generał Konstanty Rokossowski przestał dowodzić 1 Frontem Białoruskim?**

– Dowództwo 1 Frontu Białoruskiego objąłem 16 listopada 1944 r., kiedy jeszcze byłem pierwszym zastępcą naczelnego wodza, czyli Stalina. Kwatera Główna Naczelnego Dowództwa Radzieckich Sił Zbrojnych przekonała go, że wojna zbliża się do końca. Od zachodu alianci kolejno wyzwalały kraje okupowane przez Niemcy. Od wschodu napierała Armia Czerwona. Stalin uznał, że z militarnego, a przede wszystkim politycznego punktu widzenia byłoby źle widziane, gdyby Berlin, gniazdo faszyzmu, zdobyły nasze wojska pod dowództwem generała, mówił o Rokossowskim. Zwycięskimi oddziałami Armii Czerwonej powinien dowodzić ktoś bardzo wysokiej rangi, miał na myśli siebie lub swego pierwszego zastępcę. Wypadło na mnie, tym bardziej że Stalin, delikatnie określając, nie najlepiej znał sprawy wojskowe.

– **Mówiono, że Stalin był okrutny i że znał się na wszystkim.**

– Był „człowiekiem ze stali”, „lokomotywą historii”, „bolszewikiem z granitu”, „uniwersalnym geniuszem”, „słońcem narodów”. Tak pisali o nim ci, którzy byli w jego otoczeniu albo czerpali z tego korzyści. Totumfaccy. On mówił: „Nie wierzę nikomu. Nie wierzę nawet sobie samemu”. I dodawał: „Wolę, gdy ludzie popierają mnie ze strachu niż z przekonania. Przekonania są zmienne, strach zawsze jest ten sam”. Po śmierci Stalina ukazało się wiele prac psychologów i psychiatrów. Ich zdaniem „uniwersalny geniusz” miał cechy paranoika, takie jak podejrzliwość, manię wielkości, wrogość, myślenie urojone.

– **1 Front Białoruski był związkiem strategicznym Armii Czerwonej. Powstał w lutym 1944 roku, tak?**

– Powstał z przemianowania Frontu Zachodniego z zadaniem dotarcia do Berlina. Jego skład się zmieniał. Ostatnie swoje zadanie,

operację wiślańsko-odrzańską, przeprowadził z armiami uderzeniowymi 3 i 5, 8 Armią Gwardii, armiami: 33, 47, 61 i 69, z armiami pancernymi gwardii 1 i 2, korpusami kawalerii 2 i 7, korpusami pancernymi 9 i 11 i 16 Armią Lotniczą. W składzie Frontu były oddziały Wojska Polskiego.

**– Przez Środkowe Nadodrze prowadziła najkrótsza droga do Berlina. Obszar ten od strony niemieckiej jednak był silnie umocniony.**

– Niemcy od zakończenia pierwszej wojny światowej przygotowywali się do kolejnej. Zdawali sobie sprawę, że ich militarnym przeciwnikiem z jednej strony będzie Francja, która zbudowała Linie Maginota i może Anglia. Drugim przeciwnikiem będzie Rosja, która może ich pokonać na terytorium Polski, napierając po najkrótszej drodze. Dlatego przy granicy z Rzeczpospolitą na północy zbudowali Wał Pomorski. W centrum był Rygiel Warty i Międzyrzecki Rejon Umocniony, a na południu Pozycja Środkowej Odry. Mieliśmy rozeznanie, że poza umocnieniami Niemcy ustawili dodatkowe zapory inżynieryjne i zaminowali przedpola. Ale, i to bardzo ważne, mieliśmy mądrych dowódców, którzy nie dali się zaskoczyć.

**– Jakie umocnienia poza ogólnie znanymi ma pan myśli?**

– Po klęsce na Łuku Kurskim, kiedy jedni generałowie niemieccy szukali wyjścia z sytuacji, a najrozsądniejszym rozwiązaniem było odsunięcie Hitlera, drudzy stawiali umocnienia na kierunku wschodnim. Poza tymi najbardziej znaczącymi, czyli Wałem Pomorskim, Międzyrzeckim Rejonem Umocnionym i Pozycją Środkowej Odry, pod koniec 1944 zbudowali Rygiel Bobru od Krosna Odrzańskiego przez Żagań do Leszna Górnego. W tym samym czasie zaczęli organizować Odrzańsko-Nyski Rejon Umocniony między Frankfurtem a Mużakowem. Ponadto wykorzystując gęstą sieć wodną na Środkowym Nadodrzu, byli gotowi zalać ten obszar, co miało utrudnić naszym wojskom atak na ich pozycje.

**– Domyślam się, że po licznych klęskach na wschodzie Niemcy zrewidowali swoją taktykę militarną.**

– Po klęskach pod Stalingradem i na Łuku Kurskim Niemcy z pozycji atakującego zaczęli przechodzić do pozycji broniącego się.

W styczniu 1944 generał Guderian wystąpił z wnioskiem o odbudowę starych pruskich twierdz, miał na myśli Frankfurt, Gubin, Głogów i przede wszystkim Kostrzyn. Przypominał, że Festung Küstrin, czyli Kostrzyn to wschodnia brama do Berlina. I gdy w 1944 r. zastąpił Kurta Zeitzlera na stanowisku szefa Sztabu Generalnego, wydał rozkaz w sprawie obszarów umocnionych.

– **Wtedy twierdza w Kostrzynie została unowocześniona?**

– Kostrzyn, położony w widłach Warty i Odry, zawsze odgrywał bardzo ważną rolę militarną. Schodziło się tu siedem linii kolejowych. Na wyspie przy ujściu Warty do Odry została zbudowana cytadela. Stały tam forty obronne. Wokół miasta także znajdowały się forty. W pobliżu było aż siedem mostów, przez które można było się dostać do centrum. Tak Niemcy, jak i my wiedzieliśmy, że ich zniszczenie oznacza odcięcie twierdzy od zaopatrzenia, a w dłuższym czasie kapitulację. Niemal wszystko w mieście było podporządkowane wojsku. Tamten Kostrzyn można śmiało nazwać najbardziej zmilitaryzowanym miastem w środkowej Europie. Żeby otworzyć drogę do Berlina, musieliśmy je zdobyć.

– **Nie mam kwalifikacji wojskowych, dlatego jako laik postąpiłbym tak: okrążyłbym miasto identycznie jak w 1941 roku Niemcy zablokowali Leningrad. Wziął je głodem.**

– Padła taka podpowiedź w naszym gronie, ale nie wchodziła w rachubę.

– **Dlaczego?**

– Jołki-pałki, Stalinowi chodziło o szybkie zwycięstwo.

– **Współcześni historycy twierdzą, że Stalin uznał Kostrzyn za poligon doświadczalny w bitwie o Berlin. Po drugie, że nie wskazał, kto ma zdobyć stolicę Trzeciej Rzeszy – pan z 1 Frontem Białoruskim czy generał Koniew z 1 Frontem Ukraińskim. Postawił na rywalizację między swoimi marszałkami?**

– Koniew i ja mieliśmy jeden, identyczny cel: dojść do Berlina i zawiesić czerwoną flagę radziecką na Bramie Brandenburskiej. Mieliśmy też nad sobą sztab w Moskwie, a ten początkowo stał na

stanowisku, że Berlin zdobędzie 1 Front pod moim dowództwem. Przecież dlatego Stalin wysłał mnie na front. Potem sztabowcy zmiękli i zgodzili się, że decyzję ostateczną, czy front pierwszy wejdzie do jaskini lwa, podejmą w trakcie operacji berlińskiej.

– Skoro wspomniał pan o fladze, to czy jest prawdą, że na Bramie Brandenburskiej, Kolumnie Zwycięstwa w parku Tiergarten i na Reichstagu zawisły polskie flagi, ale wasi komisarze polityczni kazali je zdjąć? W walkach o Berlin brało udział Wojsko Polskie.

– Na wielu budynkach berlińskich zawisły flagi zwycięzców. Może polskie flagi też zostały zawieszone. Dla nas, żołnierzy rosyjskich, ukraińskich, białoruskich, gruzińskich i kto tam jeszcze wojował po naszej stronie, najważniejsze było zwycięstwo. Tylko to się liczyło.

– W jaki sposób dowództwo 1 Frontu zdobywało wiadomości o tym, co się dzieje po stronie niemieckiej?

– Jedną z form było rozpoznanie lotnicze. Inna, dokładniejsza, ale i mniej bezpieczna to zrzuty grup wywiadowczych na spadochronach. Oddziałem rozpoznawczym 1 Frontu Białoruskiego kierował generał Czekamazow. Do współdziałania z wywiadem udało mu się wcześniej zwerbować niemieckich cywilów i Niemców polskiego pochodzenia, których na tych terenach sporo mieszkało.

– Pod koniec stycznia 1945 roku wojska 1 Frontu dotarły w okolice Kostrzyna. Miały wziąć Odrę z marszu, ale się zatrzymały. Co stało na waszej drodze?

– Przedmieście bronił doborowy garnizon złożony z wojsk Wehrmachtu, SS i Volkssturmu, razem około 10 tysięcy żołnierzy. Całością dowodził generał Heinz Reinefarth, ten sam, który stłumił powstanie warszawskie i niemal doszczętnie spalił miasto. 30 stycznia rano nasz pierwszy batalion pancerny wdarł się do miasta, ale wieczorem musiał się wycofać. Mniej więcej w tym samym czasie batalion zmotoryzowany wyzwolił obóz koncentracyjny Alt Drewitz i od północy dostał się do miasta. Nasi rozbroili ponad tysiąc fryców. Jeńców zamknęli za drutami Drewitz, a lotnictwo niemieckie wzięło ich za naszych, zbombardowało ten teren, zabijając wszystkich.

– W tym czasie część oddziałów Armii Czerwonej dostała się na zachodni brzeg Odry. Czy wasi także zdobyli twierdzę w Kostrzynie?

– Jak powiedziałem, miasta broniły elitarne oddziały Wehrmachtu i SS. Oprócz Niemców w twierdzy był batalion węgierski oraz po dwa bataliony turkmeńskie i północnokaukaskie. Razem ponad osiem tysięcy nieźle uzbrojonych żołnierzy. Do tego trzeba dodać oddziały Volkssturmu i Hitlerjugend. Zza rzeki wspierały ich dywizje przerzucone z frontu zachodniego.

– Uderzenie 1 Frontu zostało zatrzymane w Kostrzynie. Ale skoro wojska 2 Frontu Białoruskiego i 1 Frontu Ukraińskiego przekroczyły Odrę, to dlaczego zatrzymały się i nie przedłużyły natarcia na Berlin? Przecież od stolicy Niemiec dzielił je zaledwie dzień marszu.

– Po zakończeniu wojny obwiniano nas, dowódców frontów radzieckich, o popełnienie błędu. A myśmy brali pod uwagę to, że armie niemieckie mogły nas zaatakować od północy. Trzeba więc było zabezpieczyć skrzydła, w przeciwnym razie mogło dojść do kompromitacji Armii Czerwonej. Zaopatrzenie naszych wojsk w materiały techniczne, paliwo, broń i amunicję było bardzo kiepskie. Każdego dnia zużywaliśmy 245 wagonów amunicji, potrzebowaliśmy co najmniej cztery tysiące ton paliwa. W dodatku Niemcom udało się utrzymać korytarz łączący Kostrzyn z Berlinem i tą drogą zaopatrywać swoje oddziały. I jeszcze jedno, czego nasi nie przewidzieli. Luty 1945 był ciepły, lód na Odrze cieniutki. To spowodowało, że nasze czołgi i samochody grzęzły na mokradłach odrzańskich, a żołnierze nie mogli przedostać się przez rzeczki, których tu było więcej niż na Polesiu.

– W tym samym czasie w Jałcie odbywała się konferencja z udziałem Stalina, prezydenta Stanów Zjednoczonych Roosevelta i premiera Wielkiej Brytanii Churchilla.

– Klęska Niemiec była przesądzona. Chodziło tylko o to, jak będzie wyglądał świat po zakończeniu wojny. Do Jałty Stalin przyjechał z gotowym planem: tam, gdzie stanie żołnierz radziecki, tam już jest Związek Radziecki. Pozostali przywódcy też mieli plany, z tym

że Stalin górował nad swoimi gośćmi między innymi tym, że Armia Czerwona była na przedpolu stolicy Trzeciej Rzeszy. Prawdę mówiąc Stalin wyznaczył zdobycie Berlina na 14-15 lutego.

– **A niemiecki Kostrzyn ciągle się bronił.**

– Jołki-pałki, podejmowaliśmy wiele prób zdobycia miasta. Dopiero 12 marca nasze wojsko dostało się do centrum Kostrzyna, zwanego Nowym Miastem. Niemcy jeszcze bronili się w twierdzy, a ponieważ jej dowódca został wzięty do niewoli, podpisanie kapitulacji uważałem za formalność, o czym powiadomiłem Stalina.

– **Następnego dnia w gazecie „Krasnaja Zwiezda” ukazał się rozkaz Stalina do pana jako dowódcy wojsk 1 Frontu Białoruskiego i generała Malinina, szefa sztabu Frontu. Zaczynał się od zdania: „Wojska 1 Frontu Białoruskiego po uporczywych walkach szturmem zdobyły miasto i twierdzę Kostrzyn, ważny węzeł kolejowy i silny punkt oporu Niemców nad Odrą, odsłaniając przedpole Berlina”.**

– W swoim rozkazie Stalin wymienił dowódców oddziałów, które odznaczyły się w bitwie o Kostrzyn. Była w nim też mowa o tym, że „Moskwa w imieniu ojczyzny saltuje bohaterskie wojska 1 Frontu Białoruskiego, które zdobyły miasto i twierdzę Kostrzyn, dwudziestoma salwami artyleryjskimi z 224 dział”.

– **Stalin nakazał przedstawić do odznaczenia orderami „formacje i jednostki, które najbardziej wyróżniły się w walkach o zdobycie miasta i twierdzy Kostrzyn”. A prawda była inna. Wasze wojska jeszcze nie zdobyły całego Kostrzyna.**

– Ujawnienie prawdy groziło kompromitacją Armii Czerwonej. Przyznając się, że wtedy stchórzyłem. Pierwszy raz. Nie zdecydowałem się, żeby sprostować wiadomość o zdobyciu Kostrzyna. Konsekwencje mogły się okazać dla mnie zgubne. Katastrofalne. Odwołanie ze stanowiska dowódcy byłoby karą najłagodniejszą. Pamiętałem o czyszkach stalinowskich w Armii Czerwonej w 1937 r., kiedy zamordowano lub skazano na łagry 35 tysięcy oficerów. Mówi się, że to zrobił Stalin. On, ale rękami swoich przybocznych. Każdy dyktator ma hufce przybocznych. Póty oni czują się mocni, ważni, póki knują i kryją się za plecami dyktatora. Przyboczni są bezwzględni, bo

wiedzą, że wszystko co złe, spadnie na dyktatora. Stalin był despotą, ale nie on osobiście przeprowadzał czystki. Robiła to tajna policja Jagody i Berii. A był jeszcze prokurator generalny Wyszyński, aparatczycy Jeżow, Poskriebszew, Szkiriatow. Dostanie się w ich ręce oznaczało jedno: śmierć.

**– Po 12 marca Niemcy nadal bronili się w kostrzyńskiej twierdzy. Na co czekał pan i pańscy sztabowcy?**

– Z pomocą obrońcom twierdzy szły elitarne oddziały. Mimo że Hitler odwołał Himmlera, dowódcę Grupy Armii „Wisła”, mianując na jego miejsce generała Heinriciego, nie mieliśmy pomysłu na zdobycie Kostrzyna. Nie mogliśmy zrobić ostatniego kroku.

**– Zmiana w kierownictwie armii niemieckiej chyba na niewiele się przydała.**

– Nasze oddziały już za daleko zaszły. Ale bez odpowiedzi pozostało pytanie: kiedy twierdza skapituje. Przyznaję, że nakazałem oficerom prasowym, żeby w komunikatach wysyłanych do Moskwy unikali nazwy Kostrzyn. Podawali więc, że zacięte walki toczą się w rejonie Kostrzyna.

**– I jeszcze długo się toczyły?**

– 28 marca nasze lotnictwo przeprowadziło zmasowany atak na twierdzę. Następnego dnia nastąpił ponowny atak samolotów i artylerii z działami. 30 marca o 6.30 rozpoczął się ostatni szturm naszych oddziałów, miały ono jedno zadanie: całkowicie zlikwidować opór przeciwnika. Nasze samoloty wykonały ponad trzy tysiące lotów bojowych i zrzucały na miasto blisko 900 tysięcy bomb.

**– Kiedy twierdza została zdobyta?**

– W komunikacie z frontu była mowa o 30 marca. „Wojska 1 Frontu Białoruskiego okrążyły, a następnie zlikwidowały na południowy zachód od Kostrzyna silny garnizon wojsk niemieckich, broniących rejonu między Wartą i Odrą”. Gdy dowódca 82 Dywizji zameldował o tym generałowi Czujkowowi, ten uznał, „że błąd został naprawiony”. Stalin nie poznał prawdy. Na wiadomość o poddaniu twierdzy w Kostrzynie, Hitler kazał aresztować jej dowódcę Reinefartha, postawić przed trybunałem wojennym i skazać go na śmierć. Wyroku



nigdy nie wykonano. Co ciekawe, rozmowy dotyczące kapitulacji Kostrzyna, które były formalnością, prowadził komendant Volkssturmu, kapitan Tamm.

– **Więc przez ile dni Armia Czerwona zdobywała Kostrzyn?**

– Zajęło nam to dwa miesiące. Żadnej twierdzy ani żadnego miasta tak długo nie zdobywaliśmy. Straty Niemców były ogromne, nasze też. Jednak najbardziej ucierpiało miasto niemal zrównane z ziemią. Ocalałe budynki dało się policzyć na palcach obu rąk.

– **Urodziłem się w powojennym Kostrzynie. Gdy wychodziłem z domu do szkoły, mama prosiła, żebym szedł prosto, ścieżką między gruzowiskami. W czasie waszych ataków w gruzach leżało 8278 domów. Zachowało się jedynie dziewięć, a tylko 50 innych budynków nadawało się do remontu. Wielu moich rówieśników rozerwały miny. To były wasze miny.**

– Szkopskie. Niemcy minowali miasto dlatego, żeby nasze czołgi i nasi żołnierze nie przedostali się do środka. Takie są zasady wojny. Ale myśmy wygrali i to się liczy, jołki-pałki.

– **Przez wiele powojennych lat Stare Miasto nazywano Pompejami nad Odrą. Na Kostrzyn, najbardziej zniszczony w Polsce, mówiono, że to Polska Hiroszima.**

– W czasie walk o Kostrzyn zginęło ponad sześć tysięcy naszych żołnierzy. Dwa razy tyle zostało rannych.

– **Po zajęciu Kostrzyna wojska parły na zachód. Kronikarze podają, że zanim to się stało, w pałacu w Dąbroszynie, gdzie był sztab 1 Frontu, najwyżsi rangą dowódcy radzieccy ustalili taktykę operacji berlińskiej.**

– Wszystko zarejestrował frontowy operator filmowy – jakby przewidział, że to będzie bardzo ważny dokument. Narada pod moim kierownictwem, o której pan wspomniał, rzeczywiście odbyła się w pałacu w Dąbroszynie, gdzie rozlokował się sztab 1 Frontu. Moi oficerowie wybrali ten pałac dlatego, że bywał tam Fryderyk Wielki. Że pałac był miejscem sobotnio-niedzielných wizyt poetów, malarzy, rzeźbiarzy, muzyków i pruskich panów. Że to „posiadłość

podobna do kosztownej laleczki do zabawy”. Tam 5 kwietnia 1945 ustaliliśmy taktykę forsowania Odry. Rozpoczęło się ono dziesięć dni później, zakończyło na początku maja bezwarunkową kapitulacją Niemiec.

– Dziękuję za rozmowę.

## Muzeum Twierdzy Kostrzyn

Kostrzyńska twierdza to zespół fortyfikacji wzniesionych i użytkowanych pomiędzy XV a XX wiekiem po obu stronach Odry. Większość została zniszczona w 1945 r. Ocalałe części są obecnie poddawane restauracji. Na całkowicie zrujnowanym Starym Mieście zachowała się siatka ulic. Niektóre są rekonstruowane, co oznacza, że w przyszłości miasto wróci na swoje historyczne miejsce.

Brama Berlińska jest jedną z trzech, które znajdowały się na terenie twierdzy. Została wzniesiona w drugiej połowie XVI w. Dzisiejszy kształt przybrała w latach 1877-1879. Na muzealną ekspozycję składają się zabytki znalezione na Starym Mieście i w okolicach. Wśród nich jest m.in. wieko sarkofagu Katarzyny Brunszwickiej (rekonstrukcja z 1882 r.), sarkofag ekshumacyjny z 1713, przedmioty z epoki brązu. W Bramie Berlińskiej mieści się punkt informacji turystycznej. Obiekt można zwiedzać od wtorku do piątku w godzinach 9.00-16.00 oraz w soboty i niedziele od 10.00 do 16.00.

Bastion Filip to jedna z trzech takich budowli znajdujących się w twierdzy. Został zbudowany 1568 r. Już w 1929 r. powstało w nim muzeum poświęcone twierdzy. Z bastionu rozciąga się piękny widok na zakola Odry.

Całe Stare Miasto stanowi muzeum na otwartym powietrzu.

Administracja muzeum mieści się  
przy ul. Granicznej 1 w Kostrzynie nad Odrą,  
tel. i faks: 95 752 23 60 i 95 752 00 45,  
e-mail [muzeum@kostrzyn.um.gov.pl](mailto:muzeum@kostrzyn.um.gov.pl),  
[www.muzeum.kostrzyn.pl](http://www.muzeum.kostrzyn.pl).



*Alfons Kowalski – fotografia z archiwum Muzeum  
Ziemi Międzyrzeczkiej*

## **Alfons Kowalski**

Urodził się 23 kwietnia 1914 w Inowrocławiu, zmarł 23 listopada 1993 r. w Piasecznie. Przed drugą wojną światową rozpoczął studia w Instytucie Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Ukończył je w 1946 r. w poznańskiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. W czasie okupacji najpierw był robotnikiem przymusowym w Niemczech, potem pracował w administracji samorządowej w Łukowie Podlaskim. W 1945 r. przyjechał do Międzyrzecza, gdzie został urzędnikiem w starostwie i zaczął tworzyć muzeum. Zbudował niemal od podstaw jedną z najbogatszych kolekcji muzealnych w regionie lubuskim. Jako plastyk uprawiał malarstwo i rysunek. Jest patronem muzeum w Międzyrzeczu.

## **STRAŻNIK SKARBÓW**

**Rozmowa z Alfonsem Kowalskim,  
muzealnikiem, malarzem i rysownikiem**

– Pana nazwisko poprzedzają imiona: Alfons lub Alf. Które jest właściwe?

– Na chrzcie dano mi Alfons. Tak też na początku małżeństwa zwracała się do mnie żona. Później mówiła Alfonsik. Rzadziej Fonek lub Fonsik. Jako Alfons Kowalski w środowisku międzyrzeckim i muzealników występowałem co najmniej do połowy lat pięćdziesiątych.

– Dlaczego zmienił pan swoje imię?

– Urzędowo nigdy go nie zmieniłem. W dowodzie osobistym zawsze miałem Alfons. Na pismach wychodzących z muzeum też podpisywałem się imieniem danym mi na chrzcie.

– To kiedy narodził się Alf Kowalski?

– W drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Sprawcą był Felchnerowski, Klem, jak wszyscy się do niego zwracali, mimo że w metryce i na urzędowej pieczęcie miał mgr Klemens Felchnerowski. Klem był wojewódzkim konserwatorem zabytków. Na każdej naradzie w Zielonej Górze przedstawiał mnie tak: Alfons Kowalski, ale to imię, nie zawód. Gdy się otwierałam usta, żeby zaprotestować, Klem dodawał ze śmiechem: Człowieku, to dla twojego dobra.

– Nie rozumiem.

– Klem szydził z mojego imienia. Zresztą nie tylko z mojego. Każdemu muzealnikowi, malarzowi, dziennikarzowi przypinał łatkę. Klem był poważny i rubaszny, przyjacielski i oficjalny, brat-łata i srogi szef.

– Przecież Alfons jest znane w większości krajów. To imię pochodzenia germańskiego, oznaczające człowieka szlachetnego, życzliwego, dobrego serca.

– Tłumaczyłem Klemowi, że w Polsce Alfons nadawano chłopcom na chrzcie od siedemnastego wieku. Imię spopularyzowali redemptoryści, których założycielem był święty Alfons Maria Liguori. Może byłoby dalej popularne, gdyby nie to, że od 1873 roku teatry zaczęły wystawiać komedię Aleksandra Dumasa syna *Monsieur Alphonse*. Jej tytułowy bohater trudnił się stręczycielstwem i czerpaniem korzyści z nierządu. Od tamtego czasu imię to zaczęto kojarzyć z sutenerstwem, ale nie w Czechach, nie w Niemczech, nie w Lichtensteinie, a jedynie w Polsce.

– Wielu władców Portugalii i Hiszpanii, artystów i duchownych nosiło to imię, o czym Felchnerowski, człowiek perfekcyjnie wykształcony, musiał wiedzieć.

– Próbowałem mu przypomnieć, że imię to nie przeszkodziło w osiągnięciu światowej sławy wybitnemu grafikowi czeskiemu, czołowemu przedstawicielowi secesji, za którego uchodził Mucha. Że to imię nosił znany mi krakowski malarz Karpiński. Że malarz i fotografik Alfons Długosz zainicjował działania prowadzące do uratowania zabytkowych komór i urządzeń kopalni soli w Wieliczce. Przypomniałem Alfonsa Dunina-Borkowskiego, także malarza. Był wybitny rzeźbiarz Xawery Dunikowski, ale i był nie mniej wybitny Alfons Karny, twórca popiersi Broniewskiego, Piłsudskiego, Schillera, którego prace są w muzeum biograficznym w Białymstoku. Nawet przywoływałem francuskiego poetę Alfonsa Allaisa, tego, który powiedział, że „Leniwy to taki człowiek, który nie udaje, że pracuje”. Klem nie lubił przegrywać, więc po moim *cfiszenrufie* odzywał się mniej więcej tak: W tym towarzystwie włos ci z głowy nie spadnie, mimo tak kompromitującego imienia.

– Co miał na myśli?

– A to, że byłem łysy jak kolano. Nawet wypadły mi włosy z brwi i rzęs. Ale czy to moja wina? Czy jest chociaż jeden mężczyzna na świecie, który nie chce mieć bujnej czupryny?

– Z biegiem lat także ubywa mi włosów na głowie, a te, które pozostały na skroniach, posiwiały. Pocieszam się tym, że łysienie dotyczy osiemdziesięciu procent żonatych i dzieciatych mężczyzn.

– Moi współpracownicy zawsze powtarzali, że mądrej głowy włos się nie trzyma. Ha-haa. A propos tego, o czym rozmawiamy. Jasio podczas obiadu spytał mamę, dlaczego tatuś jest łysy. Ponieważ jest bardzo mądry, odpowiedziała mama. To dlaczego ty, mamusiu, masz tak dużo włosów?... Ha-haa.

– W 1945 roku, gdy dopaliła się noc wojny, pan przyjechał do Dąbrówki Wielkiej, gdzie miejscowi działacze powołali Starostwo Pogranicza, i zgłosił się do pracy. Była to ciekawość, czyn patriotyczny...?

– Starostwo Pogranicza rzeczywiście powstało w Dąbrówce Wielkiej, jeszcze wtedy nie Wielkopolskiej, bo zaraz po przejściu frontu. Utworzyli je miejscowi patrioci. Starostą został Lucjan Brudło. W Dąbrówce istniało niewiele dłużej niż miesiąc. Potem wojewoda poznański przeniósł administrację powiatu do Międzyrzecza, o czym w czerwcu 1945 roku nie wiedziałem, dlatego dostałem się do Dąbrówki. Czy mój przyjazd do Dąbrówki był czynem patriotycznym? Zbyt wielkie słowo, ale może i ocierające się o prawdziwe oblicze tamtej decyzji. Zaraz po wyzwoleniu Poznania dostałem pracę w Muzeum Wielkopolskim. Tam usłyszałem, że trzeba zagospodarowywać ziemie odzyskane, a że byłem młody i niewiele mnie łączyło z Poznaniem, poszedłem dla stacji i wsiadłem do pociągu jadącego na zachód.

– Już wtedy miało się to odbywać wedle hasła „Byliśmy – Jesteśmy – Będziemy” z powieści Żeromskiego *Wiatr od morza*?

– W 1945 roku jeszcze nie kojarzono tego zdania z nowymi ziemiami, jak trąbiła oficjalna propaganda, ziemiami praojców, na które wróciła Polska. W Poznaniu, o czym dowiedziałem się jako pracownik muzeum, od rozbiorów było duże zainteresowanie Dolnym Śląskiem,

Ziemią Lubuską, Pomorzem Zachodnim. A w 1945 roku szczególnie uaktywniła się mocna ekipa naukowców związanych z Polskim Związkiem Zachodnim. Nawoływali do osiedlania się w Zielonej-górze, jak wtedy zapisywano nazwę miasta, w Gorzowie nad Wartą, w Śliwicach, czyli w Słubicach, w Skwierzynie, w Międzyrzeczu. Osiedlania się i zagospodarowywania prastarych ziem piastowskich.

– **To i pan odpowiedział na wezwanie.**

– Miałem więcej do zyskania niż do stracenia, dlatego pod koniec czerwca 1945 wysiadłem z pociągu na stacji w Zbąszynku. Stamtąd piechotą dostałem się do Dąbrowki, gdzie znajdował się referat oświaty, potem przeniesiony do Międzyrzecza. Moim zadaniem było odzyskiwanie i ratowanie śladów polskości. Miejscowi, szczególnie ci z wiosek dawnego pogranicza polsko-niemieckiego, chętnie przekazywali mi dokumenty, które świadczyły, że ich przodkowie tu się urodzili, żyli i tu są ich groby. Z kolei ci zza Bugu i Centralnej, którzy zajęli gospodarstwa po niemieckich właścicielach, jeśli znaleźli coś, co było pisane szwabachą, zanosili do sołtysów albo na milicję czy do proboszczów, a oni wiedzieli, komu mają to przekazać.

– **W zbiorze reportaży *Powrót i początek* Alicja Zatrybówna napisała: „Brakowało jedzenia. Po powiecie hulała banda. Alf Kowalski układał zbiory na półkach, włóczył się po wsiach, gromadząc pamiątki historyczne i myślał w skali stuleci, które były i które będą”.**

– Zamiłowanie do staroci odziedziczyłem po ojcu księgarzu w Inowrocławiu, który kolekcjonował wszystko, co dotyczyło zachodnich Kujaw. Robiłem więc to, co lubiłem i na efekty czego nie musiałem długo czekać. Po kilku miesiącach jeżdżenia od wsi do wsi zgromadziłem tyle przedmiotów, że wiosną 1946 roku miałem co pokazać na wystawie inaugurującej działalność muzeum. Prawda, jako muzealnik długo pracowałem za darmo. Pierwszą pensję dostałem dopiero po trzech latach pracy w powiecie.

– **Czy w przedwojennym Międzyrzeczu było muzeum?**

– Pod koniec dziewiętnastego wieku w większości miast powiatowych pruskiej Brandenburgii zaczęły powstawać muzea i izby pamięci. Placówka międzyrzeczka, utworzona w 1935 r. w ratuszu,



niczym szczególnie się nie wyróżniała. Były w niej zgromadzone zabytki archeologiczne, miejskie historyczne dokumenty pisane, wytwory sztuki ludowej, okazy przyrodnicze. Prowadzenie muzeum, a właściwie opieka nad zabytkami była obowiązkiem nauczyciela Paula Krügera.

– **Pan umieścił zbiory w budynkach historycznego starostwa.**

– Dawne starostwo mieściło się w oficynach obok ruin zamku piastowskiego z czternastego wieku. Uważałem, że to będzie najlepsze miejsce na muzeum. Ale zanim udało mi się przekonać władze powiatowe do mojego pomysłu, zebrane przedmioty pokazałem w domu kultury, gdzie później wojskowi mieli swoje kasyno. Janusz Powidzki z Poznania w sprawozdaniu z wizytacji napisał, że mimo drobnych niedociągnięć muzeum międzyrzeckie może być stawiane za wzór. W uzasadnieniu swojej opinii podał, że miał na myśli przede wszystkim „inteligentny dobór eksponatów, jak i staranną ich ekspozycję z uwzględnieniem minimalnych możliwości lokalowych i finansowych”.

– **Czy już wtedy muzeum wyróżniało się kolekcją portretów trumiennych?**

– Nie pamiętam dokładnie, który obiekt był pierwszy. Nawet nie pamiętam, jaką drogą dostał się w moje ręce i czy się nim zachwycałem. Prawdę mówiąc to niewiele wiedziałem o wizerunkach trumiennych. Wstyd się przyznać, że na początku portrety trumienne traktowałem na równi z innymi obrazami o niewielkiej wartości. Mimo wykształcenia plastycznego nie zdawałem sobie sprawy, że dzieła te występują wyłącznie w polskiej kulturze okresu baroku. W Krakowie, gdzie odbywały się kursy dla muzealników, ze wstydem przyznawałem się do lakonicznej wiedzy na ten temat. Gdy się poduczyłem, troszkę zaczęła mi pomagać żona, która miała wykształcenie historyczne.

– **Portret trumienny wykorzystywano w trakcie obrzędku pogrzebowego, tak? Powstawał za życia osoby portretowanej czy po jej śmierci?**

– Parateatralny obrządek pogrzebowy był charakterystyczny dla sarmackiej Rzeczypospolitej siedemnastego i osiemnastego wieku.

Wtedy pogrzeby szlacheckie i magnackie urządzano z ogromnym przepychem. Uboższa szlachta brała z nich wzór. Niejednokrotnie koszty pogrzebów szlacheckich były wyższe niż wartość pozostawionego majątku. Nawet sprzedawano ziemię, rodowe srebra i klejnoty, byle uroczystość była jak najokazalsza. Odbывало się to wedle sarmackiego powiedzonka: Zastaw się, a postaw się. Proszę pamiętać, że sarmatyzm oznaczał złotą wolność szlachecką.

**– Dla sarmatów bardzo ważne były więzy rodzinne i towarzyskie.**

– Dlatego ówczesny obrządek pogrzebowy przyjął niezwykle bogatą formę. Przygotowania do pochówku trwały nawet do kilku miesięcy. W pogrzebie uczestniczyli sąsiedzi zmarłego, co zrozumiałe, przyjeżdżali dalecy krewni z bardzo odległych miejscowości. Rodzina zmarłego zapraszała miejscowych dostojników i okoliczne duchowieństwo. Ba, zatrudniano mistrza ceremonii, a przygotowanie uroczystości powierzano grupie złożonej z aktorów, pieśniarzy, muzykantów i grajków, architektów i malarzy. „W pogrzebach Polaków jest tyle okazałości i pompy, że prędzej wziąłbyś je za tryumfy niż za pochowanie umarłych”, odnotował w 1696 roku w swych pamiętnikach Bernard O'Connor. Powiadano, że była to uroczystość urządzana z większą pompą niż ślub i wesele.

**– Gdzie nieboszczyk czekał na odbycie ostatniej drogi?**

– Przechowywanie zwłok stanowiło jeden z najpoważniejszych problemów. Ciała jednych zmarłych balsamowano. Ciała innych okładano lodem i przetrzymywano w piwnicy. Zimą wkładano je do szczelnej skrzyni i zatapiano w jeziorze. Wkładano je do kadzi z miodem, który jest chyba najlepszym produktem do konserwacji. Ponoć, ale w to nie chce mi się wierzyć, bywało, że latem dopuszczano nawet do wędzenia zwłok i namaszczenia ziołami. Zresztą starano się robić trumny szczelne, od wewnątrz obijane blachą, żeby odór z rozkładających się ciał nie wydobywał się na zewnątrz. W trakcie uroczystości wieka trumny nie podnoszono.

**– Dlaczego żywym zależało na tym, żeby pogrzeb był okazałym widowiskiem?**

– Taki był sarmacki zwyczaj. Mówiło się przecież, że szlachciec na zagrodzie równy wojewodzie. Wtedy zaczęły powstawać nazwiska zakończone na – ski. Na przykład właścicielem Zbąszynia był Zbąski, Brudzewa – Brudzewski, Zakrzewa – Zakrzewscy. Bronikowscy żyli w Kursku, Dziembowscy w Bobowicku, Bukowieccy w Chycinie... Angielski pisarz Daniel Defoe, prekursor nowej powieści, miał odwagę oznajmić, że „w Polsce próżność ona płynąca ze szlacheckiego urodzenia doprowadzona bywa do tak przeogromnej ekstrawagancji, iż samo już imię szlachcica oraz tytuł starosty, wojewody lub kasztelana przynosi mu wyższość nad wszystkimi wasalami jako też i prostym ludem; większą nieporównanie od tej, jaką cieszy się król lub cesarz, władzę nad nimi bardziej absolutną i możliwość większego ich unieszczęśliwiania niżli nieszczęście poddanych *grand seigniora* lub chana Tatarów, tak iż depcą lud uboższy jakoby psów, a także często ich mordują, kiedy zaś to uczynią, nikomu z owego postępku nie muszą zdawać sprawy”.

– A jak przebiegała uroczystość pogrzebowa?

– Drogę do miejscowego kościoła, gdzie trwały przygotowania do mszy pożegnalnej, wskazywały drewniane bramy pomalowane na jaskrawe kolory i oświetlone pochodniami. Wnętrze kościoła było rozjaśnione płomieniami świec. Przed ołtarzem budowano *castrum doloris*, co w przekładzie na polski znaczy zamek boleści. Był to katafalk nakryty purpurowym adamaszkiem, ozdobiony herbami, bronią, czaszkami, szkieletami, ornamentami, napisami. Na nim stawiano trumnę. W centralnym miejscu, w nogach trumny, znajdował się portret zmarłego otoczony aniołami, figurami alegorycznymi i innymi zdobieniami. U stóp zamku boleści odbywał się spektakl pogrzebowy, zwany *theatrum funebris*, trwający niekiedy nawet kilka dni. Po mszy żałobnej zaproszeni wygłaszali oracje sławiące zasługi i cnoty nieboszczyka. Bywało, że odczytywano panegiryk na jego cześć zamówiony u miejscowego wierszoklety. Po zakończeniu tej części do kościoła wjeżdżał czarny rycerz na koniu. Spadając na posadzkę, łamał kopię. Jeśli umarł ostatni z rodu, kruszono jego pieczęć herbową, a nad trumną zawieszano miecz.

– Nie odpowiedział pan na pytanie dotyczące czasu, kiedy malowano portret?

– Nie było reguły. Zazwyczaj malowano go po śmierci sarmaty w oparciu o wcześniejsze wizerunki. Wtedy w każdym dworcu na gościa spoglądał wąsаты szlachcic z portretu. Dotyczyło to nawet co bogatszych mieszczan. Bywało też, że sarmata za swego życia zamawiał trumnę i portret kształtem dopasowany do jej przekroju poprzecznego. Pod jego nadzorem malarz starał się odwzorować szaty, klejnoty i to, co świadczyło o bogactwie. Na portretach kobiecych błyszczały wspaniałe kolie, ogromne złote brosze i perły. Podobizny sarmatek były zdobione misternie wykonanymi koronkami i puszystymi futrami. One wyglądały jakby wybierały się na bal.

– Skoro portret powstawał jeszcze za życia sarmaty, to czy oddawał prawdę o nim?

– Zadaniem portretu trumiennego było przyciągnięcie wzroku uczestników ceremonii pogrzebowej. Dlatego zmarły bywał ukazany z natarczywym, mocnym, porażającym widza wzrokiem skierowanym w lewo lub prawo, nigdy na wprost. Często postać obdarzano przenikliwym, pełnym życia spojrzeniem. Eksponowano szczególnie głowę, upraszczając pozostałe elementy wizerunku. Jaskrawe barwy ubioru podkreślały błądźć skóry. Kobiety wyglądały jakby szykowały się na wielki bal.

– Kto malował te portrety?

– Jeśli portret powstał za życia szlachcica, to autorem był bardziej uzdolniony malarz z Poznania, Lipska, Wrocławia. Jeśli zaś wizerunek powstał po śmierci sarmaty, zazwyczaj była to praca malarza cechowego z warsztatu w Międzyrzeczu, Skwierzynie, Świebodzinie. Malarze rzadko używali światłocienia, co zdaniem historyków sztuki nie oznaczało braku umiejętności warsztatowych, lecz służyło zwiększaniu ekspresji. Chodziło o to, żeby portret nie tyle oddawał prawdę o zmarłym, co wywierał wrażenie na widzu. Czasem malarz starał się dokładniej odwzorować postać, wtedy podobizna miała karykaturalny charakter, z czego nie była zadowolona rodzina zmarłego. Niestety nazwisk autorów portretów nie udało mi się odczytać.

– Na czym malowali portrety?

– Były to wizerunki najczęściej sześćcio – lub ośmiokątne, malowane farbami olejnymi na blasze. Portrety na drewnie czy płótnie zdarzały

się bardzo rzadko. W okolicach międzyrzeckich zwykle używano blachy ocynkowanej, rzadziej miedzianej czy żelaznej. W zamożniejszych regionach Rzeczypospolitej malowano je nawet na blasze srebrnej, ale niewiele takich portretów się zachowało, ponieważ blachę przetapiano na kruszec. Im bliżej zmierzchu czasów sarmackich, tym częściej zaczęły się pojawiać portrety prostokątne i owalne, nie będące odwzorowaniem poprzecznego przekroju trumny.

**– Kto przygotowywał blachę?**

– To było zadanie warsztatów konwisarskich. Rzemieślnicy oznaczali swoje wyroby puncami, czyli znakami wybijanymi na blachach. Na tej podstawie można stwierdzić, kto najczęściej przygotowywał blachy na portrety sarmatów międzyrzeckich.

**– Kto więc...?**

– Na blasze portretu Baltazara Dziembowskiego jest punca warsztatu międzyrzeckiego konwisarza Christopha Fischera. Na innych blachach można znaleźć punce z warsztatów znajdujących w Poznaniu, Wschowie, Głogowie, Sulechowie, Frankfurcie nad Odrą.

**– Po uroczystości trumnę odprowadzano do mauzoleum rodzinnego lub składano w podziemiach miejscowego kościoła. A co się działo z portretem?**

– Najpierw portret wędrował razem z trumną do grobowca rodzinnego czy kościelnej krypty. Bliżej końca wieku siedemnastego zaczął się przyjmować zwyczaj wieszania go na ścianie kościoła, którego zmarły był fundatorem. Jako miejsce wybierano ścianę pod emporą lub na niej. Bywało, ale bardzo rzadko, że portret zawieszano w dworku, na przykład w bibliotece.

**– Jaką drogą portrety trafiły do muzeum?**

– Najwięcej obiektów uzyskałem w latach 1945-1949. Pochodziły ze świątyń ewangelickich przejmowanych przez nowych mieszkańców. Ponieważ w polskim Kościele katolickim zwyczaj wieszania portretów był rzadki, a w przypadku parafii przeniesionych z ziem wschodnich nieznany, proboszczowie chętnie przekazywali te obrazy do muzeum. Gdy się rozniosło po Polsce, że międzyrzeckie muzeum kolekcjonuje portrety trumienne, zaczęli się pojawiać

sprzedawcy. Nie mam wątpliwości, że niektóre obiekty zostały wy-szabrowane w pierwszych latach powojennych ze zborów protestan-ckich. Jeśli udało mi się wyprosić pieniądze w wydziale kultury i sprzedawca opuścił cenę, kupowałem portrety. Bywało, że przegry-wałem. Ostatnie dwa pozyskałem w 1973 roku z kościoła w Kłępsku koło Sulechowa, ale to za pośrednictwem urzędu zielonogórskiego konserwatora zabytków.

– Ci, których portrety znajdują się w muzeum, wyznawali wiarę ewangelicką czy katolicką?

– Zdecydowanie na ziemi międzyrzeckiej dominowali luteranie. Ka-tolikami byli przybysze z głębi Rzeczypospolitej.

– Szlachta z okolic międzyrzeckich to byli poddani władców polskich czy niemieckich?

– Przynależność państwowa wtedy nie była na pierwszym miejscu. Liczyła się przede wszystkim wyznawana religia. Skoro większość na ziemi międzyrzeckiej stanowili luteranie, można domniemywać, że czuli się bardziej związani z kulturą i tradycją pruską. Do czasu rozbiorów szlachta międzyrzecka, mimo że mówiła po niemiecku, była lojalna wobec Rzeczypospolitej. Większość mówiła po niemie-cku i po polsku. Zresztą, przynależność państwowa zaczyna mieć znaczenie od czasów pruskich. Mimo to warstwy niższe nie uważały się ani za Polaków, ani za Prusaków. Ludzie mówili, że są tutejsi.

– Czy na portretach znajdujących się w międzyrzeckim mu-zeum są wyłącznie osoby związane z tą ziemią?

– Są tu rody pochodzenia polskiego i niemieckiego. Czasem trud-no precyzyjnie wskazać, jakie kto ma korzenie. Najwięcej jest po-dobizn Bronikowskich, Bukowieckich, Dziembowskich, Unrugów, Troschków, Priwittzów. Dominują podobizny zmarłych starszych, ale i są wizerunki dziecięce. Najmłodszą sportretowaną jest Dorota Sabina Unrug, zmarła w 1668 roku, kiedy miała tylko osiem mie-sięcy i sześć dni. Najstarszy portret pochodzi z 1659 roku, przed-stawia Elżbietę z Rottenburgów Unrugową, żonę Jerzego Unruga, protoplasty polskiej gałęzi tego rodu. Nawiasem mówiąc z tego rodu wywodził się wiceadmiral Józef Unrug, który w czasie pierwszej wojny światowej dowodził okrętami podwodnymi floty niemieckiej,

a w czasie drugiej wojny był zastępcą dowódcy polskiej Marynarki Wojennej.

**– Portrety znajdujące się w muzeum dotyczą wyłącznie posiadaczy majątków ziemskich?**

– Z dwoma wyjątkami. W kolekcji muzeum są dwa portrety mieszczkańskie, na których malarz umieścił podobiznę mężczyzny i kobiety z rodziny patrycjuszowskiej. To mieszkańcy Międzyrzecza. Z tej rodziny wywodziło się wielu burmistrzów miasta.

**– Czy portrety międzyrzeckie różniły się od wizerunków powstających w centralnej Rzeczypospolitej?**

– Nie trzeba wprawnego oka znawcy malarstwa, żeby zobaczyć wyraźne różnice. Po pierwsze, wizerunki międzyrzeckie są duże. Po drugie, wizerunki portretowanych osób są bardziej precyzyjne, wyrażające cechy ich charakteru.

**– Dlaczego pan, wykształcony malarz i rysownik, przedkładał muzealnictwo nad działalność artystyczną?**

– Rysowania i malowania nigdy nie porzuciłem. Artystą plastykiem starałem się być zawsze. Po przyjeździe na ziemię międzyrzecką zauroczył mnie folklor dąbrowiecki. Z biegiem lat coraz bardziej byłem urzeczony przyrodą tej ziemi. Inspirowały mnie stare drzewa na podzamczu, kwiaty na miejskich rabatach, słoneczniki na polach, leśne suchorosty, jeziora wokół Pszczewa. To, co powstawało w mojej pracowni, można zakwalifikować do malarstwa pejzażowego. Kiedyś zajął tam Klem Felchnerowski. Powiedział, że dla niego jestem przede wszystkim artystą. Artystą mało postępowym. Zarzuć ten patologiczny realizm, radził. Awangarda czeka na twój talent. Popełniłem kilka dzieł awangardowych. Ślady tego dramatycznego wyboru, znajdują się w zbiorach muzealnych.

**– Dziękuję za rozmowę.**

## Muzeum Ziemi Międzyrzeckiej im. Alfa Kowalskiego

Początki muzealnictwa międzyrzeckiego sięgają 1922 r. Wtedy zaczęto gromadzić zbiory, ale nie udało się stworzyć placówki wystawienniczej. Dopiero w 1935 r. powstało muzeum regionalne. Twórcą polskiego muzeum był Alf (Alfons) Kowalski w 1946 r. Od 1949 r. placówka ma siedzibę w zabytkowych budynkach dawnego starostwa i oficyny dworskiej. Obecnie w skład kompleksu muzealno-parkowego wchodzi: zamek z XIV-XVI w., siedziba dawnego starostwa z początków XVIII w., oficyna dworska z pierwszej połowy XVIII w., dom bramny – budynek odtworzony – wzorowany na pierwotnym z XVIII w., budynek Karczmy Dworskiej z połowy XVIII w. Największą wartość muzealną przedstawia kolekcja portretów trumiennych, uważana za największą w Polsce. Liczy 38 wizerunków, 18 tablic inskrypcyjnych i 160 tablic herbowych pochodzących z pogranicza lubusko-wielkopolskiego. Były one prezentowane m.in. w Paryżu, Londynie, Zurychu, Rzymie, Moskwie, Helsinkach, Berlinie, Bonn. W dziale historii znajduje się malarstwo portretowe o charakterze reprezentacyjnym, pochodzące głównie z XVII-XIX w. Są to przede wszystkim portrety międzyrzeckich pastorów i mieszczaństwa. Znajduje się tu także wystawa *Niemcy i inni mieszkańcy Międzyrzecza*, która ukazuje ludność miejscową różnych wyznań i narodowości od średniowiecza do 1947 r. Dział etnograficzny to przede wszystkim ekspozycja dotycząca obyczajów i kultury mieszkańców pogranicza lubusko-wielkopolskiego. W dziale archeologiczno-historycznym pokazano zabytki pochodzące z badań i wykopalisk w Międzyrzeczu i okolicach miasta. Wystawa prezentuje również losy Pierwszych Męczenników Polski, których klasztor znajdował się nieopodal grodu.

Muzeum jest otwarte dla zwiedzających od 1 października do 31 marca od poniedziałku do piątku i w niedziele w godzinach 9.00-16.00. W soboty zamknięte. Zamknięte również w niedziele od 1 listopada do końca marca. W poniedziałki wstęp wolny. W pozostałych miesiącach placówka jest czynna od wtorku do soboty od godz. 9.00 do 16.00, a w niedziele od 10.00 do 16.00. W poniedziałki muzeum jest zamknięte. We wtorki wstęp wolny.

Muzeum Ziemi Międzyrzeckiej im. Alfa Kowalskiego  
znajduje się przy ul. Podzamcze 2,  
tel. 95 742 18 50, tel. i faks 95 741 25 67,  
e-mail: meczmuzeum@poczta.onet.pl,  
www.muzeum-miedzyrzecz.pl.





*Krystyna Klęsk – portret pędzla Ireny Bierwiazzonek  
ze zbiorów Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze*

## **Krystyna Klęsk**

Urodziła się w 7 września 1898 w Rębnikach koło Krakowa, zmarła 20 stycznia 1977 r. w Zielonej Górze. W czasie pierwszej wojny światowej była sanitariuszką. Obowiązki te wykonywała także we wrześniu 1939 r. w Armii Poznań. W latach międzywojennych pracowała jako urzędniczka i nauczycielka w Poznaniu. Po wojnie na Uniwersytecie Poznańskim ukończyła filozofię w zakresie antropologii, etnografii z etnologią i prehistorią. W 1949 r. rozpoczęła pracę w Starostwie Powiatowym w Zielonej Górze. W tym samym roku została kierowniczką zielonogórskiego Muzeum Regionalnego, którą była do 1951. W 1958 r. przeszła na emeryturę.

## AKCJA 0

Rozmowa z Krystyną Klęsk,  
urzędniczką i muzealniczką

– Dlaczego zamieniła pani wielki Poznań na niewielką Zieloną Górę jako miejsce swego mieszkania i pracy? Był ktoś, kto pani kazał?

– W ten sposób odpowiedziałam na apel władz, które namawiały do zagospodarowywania, jak wtedy mówiono, ziem odzyskanych albo prastarych ziem polskich, które po wiekach wróciły do Macierzy. Od jesieni 1945 roku administracja poznańska nadzorowała powiaty wchodzące w skład Ziemi Lubuskiej.

– Czy wiedziała pani, że na polecenie Ministerstwa Ziem Odzyskanych w 1948 roku administracja poznańska zaczęła przygotowywać projekt dotyczący utworzenia jeszcze jednego województwa na terenach, które jej podlegały?

– Były dwie koncepcje. Wedle jednej miało zostać wydzielone województwo lubuskie, wedle drugiej chodziło o utworzenie województwa kaliskiego. Przeciw pierwszej opowiedzieli się pracownicy Instytutu Zachodniego w Poznaniu. W tej sprawie profesor Zdzisław Kaczmarczyk, Zbyszko Tuchołka i Stanisława Zajchowska opracowali memoriał. Napisali, że „Odłączenie Ziemi Lubuskiej od Wielkopolski spowodowałoby wiele trudności i niedogodności administracyjnych, które odbiłyby się w wysokim stopniu ujemnie na całości życia tych obszarów”. Ich zdaniem „Należy raczej popierać nie odłączenie Ziemi Lubuskiej od województwa poznańskiego, ale

utworzenie osobnego województwa kaliskiego spośród południowo-wschodnich powiatów województwa poznańskiego”.

– O wydzieleniu nowego województwa w środkowo-zachodniej Polsce musiano myśleć wcześniej. Pewnie właśnie dlatego w 1946 roku w Gorzowie powstała Ekspozytura Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego ze starostą gorzowskim jako wicewojewodą.

– Od 1945 roku Gorzów pełnił funkcję pierwszoplanowego ośrodka administracyjnego w środkowo-zachodniej części kraju. Była tam większość instytucji szczebla okręgowego, którym podlegały administracje trzynastu powiatów. Gdy do miasta nad Wartą dotarła wiadomość o zamiarze utworzenia trzech nowych województw, mieszkańcy byli pewni, że Gorzów zostanie stolicą jednego z nich. Prezydent Zygfryd Kujawski podczas sesji rady miejskiej 21 lipca 1949 roku, a więc, kiedy w Warszawie już zapadła decyzja w tej sprawie, obwieścił tryumfalnie, że „według nieoficjalnych wiadomości możemy dziś uważać za pewne powstanie w ramach planu sześcioletniego województwa lubuskiego z siedzibą Urzędu Wojewódzkiego w Gorzowie”.

– Stało się inaczej ku niezadowoleniu gorzowian.

– Polityczna decyzja o utworzeniu województw koszalińskiego, opolskiego i lubuskiego, taka była projektowana nazwa województwa zielonogórskiego, zapadła już w drugiej połowie 1948 roku. W jej poufnym uzasadnieniu poznańscy autorzy pisali, że w granicach nowego województwa, oprócz powiatów Ziemi Lubuskiej, powinny się znaleźć powiaty dolnośląskie: żarski, żagański, kożuchowski, szprotawski i głogowski. „Powiaty te już obecnie ciążyą do Zielonej Góry, a w przyszłości winny stać się pełnowartościową strefą wpływów tego miasta jako stolicy województwa”, przekonywali poznaniacy.

– Zna pani przyczyny, dlaczego Gorzów nie został siedzibą administracji wojewódzkiej?

– „Gorzów nie ma szans na razie stania się miastem wojewódzkim – napisali poznańscy autorzy uzasadnienia wyboru Zielonej Góry na stolicę regionu. – Po pierwsze, jest bardzo zniszczony; po wtóre,

jego strefa wpływów ograniczona jest od północy obszarem ciągnącym do Szczecina. Obszar ten jest Szczecinowi potrzebny jako baza zaopatrzeniowa (urodzajne tereny w okolicy Pyrzyc). Do strefy wpływów Gorzowa należy włączyć natomiast powiat strzelecki. Poza tym w nowych granicach Zielona Góra jako stolica województwa lubuskiego będzie położona bardziej centralnie”.

– Wybór Zielonej Góry wcale nie był przypadkowy. W czasach przedwojennych była największym ośrodkiem na Śląsku Lubuskim. Na wielu polach administracyjnych miasto miało znaczenie ponadpowiatowe. Ale żaden zielonogórzanin nie spodziewał się, że zostanie stolicą województwa.

– O tym, że Zielona Góra będzie miastem wojewódzkim mieszkańcy dowiedzieli się nie w 1948, kiedy została podjęta decyzja polityczna, a dopiero późną wiosną 1950 roku. Pod żadnym względem miasto nie było przygotowane do pełnienia tak odpowiedzialnej funkcji, jak centrum administracji regionalnej. Przede wszystkim brakowało budynków z przeznaczeniem na cele administracyjne i mieszkań dla nowych urzędników. Wprawdzie działania wojenne nie spowodowały takich zniszczeń jak w Gorzowie, ale kilka budynków nienadających się do zamieszkania rozebrano. Sporo dawniej zamieszkałych, opuszczonych przez Niemców i nieremontowanych, czekało na murarzy. Ponadto, w przeciwieństwie do okolicznych miast, Zielona Góra była przeludniona. W 1939 roku mieszkało w Winnym Grodzie 26 tysięcy osób, sześć lat później było ich ponad 31 tysięcy. Pomiędzy 1939 i 1950 rokiem nie zbudowano nawet jednego domu.

– Wybór Zielonej Góry na centrum administracyjne województwa oznaczał tworzenie nowych urzędów i zatrudnianie w nich urzędników. To jedno. Drugie, wiązało się ze zmianą ustrojową: miejsce funkcjonującej oddzielnie administracji rządowej i samorządowej w 1950 roku zajęły rady narodowe.

– 28 czerwca 1950 roku Sejm powołał trzy nowe województwa z siedzibami władz w Koszalinie, Opolu i Zielonej Górze. Przeniesienie dużej grupy urzędników z Gorzowa, gdzie była ekspozytura i biura instytucji okręgowych, do Zielonej Góry nie stanowiło problemu nie do przeskoczenia. Problemem był brak budynków na cele administracyjne i mieszkań dla przeniesionych urzędników. W tym czasie

na pierwszy plan wysuwali się urzędnicy partyjni i funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Ci, którzy mieli pracować w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, byli dopiero na czwartym miejscu. Nie liczyła się nawet służba zdrowia i wojsko.

– Na początku lat siedemdziesiątych zostałem mieszkańcem Zielonej Góry. Zapamiętałem baraki przy Wyspiańskiego, za hotelem Polan, gdzie, jak mi wyjaśniano, mieściła się większość instytucji wojewódzkich. Zwróciłem na nie uwagę, bo identyczne stały w moim Kostrzynie, tyle że mieszkali w nich oficerowie wojska polskiego.

– Baraki przy Wyspiańskiego to sprawa późniejsza. W 1950 roku nie było o nich mowy. Oficjalnie Zielona Góra stała się miastem wojewódzkim 28 czerwca. Zanim podano to do wiadomości publicznej, przedstawiciele UB i PZPR zrobili rozeznanie w mieście. Szczególnie aktywni byli ci z bezpieczeństwa. 20 lutego 1950 roku, a więc cztery miesiące przed ogłoszeniem decyzji Sejmu, zebrała się Komisja Organizacyjna jeszcze nieistniejącego Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Obecny tam przedstawiciel Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przedstawił spis oczekiwań, jeśli chodzi o lokale. Domagał się, żeby komisja zatwierdziła przejęcie przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego wielu budynków. Na jego liście były między innymi gmachy szkolne przy Botanicznej, cegielnia i garaże przy Głowackiego, niemal wszystkie budynki szpitalne przy Wazów, hala i pomieszczenia biurowe po Pagedzie przy Batorego, bloki i wille przy Podgórze. Jako konieczne dla prawidłowego funkcjonowania bezpieki wskazał gmach Liceum Handlowego i Bursę na placu Słowiańskim. Uzasadnił to mniej więcej tak: uczniowie rekrutują się z pozamiejscowych, w zasadzie dzieci prywatnej inicjatywy. Liceum nie jest związane z zakładami pracy Zielonej Góry i może być przeniesione do innej miejscowości, na przykład do Sulechowa, gdzie jest dużo gmachów szkolnych. Na liście obiektów, którymi interesowało się bezpieczeństwo, były nawet pałace w Starym Kisielinie i Przytoku.

– Nikt spośród obecnych nie sprzeciwił się bezpiecznikowi, jak ironicznie i tylko w zaufanym gronie nazywano funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa?

– W tamtym czasie urzędnicy bezpieczeństwa czuli się pewnie. Bez wyraźnego powodu każdego mogli zatrzymać, zamknąć, oskarżyć i uwięzić. W międzyczasie pobić lub nawet zakatować. Dlatego zwyczajni ludzie woleli z nimi nie zadzierać. Nawet partyjniacy schodzili im z drogi. Oni stanowili coś w rodzaju państwa w państwie. To, co przed chwilą powiedziałam, poświadcza zdanie znajdujące się w protokole sporządzonym podczas zebrania w lutym 1950 roku. Brzmi ono tak: „czynnik partyjny oraz władze miasta uważają, że wytypowane przez przedstawicieli MBP obiekty są rozmieszczone celowo, potrzeby są słuszne oraz bardziej słusznego rozwiązania znaleźć się nie da w warunkach Zielonej Góry”.

– I ta nielubiana, pogardzana bezpieka dostała wszystko, czego się domagała?

– W czerwcu 1950 roku było wiadomo, jakie instytucje muszą powstać w Zielonej Górze i kto obejmie najważniejsze funkcje w administracji województwa. Wtedy sporządzono spis zgłoszeń lokalitywnych. 31 instytucji politycznych i gospodarczych złożyło wnioski o 496 izb z przeznaczeniem na biura i mieszkania. W tym wykazie nie było podanych potrzeb komitetów partyjnych, milicji, UB i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Można się domyślać, że były one ogromne, skoro tylko Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego zażądał tysiąca mieszkań dla swoich funkcjonariuszy. Już po inauguracyjnej sesji WRN zapadła decyzja, że bezpieczeństwo nie dostanie tylu lokali, o ile wystąpiło. Ile dostanie, tego dokładnie nie określono. Nawet, co było aktem odwagi, w trakcie zebrania komisji lokalowej bezpieki została skrytykowana za, jak zapisano w protokole, „niewłaściwe postępowanie wobec Rejonu Lasów, którą to instytucję przekwaterowuje się już po raz drugi w przeciągu krótkiego czasu”. Administracja leśna została przeniesiona do zniszczonych w 1945 roku Żar.

– Jak więc poradzano sobie z lokalami na biura?

– Wybrano dwie drogi. Jedna wiązała się z przenoszeniem dotychczasowych urzędów z Zielonej Góry do okolicznych miasteczek i przekazywanie zajmowanych przez nie pomieszczeń instytucjom szczebla wojewódzkiego. Drugą drogą było umieszczanie tych mniej ważnych instytucji wojewódzkich w pobliskich miastach

południowej części regionu. Tak na przykład stało się z biblioteką pedagogiczną i archiwum wojewódzkim, które znalazły swoje miejsce w Sulechowie. W Zielonej Górze Komitet Wojewódzki PZPR zajął jeden z najbardziej okazałych gmachów, w którym dawniej mieściła się Izba Skarbowa przy ulicy Skarbowej, co budziło wątpliwości, ale ponieważ budynek stał na uboczu i nie rzucał się w oczy, nie był przedmiotem dyskusji. Prezydium WRN znalazło się na placu Słowiańskim w gmachach szkolnych. Najwięcej wątpliwości, wręcz sprzeciw zielonogórzan, wywołało przeniesienie szpitalnych oddziałów wewnętrznego, zakaźnego i płucnego z Wazów do Sulechowa. Zwolnione pomieszczenia zajął Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego.

**– A co postanowiono w kwestii mieszkań dla nowych urzędników?**

– Jak zaznaczyłam, nie było pieniędzy na budowanie domów. Ci, którzy mieszkali w niedalekiej odległości od Zielonej Góry, codziennie dojeżdżali do pracy. Przeniesieni z Poznania, Wrocławia, Łodzi, Bydgoszczy, skąd rekrutowała się większość kadry kierowniczej, nie mogli stale mieszkać w wynajętych kwaterach i hotelikach. Dlatego sporą ich część ulokowano w Nowej Soli. Zanim to się stało, z Nowej Soli wykwaterowano właścicieli 200 lokali do pobliskiego Koźuchowa.

**– Wszędobylski Urząd Bezpieczeństwa też nie miał pieniędzy na stawianie domów dla swoich pracowników? Przecież było pewne, że Zielona Góra nie jest tymczasową stolicą województwa.**

– Zielona Góra tak, ale nie było pewnie, czy ziemie odzyskane na długo pozostaną w granicach Polski. Układ w Zgorzelcu między Polską i Niemiecką Republiką Demokratyczną o uznaniu granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej został zawarty dopiero w lipcu 1950 roku. W Niemczech Zachodnich odzywały się głosy o powrocie, a Polskę uważano za tymczasowego administratora tych ziem.

**– Wróćmy do pytania o mieszkania.**

– Jak powiedziałam, Urząd Bezpieczeństwa kierował się swoimi zasadami. Był nieceloalny, mimo że został powołany do wykonywania

przede wszystkim decyzji władz politycznych. W tajemnicy przed Komisją Organizacyjną sporządził wykaz 373 mieszkań dla swoich oficerów i podoficerów. Urzędowi nie interesowały mieszkania małe, a jedynie położone w dobrych dzielnicach, duże, wygodne. Doszło nawet do tego, że ci, którzy już pracowali w Komitecie Wojewódzkim PZPR, podnieśli larum.

– **Komisja Organizacyjna też była bezradna?**

– W odpowiedzi komisja ogłosiła początek Akcji 0.

– **Akcji 0? Jak w Bieszczadach w 1947 roku Akcji Wisła?**

– Takie rozwiązanie mogło podpowieść bezpieczeństwo. W głowach ich ludzi powstawały pomysły rodem ze Związku Sowieckiego w latach terroru stalinowskiego. Akcja 0 oznaczała wysiedlenie z centrum Zielonej Góry części mieszkańców. W protokole zapisano, że przewodniczący Prezydium WRN Jan Musiał „spowoduje, żeby zostały anulowane nadane prawa własności na domy dla prywatnej inicjatywy i różnych innych niepożądanych elementów podlegających wysiedleniu”. Wysiedleni z miasta nie mogli zamieszkać w strefie przygranicznej i w miejscowościach odległych od Zielonej Góry co najmniej 20 kilometrów. Jako miejscowości, do których mieli być wysiedleni Komisja Organizacyjna wskazała Koźuchów, Szprotawę i Żagań, skąd dojazd koleją do Zielonej Góry zajmował wiele godzin, a właściwie był niemożliwy.

– „Prywatna inicjatywa” to pewnie rzemieślnicy, właściciele sklepików, restauracji, winiarni. A kim były „niepożądane elementy”?

– Do tej grupy można było zaliczyć niemal każdego. Wystarczyło, że funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa wskazał adres i podał bzdurny powód. Bezbronni ludzie mieli tylko jedno: skapitulować. Chociaż... bronili się i to często udanie. Zwycięsko.

– **Czy bezpieka przeprowadziła Akcję 0?**

– Dla przeprowadzenia akcji powołano Komisję Mieszkaniową przy KW PZPR. W jej skład wchodził, jak wyjaśniano językiem ówczesnej propagandy, czynnik społeczny, czyli pięć tak zwanych trójek robotniczych. Każda trójka zarządzała dziesięcioma dwójkami – także



robotniczymi w nazwie. Ludzie ci nie znali prawa dotyczącego gospodarki lokalami. Codziennie po południu trójki i dwójki ruszały w miasto na wskazane trasy. Zespoły oglądały mieszkania i wypełniały ankiety, które wieczorem przeglądał jednoroczny przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, jak drwiono z Józefa Ziarnkowskiego. Nie wierzę, żeby on zajmował się tym osobiście. Pewnie robili to zaufani urzędnicy miejskiego kwaterunku. I pewnie oni podejmowali decyzję kogo przesiedlić, a komu dać spokój.

– **Nieszczęśnik mógł się odwołać od decyzji?**

– Teoretycznie tak. Praktycznie nie było do kogo, tym bardziej że wykonanie decyzji odbywało się błyskawicznie. Jeszcze goniec nie wrócił do urzędu, a już pod dom podjeżdżał samochód ciężarowy, wytypowani ludzie z zakładów pracy wynosili meble i ładowali je na samochody. Nieszczęśnik, jak pan go nazwał, nawet nie wiedział, gdzie będzie mieszkał.

– **Wszyscy nieszczęśnicy tak łatwo godzili się z przesiedleniem w nieznane?**

– To był jeden z poważniejszych problemów. Kto został ostrzeżony i wiedział, z kim rozmawiać, próbował przekupić urzędników odpowiedzialnych za przesiedlenia lub mających wpływ na podejmowanie takich decyzji. Było głośno o zastępcy szefa WUBP, który wstrzymał wysiedlenie właściciela kawiarni Świtezianka. Ktoś inny z tego urzędu, także wysoko postawiony, wybronił swojego przyszłego teścia, właściciela sklepu z towarami kolonialnymi, jak nazywano miejsca, gdzie można było kupić kawę ziarnistą, kakao, pieprz.

– **Czyli nawet ci najbardziej ideowi urzędnicy nie przestrzegali ustaleń.**

– Gdy Akcja 0 była zaawansowana, z Poznania przyjechała komisja z zadaniem oceny jej przebiegu. Wtedy wyszło na jaw wiele nadużyć, a przede wszystkim stwierdzono, że przesiedlanie nie było zgodne z przepisami o kwaterunku.

– **Bezprawie?**

– Zamiast przerwać akcję, wysłano delegację do Komitetu Centralnego, żeby uzyskała akceptację kompetentnych władz. Po powrocie

ze stolicy ją kontynuowano, zasłaniając się jakąś, w domyśle pozytywną, decyzją Warszawy.

– Wysiedlenie prywatnej inicjatywy, czyli piekarzy, cukierników, rzeźników, właścicieli wytwórni wody sodowej itd. mogło odbić się negatywnie na zaopatrzeniu mieszkańców.

– To, o czym pan powiedział, szybko okazało się prawdą. Dlatego jesienią 1950 roku wstrzymano wysiedlanie rzemieślników.

– **Bezprawie to raz. Wspomniała pani, że dochodziło do nadużyć, protekcji.**

– Wspomniałam także, że zaliczeni do niepożądanych elementów często unikali przesiedlenia. Przekupywali tych, którzy mieli prawo podejmować decyzje. A że trzeba było zdobyć mieszkania, nie-szczęśnikami stali się robotnicy.

– **Przecież robotnicy nie byli brani pod uwagę przy wysiedlaniu?**

– W założeniu Akcja 0 ich nie obejmowała. W praktyce właśnie wiele rodzin robotniczych straciło lokale. Znany jest list Adama Koniecznego, reemigranta z Niemiec, do Prezydium WRN. Kwaterunek nakazał mu przeniesienie się z rodziną do mieszkania zastępczego gdzieś na obrzeżach miasta. Konieczny żalił się, że lokal pod wskazanym adresem „absolutnie nie nadaje się do zamieszkania przez ludzi, lecz raczej przez zwierzęta”. Napisał też to, o czym większość mówiła szeptem. Że ci, którzy są na wyższych szczeblach władzy, żyją „w doskonałych warunkach mieszkaniowych i zawodowych, a o ile ich się z konieczności przesiedla, to otrzymują tym bardziej lepsze warunki mieszkaniowe”. Zadał pytanie „czy w takim przypadku Waszym zdaniem robotnik reemigrant może mieszkać chociażby w chlewie?”.

– **Coś się zmieniło w jego sytuacji?**

– Nie poznałam jego losów. Przypuszczam jednak, że na własny koszt wyremontował wskazany lokal i mieszkał w nim do śmierci. Wielu było takich jak Adam Konieczny i wszyscy mieli jedno wyjście: milczeć. Było jeszcze jedno: zbuntować się, podnieść zaciśniętą dłoń, wykrzyzczyć swoją krzywdę.

**– Zdarzali się buntownicy?**

– Kończyli w kazamatach bezpieki. Kilka lat później, w trakcie wypadków poznańskich 1956 roku, ówczesny premier Józef Cyrankiewicz groził: „każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie, w interesie klasy robotniczej, w interesie chłopstwa pracującego i inteligencji, w interesie walki o podwyższenie stopy życiowej ludności, w interesie dalszej demokracji naszego życia, w interesie naszej Ojczyzny”.

**– Ile rodzin, ile osób wyeksmitowano z Zielonej Góry w ramach Akcji 0?**

– Sprawdzonych i potwierdzonych informacji nie znam. Przypuszczam, że uzyskano mniej mieszkań niż się spodziewano. W dokumentach Komisji Mieszkaniowej, bo czego jak czego, ale protokołowania przestrzegano, podawano dane cząstkowe. W protokole z 30 czerwca 1950 roku jest taki podział pozyskanych mieszkań: KW PZPR – 32, WUBP – 31, PWRN – 29, WK ZSL – 10, KW ZMP – 3, Związek Samopomocy Chłopskiej – 2, Liga Kobiet – 2. Profesor Hieronim Szczegółka podaje, że w ramach Akcji 0 „z Zielonej Góry wysiedlono kilkaset rodzin”.

**– Domyślam się, że komisji najbardziej zależało na mieszkaniach i lokalach w centrum, w niedalekiej odległości od dworca kolejowego.**

– Na większości budynków stojących przy alei Niepodległości, która najpierw była ulicą Generalissimusa Józefa Stalina, a potem Marszałka J. Stalina, wisiały czerwone tablice z białymi literami. Ulica wyglądała jak centrum administracyjne w naprawdę dużym mieście. Wyłączając szpital, teatr i kino, większość kamienic i willi zajmowały instytucje szczebla wojewódzkiego.

**– Dlaczego nie ruszono muzeum?**

– Muzeum Ziemi Lubuskiej znajduje się przy alei Niepodległości 15. Wtedy w tym gmachu znajdowało się Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich, organizacje polityczne i społeczne. Muzeum Regionalne było w tym samym miejscu, co przed wojną, przy ulicy Szkolnej, późniejszej

Kazimierza Lisowskiego. Zajmowało kilka zawilgoconych pokoi, wymagających pilnego remontu, na który nie było pieniędzy. Pomieszczenia często służyły komisji poborowej i pewnie dlatego nie likwidowano placówki.

**– Sposób rozwiązywania problemów lokalowych w mieście władze powtórzyły w maju 1960 roku.**

– Jeśli ma pan na myśli to, co do historii przeszło jako wydarzenia zielonogórskie, zgadzam się w całej rozciągłości. Trochę to mnie zdziwiło. Przecież już trwała postalinowska i pobierutowska odwilż, mieszkańcy uwierzyli, że Polska stanie się krajem demokratycznym. Wtedy władze zielonogórskie, bardziej wojewódzkie niż miejskie, postanowiły odebrać Dom Katolicki parafii Świętej Jadwigi i pod jego dachem umieścić orkiestrę symfoniczną. Pewnie nie wszyscy byliby przeciw temu, gdyby przed podjęciem decyzji władze rozmawiały z proboszczem parafii, przekonały mieszkańców, że to jedyne, niezbędne rozwiązanie. Władze postąpiły wedle zasady: my wiemy najlepiej. I dlatego wybuchły rozruchy.

**– Dziękuję za rozmowę.**

## Województwo zielonogórskie

### Większe (w latach 1950-1975)

Tzw. stare województwo powstało na mocy decyzji Sejmu 28 czerwca 1950 r. W chwili jego powołania zajmowało 15 338 km kw. Na tym terenie mieszkało 582 tys. osób. W skład weszły powiaty:

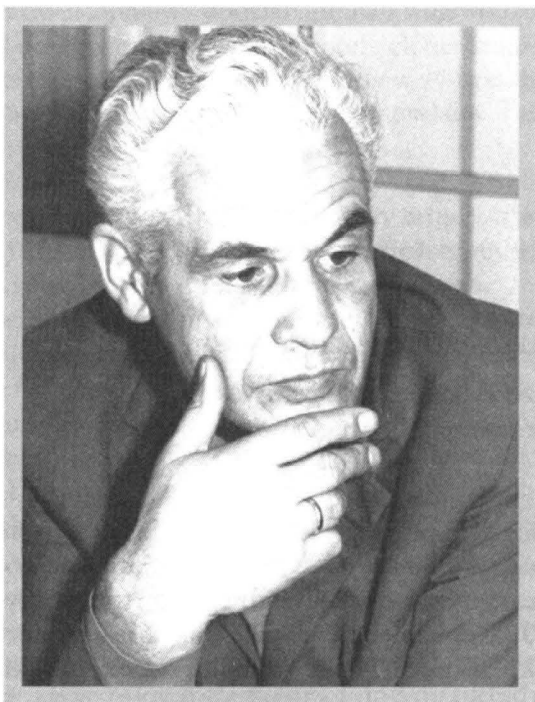
- \* z woj. poznańskiego w całości Gorzów, Strzelce Krajeńskie, Skwierzyna, Międzyrzecz, Sulęcín, Rzepin, Świebodzin, Gubin, Krosno Odrzańskie, Zielona Góra i Wschowa, powiat wolsztyńsko-babimojski bez gromad Szarki, Boruja Kościelna, Boruja Nowa, Wola Jabłńska, Jabłonna, Blinek i Wioska, z powiatu Leszno cała gromada zbiorowa Brenno;
- \* z województwa dolnośląskiego całkowicie powiaty: Żary, Kożuchów, Żagań, Głogów i Szprotawa.

8 lipca 1950 r. odbyła się inauguracyjna sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze.

Przed podziałem Polski na 49 województw, zajmowało 14 580 km kw. Było zamieszkałe przez 887 tys. osób. Stolica regionu Zielona Góra liczyła 84 tys. mieszkańców.

### Mniejsze (w latach 1975-1998)

1 czerwca 1975 r. północne gminy woj. zielonogórskiego weszły w skład województwa gorzowskiego. Wschowa i Szlichtyngowa znalazła się w województwie leszczyńskim, dawny powiat głogowski i Przemków w województwie legnickim. Do województwa zielonogórskiego włączono gminy Siedlec, Wolsztyn i Zbąszyń z większego województwa poznańskiego. Obszar województwa zielonogórskiego po zmniejszeniu wynosił 8868 km kw., a jego ludność w 1998 r. liczyła 679 tys. osób. Największym miastem była Zielona Góra z liczbą mieszkańców 118 182 w 1998 r.



*Zdzisław Morawski – fot. Czesław Łuniewicz – ze zbiorów Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze*

## **Zdzisław Morawski**

Urodził się 6 września 1926 r. w Białych Błotach koło Aleksandrowa Kujawskiego, zmarł 28 października 1992 r. w Gorzowie. Studiował filozofię w Wyższej Szkole Nauk Społecznych. W 1957 r. przyjechał do Gorzowa i poświęcił się pracy literackiej. Był jednym z założycieli oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze i członkiem Zarządu Głównego ZLP. Współtworzył Polsko-Niemieckie Stowarzyszenie Literackie. Napisał powieści *Kwartal bohaterów* i *Nie słuchajcie Alojzego Kotwy* oraz zbiory wierszy, m.in. *Pejzaż myśli*, *Wektory*, *Strofy o dzierzawie*, *Spadkobiercom*. Stworzył 11 sztuk teatralnych. Jest patronem konkursu literackiego.

## NOWA MARCHIA PO GORZOWSKU

Rozmowa ze Zdzisławem Morawskim,  
poetą, pisarzem, publicystą i społecznikiem

– Pana kolega po piórze, Henryk Kordoń, we wstępie do powieści *Koniec drogi do raju* twierdzi, że „mocne gospodarczo i prężnie zarządzane województwa wstrząsnęły posadami państwa”. Jako przykłady podaje poznański Czerwiec 1956, warszawski Marzec 1968, gdański i szczeciński Grudzień 1970.

– Wtedy państwem polskim wstrząsnęły wielkie skupiska klasy robotniczej, jak się w ludowej Polsce mówiło na miasta, nad którymi górowały kominy potężnych fabryk, hut, kopalń, stoczní. Władze wojewódzkie czuły się w nich zapewne dobrze, ale czy miały wpływ na to, co się działo za płotami owych zakładów? Mam wątpliwości, przede wszystkim dlatego, że obowiązywało centralne planowanie.

– Kordoń twierdzi, że „Edward Gierek obawiał się wielkości, potęgi i odrębności interesów poszczególnych województw. To głównie dlatego wymyślił administracyjną reformę kraju. Te największe, podzielone na trzy, cztery województwa, straciły na znaczeniu i przestały zagrażać naczelnym organom państwa”.

– Gierek, który po wydarzeniach w grudniu 1970 roku w Gdańsku, Elblągu i Szczecinie zastąpił Władysława Gomułkę, wychował się we Francji, pracował w Belgii. To miało wpływ na jego postrzeganie administracji państwa w terenie. Chciał, żeby wzorem Francji,

w Polsce był dwustopniowy podział: gmina i województwo. Dlatego doprowadził do likwidacji powiatów i podzielenia kraju na karłowate województwa. Co ciekawe, wtedy, kiedy w Polsce zlikwidowano jeden szczebel administracyjny, we Francji dodano. Tam układ był następujący: gmina, departament i region.

– W rzeczywistości w Polsce powiaty nigdy nie zniknęły. Część ich funkcji przejęły rejony administracyjne, których siedziby były w byłych miastach powiatowych.

– Ale już nie były organami administracji samorządowej i nie miały takiego znaczenia jak powiaty. Rejony powstały dlatego, że nie miało sensu tworzenie w każdej gminie sądu, prokuratury, szpitala, urzędu architektury, geodezji, ochrony środowiska, rejestracji pojazdów, zarządu dróg i mostów, administracji kontroli finansowej, wojskowej. Utworzono je więc w większych ośrodkach, ale wpływ miejscowych władz na ich funkcjonowanie został ograniczony do minimum.

– 1 czerwca 1975 roku zlikwidowano 314 powiatów. Zdaniem Kordonia, „zamiast poprawy w kierowaniu, porwały się terenowe więzi, zwyczajowe struktury i dawne układy owocujące spadkiem produkcji, zwłaszcza rolnej, i pogorszeniem zaopatrzenia miast. Najambitniejsi z powiatów, zamiast wzmocnić gminy, uciekli w górę lub rozżaleni wytracali aktywność”.

– W naszej tradycji powiat, który zastąpił kasztelanę, był od XIV wieku. Polacy przyzwyczaili się do załatwiania najważniejszych spraw w mieście powiatowym, do którego nigdy nie było za daleko. Do powiatu jeździło się na zakupy, na rozprawę w sądzie, do rejenta, do lekarza, do szkoły średniej, po ubranko do pierwszej komunii, po sukienkę ślubną, nawet na targ. Miasto powiatowe w przeciwieństwie do wojewódzkiego było takie akurat do ogarnięcia przez nauczyciela i księdza, szlachcica i chłopą. Granice powiatów rzadko się zmieniały.

– 1 czerwca 1975 roku w miejsce 17 województw i pięciu miast wydzielonych powstało 49 województw. Wśród nich gorzowskie. Cieszył się pan, że mieszka w mieście wojewódzkim?

– Podobno przygotowania do zmiany trwały trzy lata. Mówię „podobno”, ponieważ władzom udało się utrzymać to w tajemnicy



i zaskoczyć społeczeństwo. Z jednej strony skwaszone miny mieli ci, którzy mieszkali w Międzyrzeczu, Słubicach, Dębnie, ponieważ ich miasta traciły znaczenie. Zadowoleni byli gorzowianie, bo zyskali. Czy dużo zyskali? Na pewno podniesienie Gorzowa do rangi stolicy województwa zaspokajało oczekiwania części mieszkańców. Szczególnie tych, którzy uważali, że za wszystko, co złe w Gorzowie, odpowiada Zielona Góra. To najprostsze, najłatwiejsze wskazanie winnego poza opłotkami miasta.

– Województwo gorzowskie powstało z północnej części starego zielonogórskiego, południowych powiatów szczecińskiego oraz czterech miast i gmin wielkopolskich.

– Pomysł ten można uznać za logiczny, rozsądny, gdyby nie przyklejenie do administracji gorzowskiej okrawka Wielkopolski. To nowe województwo w ogromnej części pokrywało się z Nową Marchią utworzoną przez Brandenburczyków w XIII wieku. Za rządów Jana Kostrzyńskiego, kiedy stolicę prowincji przeniesiono z Myśliborza do Kostrzyna, Nowa Marchia była niezależnym państwem w ramach Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Cztery gminy wielkopolskie, mimo podległości administracyjnej pod Gorzów, przez cały czas istnienia województwa ciążyły ku Poznaniu. To samo było z gminami wokół Choszczna, których mieszkańcy swoje sprawy życiowe załatwiali w Szczecinie. I, co ciekawe, słubiczanie jeździli na zakupy do Zielonej Góry. Świadczyło to o niezbyt mocnych związkach tych skrajnie położonych miast i gmin z Gorzowem.

– Moi gorzowscy znajomi twierdzą, że wojewódzkość należała się miastu nad Wartą od dawna. Że w 1950 roku nie Zielona Góra, a Gorzów powinien zostać stolicą nowego województwa.

– W państwie pruskim większe znaczenie miał nadodrzański Küstrin (pol. Kostrzyn) niż Landsberg (pol. Gorzów), a to ze względu na strategiczne położenie i twierdzę. W czasach niemieckich Landsberg i okoliczne powiaty wchodziły w skład rejencji frankfurckiej. Przed drugą wojną światową miasto liczyło niespełna 50 tysięcy mieszkańców, gdy Frankfurt miał ich 80 tysięcy. W 1945 roku Gorzów stał się siedzibą największej w Polsce administracji Kościoła

katolickiego. Pełnił też rolę głównego ośrodka urzędowego zachodnich powiatów województwa poznańskiego. Kiedy w 1950 roku liczbę województw powiększono do 17, siedzibę administracji w środkowo-zachodniej Polsce umieszczono w bardziej centralnie położonej Zielonej Górze.

**– Wtedy zaczęła się wojenka gorzowsko-zielonogórska?**

– W Gorzowie mieszkali osoby ambitne, które uważały, że skoro do 1950 roku starosta gorzowski był jednocześnie wicewojewodą poznańskim i kierował Ekspozyturą Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego, to miasto powinno zostać stolicą nowego województwa. Jako argument dodawano, że jest siedzibą biskupa administratora apostolskiego. A naprawdę Gorzów, położony tuż przy granicy z województwem szczecińskim, był za daleko od tych, którzy mieszkali w Żarach, Wschowie czy Głogowie, bo i te miasta w 1950 roku weszły w skład województwa zielonogórskiego. Z tego samego powodu Jan Paweł II w 1992 roku przeniósł siedzibę biskupa diecezjalnego z Gorzowa do Zielonej Góry.

**– Jak Gorzów przygotowywał się do nowej roli?**

– Za przygotowanie wszystkich miast do roli stolic województw był odpowiedzialny specjalny zespół. W przypadku Gorzowa najwięcej do powiedzenia miał przedstawiciel Zielonej Góry. On zaproponował osoby na najważniejsze funkcje w administracji nowego województwa. Wojewodą został pierwszy sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR w Międzyrzeczu. Stanowiska wicewojewodów objęło dwoje dyrektorów wydziałów w Urzędzie Wojewódzkim w Zielonej Górze i naczelnik powiatu gorzowskiego. Niższe funkcje obsadzono w większości funkcyjnymi urzędnikami z likwidowanej administracji w powiatach. Ci gorzowianie, którzy byli bliżej władzy, przyszykowali sobie posady w nowych urzędach. Była to więc zbieranina.

**– Pytając o przygotowanie Gorzowa miałem na myśli budynki na potrzeby administracji wojewódzkiej.**

– Najczęściej zdejmowano tablice z urzędów powiatowych i na ich miejscu zawieszano identyczne z informacją, że teraz jest tu siedziba urzędu szczebla wojewódzkiego. Wojewoda z najbliższymi współpracownikami zajął kilka piętér w biurowcu Stilonu. Mniej

znaczące wydziały umieścić w byłym hotelu robotniczym przy Kwiatowej. W gmachu urzędu powiatowego rozsiadł się Komitet Wojewódzki PZPR. Wojewódzkie komitety partii satelickich gnieździły się w lokalach wcześniej zajmowanych przez komitety miasta i powiatu. Milicja, a właściwie Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych, ulokowała się w byłym hotelu robotniczym przy Kwiatowej, gdzie do gabinetu komendanta został przeniesiony komendant wojewódzki z Zielonej Góry. W budynku powojсковym, gdzie wcześniej był Sąd Rejonowy, część pomieszczeń zajął Sąd Wojewódzki, resztę Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz biblioteka pedagogiczna. ZUS i KRUS miały siedziby w Sulęcinie, Kółka Rolnicze w Międzyrzeczu, Zjednoczenie PGR w Baczynie. Te mniej ważne urzędy mieściły się w opustoszałych budynkach po administracji powiatowej w Myśliborzu, Strzelcach Krajeńskich, Dębnie. Nie wszystkie instytucje powstały w nowym województwie. Na przykład za nadzór nad utrzymaniem tras w województwie gorzowskim odpowiadał szczeciński oddział Generalnej Dyrekcji Dróg. Zielonogórski Dom Książki prowadził księgarnie gorzowskie. Lasy podlegały pod dyrekcję w Szczecinie.

#### **– Takie niepełne województwo?**

– W stolicach starych województw nie ubyłó urzędów, a wiele rozszerzyło swój zasięg na okręgowy. W przypadku Gorzowa skutki takiego stanu rzeczy były opłakane. Z roku na rok pogarszała się jakość nieremontowanych dróg, a przejazd przez Gorzów, Skwierzynę i Międzyrzecz wymagał odwagi i czasu. Ze względu na brak obwodnic centra miast często było zakorkowane. Tego nie można było powiedzieć o Szczecinie, gdzie znajdowała się administracja odpowiedzialna za drogi w województwie gorzowskim. Identycznie zachowywała się administracja w Zielonej Górze, która sprawowała nadzór nad drogami leszczyńskimi czy jeleniogórskimi. Wokół Zielonej Góry powstały nowoczesne obwodnice o parametrach autostrad, nawierzchnia głównych dróg w województwie była gładka. Tego gorzowianie najbardziej zazdrościli zielonogórczanom.

**– Wojewoda Stanisław Nowak w rozmowie z Krystyną Kamińską twierdzi, że robił dużo, aby obwodnica miasta „weszła do planu krajowego”.**

– Podobno powstały nawet trzy projekty, co jeden, to mniej realny. W tej rozmowie, na którą pan się powołuje, jest też takie zdanie, że „jako kraj byliśmy za biedni, a jako Gorzów – za słabi”. Druga część tej wypowiedzi oddaje prawdę.

– **Czy było widać, za co jest odpowiedzialny wojewoda, a na co on nie ma wpływu?**

– W tamtym czasie administracja wojewódzka była uzależniona od decyzji centralnych. Obowiązywała zasada: partia kieruje, rząd rządzi. Wojewoda gorzowski, choćby miał najlepsze pomysły i pieniądze, bez zgody Warszawy niczego nie mógł postawić. Zresztą zanim cokolwiek zaczął, musiał uzyskać akceptację egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Decyzje instancji wojewódzkich partii satelickich raczej nie miały znaczenia. Ponieważ trudno było cokolwiek zbudować od podstaw, wymyślono kapitalne remonty, o których nie trzeba było informować Warszawy. W rzeczywistości na starych fundamentach stawiano nowe budynki.

– **Jednak centrum miasta nabrało charakteru wielkomiejskiego.**

– W pobliżu katedry postawiono kilka budynków z płaskimi dachami. Identyczne widziałem w Pile, Tarnowie, Elblągu. Wyglądało to tak, jakby w Polsce był jeden projektant. Wtedy gorzowianie przekonali się, że za szkaradne bloki stojące wzdłuż centralnej ulicy Władysława Sikorskiego nie do końca ponosi odpowiedzialność Zielona Góra, bo to, co akceptują władze wojewódzkie urzędujące w Gorzowie, jest tak samo szpetne. Nawiasem mówiąc, zabudowa zielonogórskiej centralnej ulicy Bohaterów Westerplatte niewiele się różni od tego, co stoi wzdłuż Sikorskiego w Gorzowie.

– **W wojewódzkim Gorzowie wyrosło trochę nowych gmachów użyteczności publicznej.**

– Najbardziej potrzebny był szpital, który stanął z dala od centrum, przy Dekerta, dokąd dojazd jest utrudniony. Plac w pobliżu dworca kolejowego zajęło pudełko dworca autobusowego. Zanim miastu przybył trzygwiazdkowy hotel Mieszko, była tam kwatera Rezerwowych Oddziałów Milicji Obywatelskiej. Niedaleko hotelu wyrósł najwyższy biurowiec w Gorzowie, gdzie znalazły swoje siedziby niemal wszystkie instytucje szczebla wojewódzkiego. Co nie

zmieściło się w tym biurówcu, ulokowało się w budynku do niego przyległym.

– Zakłady Mechaniczne przeniosły się na Baczynę, gdzie na dużej powierzchni powstała nowa fabryka.

– Pytałem, jaki wpływ miała administracja wojewódzka na rozbudowę Ursusa.

– I co pan usłyszał?

– Oficjalnie, że zasadniczy. Za kulisami: żaden. Decyzja o rozbudowie fabryki zapadła w Warszawie. Władze gorzowskie musiały jedynie wskazać plac, na którym powstaną hale produkcyjne. Mniejszy, należący do Ursusa zakład powstał w Sulęcinie. Było to związane z programem budowy licencyjnego ciągnika marki Ferguson.

– Pod względem liczby mieszkańców wojewódzki Gorzów rozwijał się szybko.

– Wszystkie nowe miasta wojewódzkie rozwijały się bardzo szybko. W 1959 roku Jelenia Góra miała 59 tysięcy mieszkańców, a w 1998 – 94; Konin w 1975 – 50 tysięcy, w 1998 roku – 83 tysiące; Sieradz w 1975 – 22 tysiące, w 1998 roku – 46 tysięcy. Gorzów identycznie jak te miasta rozwijał się kosztem byłych stolic powiatowych. W pierwszych latach wojewódzkości do Gorzowa przenieśli się nie tylko urzędnicy, ale i inwestycje. Domy, które miały powstać w Międzyrzeczu, Choszczynie, Dębnie, miastach powiatowych zdegradowanych do funkcji gminnej, stanęły w Gorzowie.

– Skoro przybywało urzędników, musiały powstawać mieszkania.

– Zgadzam się z tym i nie zgadzam. Mieszkania to jedna sprawa. Przecież im więcej mieszkań, im więcej mieszkańców, tym większe zapotrzebowanie na wodę, na towary, na szkoły i przedszkola. Tego nie da się rozwiązać w ciągu roku. Do tego trzeba się przygotowywać latami, z głową, a miasto nie było przygotowane, łątało dziury na łapu-capu.

– W dniu podniesienia Gorzowa do rangi stolicy województwa mieszkało w nim niespełna 85 tysięcy osób. 23 lata

później, w chwili likwidacji województwa gorzowskiego, miasto liczyło 126 tysięcy.

– Rozwój ludnościowy Gorzowa odbywał się wedle tej samej zasady co w Jeleniej Górze, Koninie, Sieradzu, czyli poprzez rozrost administracji i przyłączanie sąsiednich wiosek. Z jednej strony chodziło o nowe tereny pod budownictwo, a z drugiej o ambicję. Żeby miasto miało więcej mieszkańców. Ośrodki nowowojewódzkie pod tym względem się prześcigały. Nikt nie pytał ludzi z okolicznych wiosek, czy chcą być mieszczuchami. Ci, którzy zarządzili, uważali, że najlepiej wiedzą. Pierwsze poważniejsze powiększenie granic Gorzowa nastąpiło w 1962 roku, kiedy miastu przybyło około czterech tysięcy mieszkańców Siedlic, Chwałęcic Dolnych i Wieprzyc. 15 lat później obszar wojewódzkiego Gorzowa powiększył się o 23 kilometry kwadratowe w Chróściku, Karninie, Małyszynie, Zieleńcu, w części Baczyny, Kłodawy, Santocka i Wawrowa. W 2002 roku miastu przybyło 11 kilometrów kwadratowych obszarów popoligonowych z gminy Kłodawa.

– Czy gorzowianie odczuwali, że mieszkają w stolicy województwa?

– Gorzów nadal był miastem robotniczo-inżynierskim. Szczególnie widoczne to było po południu, gdy większość wróciła ze Stilonu, Silwany, Ursusa do swoich mieszkań. Po południu ulice się wyludniały, puste były nieliczne kawiarenki i restauracje, jeździły puste tramwaje i autobusy. Żartowano sobie, że gorzowianie spędzają czas wolny na trzy sposoby: jedni idą nad Wartę łowić ryby, drudzy uprawiają działki, reszta leży przed telewizorem.

– W mieście odbywał się festiwal kultury cygańskiej, festiwal taneczny, było Biuro Wystaw Artystycznych, kina, wśród nich zbudowane od podstaw Kopernik, klub Lamus, w którym często spotykałem pana i innych autorów, funkcjonowało towarzystwo fotograficzne, muzyczne, naukowe. Od zawsze był teatr. Byli studenci związani z Akademią Wychowania Fizycznego i Papieskim Wydziałem Teologicznym.

– Jeśli nie liczyć kina Kopernik, którego budowa zaczęła się jeszcze w województwie zielonogórskim, to w wojewódzkim Gorzowie nie zbudowano ani jednej instytucji kultury i sztuki. Salon BWA

umieszczono w domu kultury Stilonu, galerie i szkoły artystyczne gnieździły się w starych kamienicach. Biblioteka wojewódzka była z nazwy w kilku budynkach. Podobnie muzeum. Teatr imienia Juliusza Osterwy, duma Gorzowa... niezły, ale czy na to co wystawiał, miała wpływ wojewódzkość? Ten teatr zaczął przyciągać publiczność w latach sześćdziesiątych, kiedy kierowali nim Irena i Tadeusz Byrscy. Zastanawiające, dlaczego w Gorzowie nie powstała profesjonalna orkiestra symfoniczna.

**– Jako kostrzynianin z urodzenia przypatrywałem się wszystkiemu, co się dzieje w regionie, nie pomijając osiągnąć Gorzowskiego Towarzystwa Kultury. Pan był w jego władzach.**

– Byłem założycielem i prezesem Gorzowskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, stowarzyszenia o charakterze miejskim. Po powstaniu województwa większość naszych zadań przejęło zetatyzowane GTK, do powstania którego też przyłożyłem rękę, czego później żałowałem. GTK odebrało nam czasopismo „Ziemia Gorzowska”, ale też długo nim się nie cieszyło, bo z nieregularnego miesięcznika stało się partyjnym tygodnikiem wydawanym przez Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe.

**– Też je czytałem i zamieszcilem kilka swoich opowiadań.**

– Pod redakcją Bronisława Słomki, znakomitego prozaika i sprawnego dziennikarza, prezentowało wysoki poziom. Szkoda, że w 1987 roku został pozbawiony tej funkcji za krytykowanie na łamach tygodnika administracji wojewódzkiej. Przywołane przez pana GTK patronowało amatorskiemu ruchowi literackiemu i plastycznemu, wydawało tomiki poetyckie, almanachy, organizowało wystawy i konkursy literackie. Słowo drukowane miało nieźle warunki do rozwoju w wojewódzkim Gorzowie.

**– Pan nie zawsze mu pomagał.**

– W jakim sensie?

**– Choćby w tym, że przeniósł się pan do oddziału ZLP w Poznaniu.**

– Powinienem należeć do oddziału w Zielonej Górze, gdzie wcześniej nawet byłem prezesem, ale... Tak wyszło.

– **Bunt?**

– Na pewno nie przeciw kolegom z Zielonej Góry. Kiedyś coś powiedziałem niepotrzebnie...

– **W jakich okolicznościach? Przeciw komuś?**

– Nie odpowiadało mi postępowanie urzędników gorzowskich, szczególnie partyjnych. Rozśmieszył mnie pierwszy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego, który podczas plenarnego zebrania PZPR w Warszawie pytał o obowiązkach twórczych pisarza. Mówił to człowiek, który nie był pisarzem. Z miasta, w którym członków ZLP można było policzyć na palcach jednej ręki. Onże po powrocie do Gorzowa kazał, to właściwe określenie, „Gazecie Lubuskiej” wydrukować tamto wystąpienie.

– **Pan mu to wytknął?**

– Powiedziałem to kilka razy jemu i jego współpracownikom, bo przemówienie przygotowywali ludzie z jego otoczenia. Ani sekretarz, ani jego współpracownicy nie przyjmowali moich argumentów. Oni uważali mnie za mąciciela, czepialskiego.

– **Sekretarz partyjny w powieści Kordonia uważa, że władze miejskie miały znikomy wpływ na to, co się działo w ośrodku wojewódzkim.**

– Było kilka podziałów kierowania regionem: poziomy, partyjny i państwowy; pionowy: z urzędu wojewody i w mieście czy gminie. Miejskie i gminne firmy budowlane, rolne, handlowe, często o charakterze rejonowym, formalnie podlegały wojewódzkim zjednoczeniom, ale o tym, czym się zajmą, decydował Komitet Wojewódzki PZPR. Zwierzchnikiem instytucji kultury w Gorzowie, mam na myśli teatr, muzeum, bibliotekę i BWA, był wojewoda. Prezydent miasta nie miał większego wpływu na to, co te instytucje robiły w zarządzanym formalnie przez niego mieście. Mógł postulować. To było postawione na głowie.

– **Spróbujmy podsumować naszą rozmowę. Czy Gorzów wykorzystał daną mu szansę?**

– Na to pytanie odpowiem anegdotką: pyta gorzowianin gorzowianina, dokąd ten jeździ na zakupy. Do Szczecina, pada odpowiedź.



Jak zachorujesz, to gdzie się leczysz? W Poznaniu. A jak chcesz posłuchać piosenek w dobrym wykonaniu? To jadę na festiwal do Zielonej Góry.

– Tylko anegdotka. Można ją powtórzyć w Pile, Jeleniej Górze, Suwałkach...

– Lepszym rozwiązaniem w epoce Gierka byłoby utworzenie dużych powiatów zamiast małych województw. Tamte województwa należały do trzech grup. W pierwszej były te największe, katowickie, krakowskie, warszawskie, poznańskie. W drugiej znajdowało się między innymi zielonogórskie. Województwo gorzowskie należało do ostatniej grupy, razem z sieradzkim, sandomierskim, konińskim, pilskim.

– Jest pan surowy w ocenie 23 lat wojewódzkości Gorzowa.

– Niech będzie pochwalony dzień, w którym tu przybyłem / Niech będzie pozdrowiony każdy gołąb w parku / Każde drzewo, twarz każda / Każde oko i usta / Usta dzieci otwarte do pierwszego słowa / Wiosną trzmiele na kwiatach. To zdania z tomiku *Strofy o dzierzawie*. Gorzów to moje święte miejsce na ziemi. Na złe i dobre. Na zawsze.

– Dziękuję za rozmowę.

## Województwo gorzowskie

Powstało 1 czerwca 1975, przestało istnieć 31 grudnia 1998 r. Siedzibą wojewody był Gorzów. Obszar województwa wynosił 8484 km kw., ludność w 1998 r. to 513 300 mieszkańców (w 1975 r. – 434 100, w 1990 – 500 100), gęstość zaludnienia – 60,6 osób/km kw.

W 1998 r. dzieliło się na 22 miasta i 38 gmin. Graniczyło z województwami: od północy ze szczecińskim i koszalińskim, od wschodu z pilskim i poznańskim, od południa z zielonogórskim. Granica zachodnia stanowiła granicę państwową do października 1990 r. z NRD, później z RFN.

Wojewodami byli: Stanisław Nowak (1975-1988), Krzysztof Zaręba (1988-1991), Wacław Niewiarowski (1991-1992), Zbigniew Pusz (1992-1995), Zbigniew Faliński (1995-1997) i Jerzy Ostouch (1998).



*Witold Piwoński – fot. Andrzej Buczyński –  
archiwum „Kroniki Ziemi Żarskiej”*

## **Witold Piwoński**

Urodził się 29 października 1930 w wielkopolskim Wągrowcu, zmarł 9 kwietnia 2005 r. w Żarach. Ukończył historię w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze. Był nauczycielem w szkołach rolniczych, pracował w instytucjach obsługi wsi w Łodzi, Gorzowie, Zielonej Górze i Żarach. W wolnym czasie zgłębiał dzieje i kulturę Serbołużyczan po obu stronach Nysy Łużyckiej. Tłumaczył z języka górnołużyckiego. Współtworzył Towarzystwo Studiów Łużyckich w Zielonej Górze, powołał Stowarzyszenia Promocji Wschodnich Łużyc w Żarach, kierował Ośrodkiem Kultury Łużyckiej w Buczynach. Jest autorem studium o Mikołaju Jakubicy *Lubanicki zabytek języka dolnołużyckiego* i przewodnika *Łużyce Wschodnie*.

## WYSEPKA NA MORZU

Rozmowa z Witoldem Piwońskim,  
znawcą dziejów i kultury Serbów Łużyckich

– Gdy pierwszy raz znalazłem się w Budziszynie, zdumiałem się słysząc w wielu miejscach mowę podobną do czeskiej. Pod niemieckimi nazwami ulic widziałem nazwy, których treści bez trudu się domyślałem. Wtedy nie wiedziałem, że po tamtej stronie granicy żyją Słowianie.

– A oni żyją tam od szóstego wieku. Ci na Górnych Łużycach, czyli Serbowie z okolic Budziszyna, mówią językiem podobnym do czeskiego. Język tych z Dolnych Łużyc, czyli miejscowości położonych wokół Chociebuża, jest zbliżony do polskiego. Proszę, oto kilka słów po górnołużycku, które Polak powinien zrozumieć: kocor – kot, kocur, zapadny – zachodni, mjedwjedź – niedźwiedź, meja – maj, nastupnik – następca. Są trudniejsze, na przykład: blido to stół, cerkej – kościół, dziwadło – teatr, hasa – ulica, wobydler – mieszkaniec, hnuty – wzruszony, klinkačk – dzwonek, njewrjedro – burza, rjek – bohater, sotra – siostra. Są też słowa, które Polaków mogą śmieszyć, choćby dupa, oznaczająca dziuplę albo dziurę, a nawet chrzcielnicę. Co ciekawe, w języku łużyckim zachowała się liczba podwójna. Na przykład jeden to syn, dwaj – synaj, kilku – synojo.

– Historyczna ziemia łużycka leży po obu stronach granicznej Nysy. Czy w Polsce żyją Łużyczanie?

– Od zakończenia drugiej wojny światowej w Rzeczypospolitej nie ma Łużyczan, ale pozostały materialne ślady ich obecności, szczególnie w powiatach żarskim i krośnieńskim.

**– Łużyczanie mieszkają tylko po niemieckiej stronie?**

– Mocno ubywa Łużyczan, a właściwie Serbów Łużyckich albo Wendów, jak Niemcy nazywają Słowian. Co przez stulecia nie udawało się margrabiom saskim i brandenburskim, co w latach trzydziestych XX stulecia nie wyszło nazistom, to sposobami „demokratycznymi” przeprowadzili Ulbricht i Honecker. Jeszcze ćwierć wieku temu, kiedy dogorywała NRD, urzędnicy w Berlinie chwalili się, że pierwsze na ziemi niemieckiej państwo robotników, chłopów i inteligencji pracującej stworzyło warunki, w jakich ponad sto tysięcy obywateli narodowości łużyckiej posługuje się własnym językiem, pielęgnuje swoją kulturę, zwyczaje i tradycje. Dziś zaledwie połowa tej liczby przyznaje się do korzeni łużyckich. A sorabiści zastanawiają się, czy po blisko piętnastu stuleciach dryfowania łużycka wyspa zatopi się w niemieckim morzu.

**– Powiedział pan, że Łużyczanie żyją na Górnych Łużycach od szóstego wieku. Czy to oznacza, że nie są potomkami tych, którzy ponad trzy tysiące lat temu stworzyli kulturę zwaną łużycką w centralnej Europie?**

– Tamtą ludność tak właśnie nazwał berliński prehistoryk Rudolf Virchow w XIX stuleciu, po powrocie z wycieczki do Burga koło Chociebuża, gdzie zwrócił uwagę na znajdowane wytwory ceramiczne. Podczas konferencji sorabistycznej na Uniwersytecie Zielonogórskim ktoś z jej uczestników spytał, czy tamci Łużyczanie byli pra-Słowianami czy pra-Germanami. Archeolog zielonogórski doktor Andrzej Marcinkian najpierw grzmotnął ręką w stół, potem wyjaśnił spokojnie, że na to pytanie nie odpowie żaden szanujący się badacz pradziejów. Bo po ludności kultury łużyckiej przetrwały jedynie okruchy garnków, ozdoby ze złota, brązu, bursztynu i szklane paciorki, broń oraz urny – popielnice z prochami zmarłych, a to za mało, żeby określić mowę, wygląd, język, charakter ludzi żyjących w epoce brązu.

– Gustaf Kossinna, profesor archeologii w przedwojennych Niemczech, twierdził, że ludność kultury łużyckiej to pra-Germanie.

– Gdy to usłyszał Józef Kostrzewski, odkrywca grodu w Biskupinie, ogłosił teorię, wedle której istnieje ciągłość osadnictwa słowiańskiego na terenie Polski od prahistorii. Dlatego, gdy w pierwszych dniach września 1939 roku Niemcy zajęli Poznań, Kostrzewski uciekł na wieś w Małopolsce, gdzie pod zmienionym nazwiskiem ukrywał się do końca okupacji. Może więc lepiej współczesnych słowiańskich mieszkańców Dolnych Łużyc w południowo-wschodniej Brandenburgii i Górnych Łużyc w północno-wschodniej Saksonii nazywać Serbami Łużyckimi albo Serbołużyczanami.

– Jaką drogę pokonali ich przodkowie, osiedlając się w tej części Europy w szóstym wieku?

– Na zajmowane dziś tereny Serbowie Łużyccy przybyli ze swoich siedzib po północno-wschodniej stronie Karpat podczas wielkiej wędrówki, o czym wspomina Fredegar w kronice *Historia Francorum*. Napłynęli z Białej Serbii. Nie wiadomo, gdzie leżała ta kraina. Część badaczy ulokowała ją na Zakarpaciu, część na Śląsku, a nawet w Wielkopolsce. Ci, którzy umiejscowili Białą Serbię w Wielkopolsce, na potwierdzenie swojej tezy podają popularność w tym regionie takich nazw jak Sarbinów, Sarbinowo, Sarbia, Serbinowo, Serby. Wędrowcy z Białej Serbii zatrzymali się między Soławą i Łabą na zachodzie a Kwisą, Bobrem i Odrą na wschodzie. Na północy ich osady sięgały Berlina, na południu Gór Izerskich i Rudaw. Byli niezwykle waleczni i przy tym odważni, co potwierdza Fredegar zaznaczając, że pod wodzą księcia Derwana wyprawiali się na monarchię Franków i łupieżczych Awarów. Po śmierci Karola Wielkiego zachodni Słowianie, przede wszystkim Łużyczanie, Obodrycyowie, Lutykowie i Milczanie próbowali utworzyć własne państwa. Ich sytuacja polityczna pogorszyła się, kiedy w 919 roku saski władca Henryk Ptasznik zaczął zlepieć księstwa w cesarstwo niemieckie. Według *Kroniki Thietmara* Henryk napadał na plemiona połabskie i zajmował tereny Słowian, czyniąc ich mieszkańców swymi poddanymi. Jako ostatni niepodległość utracili Milczanie pod koniec X stulecia. Od tego czasu datuje się napływ niemieckich kolonizatorów przede wszystkim z Frankonii, Flamandii i Turyngii na Łużyce.

– W obronie zachodnich Słowian stanął Bolesław Chrobry, podporządkowując sobie terytorium łużyckie.

– Kolejni władcy polscy również starali się rozszerzyć granice swego królestwa na zachód, co najczęściej kończyło się przegranymi bitwami z cesarzami niemieckimi. Za panowania Bolesława Krzywoustego Królestwo Polskie było hen po zachodniej stronie Odry, a biskup rezydujący w Lubuszu (niem. Lebus) podlegał metropolii gnieźnieńskiej. Gdyby nie to, że w 1242 roku książę Bolesław Rogatka, uważany za zakałę Piastów śląskich, zastawił część Ziemi Lubuskiej u arcybiskupa magdeburskiego, a potem nie miał za co jej wykupić, być może średniowieczna Polska miałaby inne granice.

– Dlaczego w historii Europy nie ma mowy o Łużycach jako państwie?

– Po utracie niezależności politycznej w X stuleciu Serbołużyczanom nie udało się zorganizować własnej państwowości, chociaż nigdy nie porzucili tej myśli. Wydawało się, że będzie to możliwe po Wiośnie Ludów. Potem po pierwszej wojnie światowej, gdy w 1919 roku delegacja łużycka dotarła do Wersalu, ale Francuzi nie mieli ochoty z nią rozmawiać, Anglicy zaś uznali utworzenie republiki łużyckiej za osłabienie przegranych Niemiec. Najbliżej własnego państwa Serbowie Łużyccy byli zaraz po drugiej wojnie światowej. Wtedy część patriotów opowiedziała się za samodzielnością, częścią za przyłączeniem do Czechosłowacji i częsteczką za przynależnością do Polski. W Wielkopolsce nawet powstało stowarzyszenie Prołuż, które nie tylko domagało się Łużyc w granicach Rzeczypospolitej, ale i, wierząc w sukces, pomagało młodzieży łużyckiej w podejmowaniu studiów na uniwersytetach w Poznaniu, Wrocławiu i Krakowie. Gdyby Stalin nie kazał zostawić obu Łużyc we wschodnich Niemczech, zachodnia granica przebiegałaby nie korytem Nysy, a wzdłuż Sprewy. W 1990 roku, w trakcie jednoczenia Niemiec, Łużyczanie apelowali do rządu Kohla o utworzenie kraju związkowego Lausitz. Również bezskutecznie.

– W polskiej historiografii przemilecza się, że w 1945 roku Rzeczpospolita źle się przysłużyła tożsamości łużyckiej.

– Z przeprowadzonej w latach osiemdziesiątych XX stulecia rozmowy z tłumaczem Stanisławem Marciniakiem zapamiętałem, że

kiedy w ostatnich dniach wojny razem z 2 Armią Wojska Polskiego znalazł się niedaleko Budziszyna, na drzwiach wielu domów widział kartki: tu mieszkają Łużyczanie. Mimo to, gdy na ziemi między Kwisą, Bobrem i Nysą stawili się Polacy zza Bugu i Centralnej, jej mieszkańców, jeśli nie wyjechali dobrowolnie, wypędzili za zachodnią granicę. Wśród wysiedlonych przeważali Niemcy, ale i były całe wsie łużyckie. Sławna poetka dolnołużycka Mina Witkojc żaliła się, że „lis ma swoją norę, pies ma swoją budę, a ona nie ma własnego domu”.

– **Niedaleko Gubina leży Chlebowo, w 1945 roku zasiedlone przez polskich osadników wojskowych. Do połowy XX wieku wieś nazywała się Niemaszkleba.**

– W powieści Tadeusza Zimeckiego pod tytułem takim samym jak nazwa wsi, są takie zdania: „to nazwa, która nie pasuje do kraju budującego socjalizm. Sugerowałaby ona wrogom i wszystkim niepewnym elementom, że w Polsce brakuje chleba. Trzeba z tym skończyć. Kiedy zapytano go [porucznika Barskiego], jakby wieś należało przemianować, odpowiedział bez namysłu: – Chlebowo! Chlebowo, towarzysze! Będzie spółdzielnia, będą przodujący rolnicy, a tu Niemaszchleba. Niech będzie Chlebowo!”.

– **Po 1945 roku polskie nazwy miejscowości zastąpiły nazwy łużyckie, chociaż niektóre brzmią podobnie.**

– Nawet identycznie po polsku i dolnołużycku. Na ziemi żarskiej dotyczy to Bieniowa, Boruszyna, Drożkowa, Golina, Jaryszowa, Kadłubi, Kunic, Lipska, Lubanic, Łazu, Świbnej. Zresztą grupa nazw dolnołużyckich występuje w szerokim pasie pogranicznym między żarskim państwem stanowym, a księstwem żagańskim – od Łazu i Kunic na południe aż po Krzywą na północy. Świadczy to o silnych polsko-dolnołużyckich związkach językowych, gdyż na ziemi żagańskiej silny był zawsze żywioł polski.

– **Można tu spotkać kalki językowe.**

– Na przykład: Żdżarki to Żarki Małe, Bęłojce – Białowice, Zabłoto – Zabłocie, Hażowk – Zajączek. Hażowk wskazuje na naleciałości niemieckie w języku dolnołużyckim, gdyż ma on na określenie zająca drugi wyraz, rodzimego pochodzenia, mianowicie wuchac,



zaś podobny wyraz w górnołużyckim – wuchać – znaczy tyle co długouchy.

**– Jest jeszcze grupa nazw patronomicznych.**

– Do nich trzeba zaliczyć Małe i Wjelike Henrichojce, czyli Jędrzychowiczki i Jędrzychowice, Albrechtójce – Olbrachtów, Biedrichojce – Biedrzychowice, Mjerink – Marcinów, Petskow – Pietrzyków, Mirkojce – Mirkowice, Gnewasyce – Gniewoszyce.

**– Cofnijmy się do poprzedniego tysiąclecia, kiedy władcy germańscy robili wszystko, żeby pozbyć się Łużyczan, to znaczy ich zniemczyć.**

– Już w 1293 roku Niemcy zabronili posługiwania się ich językiem w sądach w Bernburgu, Altenburgu, Zwickau i Lipsku. Pola, łąki i lasy podstępnie przejmowali koloniści, którzy z biegiem lat stawali się jedynymi panami, Łużyczanie zaś chłopską mniejszością. W kolejnych wiekach margrabiowie zabronili Słowianom osiedlania się w skupiskach miejskich, wyznaczając przybyszom kwartały w podgrodziach. W 1875 roku administracja pruska wydała zakaz używania języka łużyckiego w szkołach w Brandenburgii. Potem wielokrotnie urzędnicy powtarzali tę decyzję, powołując się na trudne do potwierdzenia przepisy.

**– To musiało pomagać Łużyczanom. Prowadziło do tworzenia gett łużyckich i podtrzymywania odmiennej mowy, zwyczajów, a tym samym mocnego trwania Łużyczan przy wierze i tradycjach ojców.**

– Ale Niemcy tego nie rozumieli. Proszę sobie wyobrazić, że w 2003 roku w Chrościcach koło Budziszyna władze nakazały zamknięcie łużyckiej szkoły średniej. Wtedy na krzyżu ustawionym na wprost budynku szkolnego ktoś wymalował: „Byliśmy, jesteśmy, będziemy”. Najbardziej ceniony pisarz łużycki Jurij Breżan napisał list otwarty do saksońskiego ministra edukacji. „Myli się pan, panie ministrze: zamknięcie chrościckiej szkoły nie jest sprawą między panem a rodzicami siedemnaściora uczniów. To jest sprawa niemieckiego pojmowania stosunku do mniejszości etnicznej we własnym kraju, do autochtonicznej grupy ludzi, która z biegiem czasu skurczyła się do kilkudziesięciu tysięcy osób”. O wsparcie katolicycy

Łużyczanie zwrócili się do Jana Pawła II, który jako pierwszy spośród papieży udzielał błogosławieństwa *Urbi et orbi* również po łużycku. Skutek tego był taki, że działacze łużyccy zaczęli więcej wagi przykładąć do nauczania języka od przedszkola, wychodząc z założenia: czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci.

– Dodatkowym sprawcą trwania Łużyczan przy swoim języku jest religia.

– Na Górnych Łużycach dominuje religia katolicka, na Dolnych Łużycach – luterkańska, wprowadzona zaraz po reformacji zainicjowanej przez Marcina Lutra. Ten augustiański mnich zdobył posłuch u Łużyczan przede wszystkim dlatego, że był orędownikiem liturgii w języku zrozumiałym przez wiernych. I dlatego w 1522 roku przełożył Biblię na niemiecki. 26 lat później były augustianin z Żagania, proboszcz parafii luterkańskiej w leżących dziś po polskiej stronie Lubanicach, Mikołaj Jakubica, przełożył Nowy Testament na dialekt żarowski uważany za język dolnołużycki. Co ciekawe, za życia Jakubicy jego dzieło nie ukazało się drukiem, dopiero w 1967 roku Hinc Schuster-Šewc opublikował tekst zabytku dla potrzeb filologiczno-językoznawczych.

– Pochodzący ze Słńska poznański językoznawca Tadeusz Lewaszkiewicz pisze, że Luter „nie darzył sympatią Łużyczan [mimo iż oni go szanowali]”.

– Zdaniem profesora Lewaszkiewicza Luter wyrażał się o nich z pogardą. Podzielał też zapewne pogląd o potrzebie szybkiego zgermanizowania ludności słowiańskiej na obszarach podbitych przez Niemców. Wedle badacza łużyckiego Jana Malinka, łużyckość trwa przede wszystkim dzięki chłopskiej naturze tego narodu, z której to warstwy pochodzi ich inteligencja, głównie księża i nauczyciele.

– Co jeszcze wydarzyło się, że mimo tylu przeciwności Łużyczanie zachowali swój język, zwyczaje, kulturę?

– Na to pytanie jest łatwo i trudno odpowiedzieć. Łatwo, gdy spojrzeć się na nich z polskiej strony, a szczególnie gdy weźmie się pod uwagę okres zaborów. Trudno, bo przecież nie przez 123 lata, ale od piętnastu stuleci zaciskają się na Łużyczanach germańskie kleszcze. Przeciwna temu jest spora część inteligencji niemieckiej.

– Ile prawdy jest w tym, że łużycką świadomość narodową obudzili polscy badacze środkowej Europy na początku XIX wieku i emigranci z zaboru rosyjskiego po powstaniach kościuszkowskim, listopadowym i styczniowym?

– Sama prawda. Znaczenie miały także nadzieje Polaków na utworzenie własnego państwa związane z Napoleonem i wojna francusko-pruska. Narodowa pieśń Serbów Łużyckich brzmi niemal identycznie jak *Pieśń Legionów Polskich we Włoszech*, która stała się polskim hymnem. W 1845 roku Handrij Zejler pod wpływem słów Józefa Wybickiego napisał *Hišće Serbstwo njezhubjene*, co można przetłumaczyć jako: *Jeszcze Łużycy nie zginęły*. Nawiasem mówiąc w XIX stuleciu większość narodów słowiańskich wzorowało się na Mazurku Dąbrowskiego, który na przykład jako pieśń Chorwatów zaczyna się od słów *Još Hrvatska ni propala* (pol. Jeszcze Chorwacja nie umarła). Ukraińcy śpiewali *Szcze nie umierła Ukraina* (pol. Jeszcze nie umarła Ukraina), a Słowacy – *Hej, Slováci, ešte naša slovenská reč žijež* (pol. Hej, Słowacy, jeszcze nasz język żyje). Z wyjątkiem Serbów Łużyckich, wszystkim narodom słowiańskim wcześniej czy później udało się utworzyć własne państwa.

– Dlaczego na żadnej mapie nawet najbardziej dociekliwy czytelnik nie znajdzie takich miejscowości: Łakoma, Baćon, Bukowinna, Wochozy i jeszcze siedemdziesięciu kilku wiosek?

– Przypomniał pan miejsca, gdzie na okolonych płotami podwórzach obok domów z czerwonymi dachami stały obory, chlewnie, stodoły, drewnutnie, gdzie pasły się krowy i owce, gdzie konie ciągnęły pługi, gdzie latem zaradni gospodarze kosili żyto i owies, a ich pracownice żony w lipcowym skwarze wiązały snopy zboża, gdzie jesienią wyrwali buraki i zbierali kartofle. Teraz te miejsca przypominają krajobraz na Książcu. Ani jednej jabłoni, gruszy, miododajnej lipy, pod którą w upalne dni łużyccy gospodarze chronili się przed słońcem. Nie ma kościółków, cmentarzyków, przydrożnych kapliczek i krzyży. Żadnego śladu wiary i ludzkiej zapobiegliwości. Są ogromne jamy, z których kombajny górnicze wybrały węgiel brunatny. Ten węgiel jest przekleństwem Łużyc. Co z tego, że mało kaloryczny, skoro tani oraz blisko elektrowni Jänschwalde, Schwarze Pumpe i Boxberg.

– Obowiązkiem firm wydobywczych jest rekultywacja pokopalnianych wyrobisk. Nie robią tego?

– Robią z dużym poślizgiem albo wcale. A jak się pozbyć niebezpiecznych dla środowiska składowisk popiołów i innych produktów spalania? Może gdyby firmy energetyczne i wydobywcze wywiązywały się ze swoich powinności, dawni mieszkańcy wracaliby tam, gdzie się urodzili. Na razie pytają: po co? Pól już nie ma, łąk także nie ma i nie ma lasów. Domów, stodół, obór, kurników nie ma. Nie ma kościołów, cmentarzy, przydrożnych kapliczek i krzyży. Nie słychać hejnału żurawi, ogłaszających seledynowy świt, stukotu pieśni głuszcza, bulgotania cietrzewiego tokowiska.

– To może powinni wracać po to, żeby miał kto budować i wynajmować łodzie tym, których najdzie ochota popływać po wodach pokopalnianych zalewisk?

– Albo żeby oprowadzali niedowiarków po zwałowiskach i pokazywali, jak ludzie zniszczyli to, co Pan Bóg przez sześć dni stworzył? A może znaleźliby się i tacy, którzy lubią słuchać wspomnień z czasów, gdy wsie były wsiami łużyckimi? Starzy są za starzy, żeby wracać, młodzi zaś przywykli do blokowisk w Hoyerswerda, Spremberg, Forst, Senftenberg. Młodzi nie mówią Chóśebuz, tylko Cottbus, nie Budyšin, lecz Bautzen, nie Běła Woda, tylko Weisswasser, nie Borkowy, a Burg. Chłopcy nie potrafią ustawić drzewa majowego na głównym placu we wsi, nie dosiadają koni na Świętego Jana, nie łapią koguta, nie malują i nie kulają pisanek, ponieważ nie znają tych zwyczajów. Młode dziewczęta nie paradują w odświętnych strojach z charakterystyczną, zdobioną bogatym haftem, udrapowaną chustą na głowie. Tylko w szczęśliwie położonej wsi Slěpo, bo jeszcze z dala od kopalni węgla brunatnego, co roku odbywa się ptasie wesele, są hucznie obchodzone zapusty, nawet zdarza się palenie czarownic, chociaż one już nie potrafią zagrozić człowiekowi. Kto jest ciekawy, jak między zagonami żyta i owsa podąża wielkanocna procesja konna, powinien wybrać się do parafii Radwor czy Baćon albo Kulow, ewentualnie do Ralbicy. W tej ostatniej wsi wszystkie krzyże nagrobne na przykościelnym cmentarzu katolickim są drewniane i białe, bo tam to jest kolor żałoby.

– W artykule szóstym konstytucji saksońskiej jest mowa o tym, że „należy zachować niemiecko-serbołużycki charakter obszaru osadnictwa ludności serbołużyckiej”.

– W konstytucji brandenburskiej znalazła się gwarancja utrzymania łużyckiego „tradycyjnego obszaru osadnictwa”. I co z tego, skoro koncern energetyczny wmawia rządzącym z Berlina, że ten zapis dotyczy osób, a nie miejscowości. Na razie tylko jednej wsi udało się uniknąć zagłady, chociaż kopalniane jamy powstały tuż za płotami, a taśmociągi dzień i noc przesuwały tysiące ton węgla do pobliskiej elektrowni. Gdy niemal było pewnie, że mieszkańcy Rogowa także przegrają z koncernem energetycznym, z pomocą przyszła im społeczność międzynarodowa, przede wszystkim ekolodzy, pisarze i publicyści, duchowni, politycy opozycji. Przecież Unia Europejska zachęca do rozwoju odnawialnych źródeł energii.

– Pisarz Jurij Breżan porównał swój naród do topniejącej bryłki lodu.

– Wygląda na to, że miał rację, jeśli weźmie się pod uwagę na przykład to, że dziś trzeba mieć dużo szczęścia, aby na ulicy w Chociebużu usłyszeć łużycki język. Pierwszy prezydent wschodnich Niemiec Wilhelm Pieck przyszedł na świat w przedwojennym Gubinie (niem. Guben) jako Wylem Pječka, ale tej informacji nie znalazł pan w jego oficjalnym życiorysie. W budynku, w którym urodził się Pieck, w 1962 roku powstało muzeum biograficzne. Dziś nie ma tam muzeum, a zamieniona wtedy Różana na ulicę Wilhelma Piecka znowu jest Różaną. O najbardziej znanej i szanowanej poetce łużyckiej, którą jest Mina Witkojc, Niemcy mówią, że to Wilhelmine Wittka. Malarz Wylem Šybař w dowodzie osobistym miał wpisane Willi Schieber.

– Czy Polacy pomagają Serbołużyczanom trwać przy swoim języku, kulturze, historii?

– Do Związku Serbów Łużyckich „Domowina” należą stowarzyszenia polsko-serbołużyckie z Opola i Wrocławia. Współpracuje z nim zielonogórskie Towarzystwo Studiów Łużyckich i żarski oddział Towarzystwa Polsko-Serbołużyckiego. W łużyckim zespole pieśni

i tańca w Budziszynie pracują tancerze, śpiewacy i instrumentalisci z Polski. Maria Elikowska-Winkler prowadzi dolnołużycką szkołę języka i kultury w Chociebużu. Grzegorz Wieczorek jest redaktorem naczelnym wydawanego w języku dolnołużyckim tygodnika „Nowy Casnik”. Badania naukowe na obu Łużycach prowadzą uczeni z uniwersytetów w Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu, Opolu i Zielonej Górze. W tych miastach odbywają się spotkania i koncerty, sesje i konferencje naukowe, wystawy i prezentacje tak osiągnięć, jak i zagrożeń dotyczących Łużyczan.

**– A czy na Środkowym Nadodrzu są ślady obecności Serbów Łużyckich?**

– Przede wszystkim zatroszczyło się o to Muzeum Etnograficzne w Zielonej Górze. W skansenie budownictwa ludowego pokazywana jest kolonia łużycka, stoją tam chałupy z Jasionowa, Marcinowa, Zajączka i Jędrzychowiczek, zagroda z Marcinowa, kurnik i gołębnik z Drożkowa. Mniejszy skansen znajduje się w Buczynach pomiędzy Żarami a Łęknicą.

**– Wznoszę więc toast po łużycku: Ja śi wiżim.**

– Ja śi słysym.

**– Dziękuję za rozmowę.**



## Serbołużyczanie wywodzący się ze wschodnich Łużyc

**Henryk Kietlicz** (ok. 1150-1219) był arcybiskupem gnieźnieńskim w latach 1199-1219. Jego wpływy rozciągały się na wszystkie dzielnice piastowskie. Przedstawił program reformy kościelnej, która zawierała cztery postulaty: wprowadzenie celibatu duchowieństwa, uwolnienie Kościoła spod władzy świeckiej, wyłączenie duchownych spod kompetencji sądów świeckich i kapitulnego wyboru biskupów. Spowodował odsunięcie żonatych duchownych od sprawowania władzy kościelnej.

**Jan Rak Starszy** (1457-1520) był profesorem Akademii Krakowskiej, wykładał na uniwersytetach we Frankfurcie nad Odrą i Wittenberdze. Mimo licznych zajęć, pamiętał o Łużycach. Rodzinnej ziemi poświęcił wiele utworów. W 1514 roku utworzył gimnazjum w Chociebużu, które później zyskało sobie sławę najlepszej szkoły na Dolnych Łużycach i przydomek Universitas Serborum. Jest autorem pracy *Modus epistolandi* (Sztuka pisania listów). Pochodził z Lubka. Jest mylony z Janem Rakiem Młodszym.

**Jan Rak Młodszy**, znany też jako Rhagius Aesticampianus Lusatus lub Jan Sommerfeld Młodszy, urodził się w Sommerfeld (pol. Lubsko), zmarł w Wittenberdze. Humanista, pisał poezje łacińskie, m.in. poświęcone Łużycom *Carmen de Lusatia* (Elegia o Łużycach). O tym, że pochodził z Lubka przypomina pamiątkowa tablica na ścianie ratusza.

**Jan Benedykt Solfa** (1483-1564) urodził się w Triebel (pol. Trzebiel), zmarł w Krakowie. Studiował medycynę w Akademii Krakowskiej oraz na uniwersytetach w Bolonii i Padwie. Po powrocie z Włoch przyjął święcenia kapłańskie. Był nadwornym lekarzem królów Zygmunta I Starego i Zygmunta II Augusta. Pisał wiersze i prace historyczne. W 1541 r. za zasługi dla medycyny cesarz Karol V podniósł go do stanu szlacheckiego i obdarzył herbem. Został pochowany w podziemiach katedry wawelskiej. Jest patronem Gimnazjum w Trzebielu i Łużyckiej Wyższej Szkoły Humanistycznej w Żarach.

**Mikołaj Jakubica** (1500-1563) urodził się w Sommerfeld, zmarł w Linderode (pol. Lipinki Łużyckie). Należał do zgromadzenia

augustianów w Żaganiu. W 1523 r. objął parafię ewangelicką w Lubanicach w państwie stanowym Żary-Trzebiel. Od 1540 r. przebywał w Kulowie na Górnych Łużycach, gdzie pracował nad pierwszym przekładem Nowego Testamentu na dialekt żarowski. Biblia zwana Lubaniczką albo Ewangeliarzem Jakubicy powstała w 1548 r., wydrukowana została dopiero w 1967.

**Wylem Piečka**, znany jako Wilhelm Pieck (1876-1960) urodził się w Gubinie, zmarł w Berlinie. W 1916 r. współtworzył Związek Spartakusa. W 1928 został posłem do Reichstagu. Cztery lata później był rektorem Międzynarodowej Szkoły Lenina w Moskwie. W 1943 należał do założycieli komitetu Wolne Niemcy w Związku Radzieckim. Po utworzeniu NRD został przewodniczącym prezydium Rady Ludowej. Od 1949 do 1960 był prezydentem. Po jego śmierci zmieniono nazwę miasta Guben na Wilhelm-Pieck-Stadt (obowiązywała do 1990 r.).

**Maria Młynkowa** (1934-1971) urodziła się w Thommendorfie (pol. Tomisław koło Bolesławca), zmarła w Budziszynie. Kształciła się w szkołach ludowych w Ługach i Starym Kisielinie, liceum w Zielonej Górze i gimnazjum w Varnsdorfie w Czechach, studiowała pedagogikę i germanistykę w Lipsku. W języku górnołużyckim napisała zbiory opowiadań *Kostrjanc a czerwjeny mak* (1965) i *Za płotom* oraz powieść *Dny w dalinje* (1967).



## ŹRÓDŁA

Jak w czterech poprzednich książkach z kluczem w tytule, pod tekstami nie podawałem źródeł, z których korzystałem, nie chcąc czynić pracy badawczą. Starałem się, żeby moje opowiadania w formie rozmów z duchami postaci zasłużonych dla Środkowego Nadodrza bardziej były literackie. Mimo to starałem się jak najmniej zmyślać, dlatego obficie czerpałem z publikacji autorów polskich i w mniejszej skali zagranicznych. Niżej podaję jedynie te najciekawsze, zakładając, że wśród Czytelników będą tacy, którzy zechcą do nich zajrzeć, aby dowiedzieć się jeszcze więcej o przeszłości regionu nad środkową Odrą i dolną Wartą.

- Antologia poezji łuszyckiej*, wybór Wilhelm Szewczyk, Katowice 1960.
- Bogdan Biegalski, *Początek organizacji władz bezpieczeństwa w Zielonej Górze*, „Studia Zielonogórskie” 1996, nr 2.
- Aneta Borkowska, *Dzieje Archiwum Państwowego w Zielonej Górze*, „Studia Zielonogórskie” 2006, nr 12.
- Stanisław R. Brzostkiewicz, *Polacy na Księżycu*, „Urania” 1959, nr 7.
- Dariusz Dolański, *Z dziejów reformacji w Zielonej Górze*, „Studia Zielonogórskie” 1995, nr 1.
- Dawne widoki Gorzowa / Alte Ansichten von Landsberg*, redakcja Zdzisław Linkowski, Gorzów Wlkp. 1997.
- Longin Dzieżyc, *Alf Kowalski (1914-1993). Muzealnik i artysta z Międzyrzecza*, [w:] *Zapisałi się w dziejach Środkowego Nadodrza. Szkice biograficzne*, redakcja Przemysław Bartkowiak, Jarosław Kuczer i Dawid Kotlarek, Zielona Góra 2009.

- Jerzy Gąsior, *1300 lat Santoka*, Santok 1997.
- Gorzów Wielkopolski, *Portret miasta / Das Porträt der Stadt*, Gorzów Wlkp. 1994.
- Roman Haczekiewicz, *Kościół Mariacki w Żaganiu*, Żagań 2003.
- Bohdan Halczak, *Wysiedlenia mieszkańców Zielonej Góry w 1950 r.*, „Studia Zielonogórskie” 2006, nr 12.
- Tomasz Jaworski, *Żary w dziejach pogranicza śląsko-łużyckiego*, Żary 1993.
- Tomasz Jaworski, Wiesław Pyżewicz, Witold Piwoński (1930 – 2005) *piewca wschodnich Łużyc*, Zielona Góra 2011.
- Guido von Kaulla, *Brennendes Herz Klabund. Legende und Wirklichkeit*, Zürich 1971.
- Krystyna Kamińska, *Leksykon literatury gorzowskiej*, Gorzów Wlkp. 2003.
- Krystyna Kamińska, Zbigniew Rudziński, *Gorzów Wielkopolski – miasto na siedmiu wzgórzach*, Kraków 2007.
- Krystyna Kamińska, *Zawsze Nowak, wywiad-rzeka z wieloletnim wojewodą gorzowskim Stanisławem Nowakiem*, Gorzów Wlkp. 2012.
- Klabund, *Car Piotr*, Warszawa 1930.
- Klabund, *Mahomet; Bracke; Borgia*, Warszawa 1970.
- Klabautermann und Vagabund. Eine Einführung in Leben und Werke Klabund (1890-1928). Begleitheft zur Kabinett-Ausstellung*, Berlin 2003.
- Alicja U.M. Kłaptocz, *Kostrzyńskie pejzaże. Powojenne dzieje nadodrzańskie miasta*, Kostrzyn nad Odrą 2009.
- Alicja U.M. Kłaptocz, *Kostrzyńskie klimaty. Powojenne lata polskiego Kostrzyna. Jak feniks z popiołów*, Kostrzyn nad Odrą 2010.
- Stanisław Kowalski, *Zabytki Środkowego Nadodrza*, Zielona Góra 1976.
- Jan Kruczek, *Z dziejów muzycznych panów i książąt pszczyńskich. Od Promnitzów do Hochbergów*, Pszczyna 2009.
- Andrzej Kwilecki, *Ziemia Lubuska jako pogranicze*, „Studia Zielonogórskie” 2000, nr 6.
- Elżbieta Maciejewska, *Muzeum Regionalne 1949-1951. Krystyna Kłesk, kierownik Muzeum Regionalnego w Zielonej Górze*, [w:] *Muzeum w Zielonej Górze 1922-2012*, red. Arkadiusz Cincio i Anitta Maksymowicz, Zielona Góra 2012.
- J[erzy] P. Majchrzak, T[omasz] Jaworski, I[reneusz] Brzeziński, *Georg Philipp Telemann w Żarach*, Żary [brak roku wydania].
- Jerzy Piotr Majchrzak, *Brama. Krosno Odrzańskie ongiś*, Krosno Odrzańskie 1995.

- Jerzy Piotr Majchrzak, *Mikołaj Fabri*, [w:] *Ludzie Środkowego Nadodrza. Wybrane szkice biograficzne (XII-XX wiek)*, redakcja Kazimierz Bartkiewicz, Zielona Góra 1998.
- Anitta Maksymowicz, *Abraham Scultetus (1566-1625) – teolog z Zielonej Góry*, „Studia Zielonogórskie” 2009, nr 15.
- Jan Malink, *Z politycznej i kulturalnej historii Łużyczan*, [w:] *Łużycanie, słowiański naród w Niemczech*, Warszawa 1994.
- Andrzej Marcinkian, *Ziemia Lubuska w dobie cywilizacji łużyckiej*, Zielona Góra 2010.
- Andrzej Marcinkian, Alfred Siatecki, *Tajemnice naszej ziemi*, Zielona Góra 2011.
- Zdzisław Morawski, *Strofy o dzierzawie*, Gorzów Wlkp. 1982.
- Marlena Magda-Nawrocka, Tomasz Struk, *Krosno Odrzańskie przez wieki / Territorio de Crosone*, Krosno Odrzańskie 2005.
- Klemens Neumann, *Młodzińcze lata w Landsbergu a. W. 1928-1945*, [w:] *Gorzów w mojej pamięci / Gorzow in meiner Erinnerung*, Gorzów Wlkp. 2008.
- Stanisław Olejniczak, Grzegorz Szklarz, *Zarys historii prokuratury zielonogórskiej*, „Studia Zielonogórskie” 2005, nr 11.
- Janusz Opaska, *Albert Severin (1851-1934). Pierwszy architekt miejski Zielonej Góry (1888-1920)*, [w:] *Zapisali się w dziejach Środkowego Nadodrza. Szkice biograficzne*, redakcja Przemysław Bartkowiak, Jarosław Kuczer i Dawid Kotlarek, Zielona Góra 2009.
- Joanna Patorska, *Muzeum w Międzyrzeczu*, „Rocznik Lubuski” 2005, nr 31, cz. I.
- Ryszard Patorski, *Puncce konwisarskie na portretach trumiennych, tablicach epitafijnych i herbowych ze zbiorów Muzeum Ziemi Międzyrzeckiej im. Alfa Kowalskiego w Międzyrzeczu*, [w:] *Ziemia międzyrzecka w przeszłości*, redakcja Bogusław Mykietów i Marcei Tureczek, Międzyrzecz–Zielona Góra 2014.
- Zbigniew Pieniężny, *Referat z okazji 10-lecia Szpitala Wojewódzkiego w Zielonej Górze (wygłoszony w 1955 r.)*, „Studia Zielonogórskie” 2001, nr 7.
- Robert Piotrowski, *Dzieje Santoka – gród, wieś i okoliczne miejscowości*, Santok 2007.
- Witold Piwoński, *Mikołaj Jakubica i jego Biblia*, „Kronika Ziemi Żarskiej” 1997, nr 3.
- Witold Piwoński, *Żarski Telemann*, „Słowo Żarskie” 1981, nr 10.

- Plastyczne narracje, 40-lecie ZPAP w Zielonej Górze*, redakcja Barbara Fijałkowska, Zielona Góra 1994.
- Jan Popis, *Jerzy Filip Telemann w Pszczynie*, Pszczyna 1979.
- Bolesław Potyrała, Hieronim Szczegół, *Czerwoni marszałkowie. Elita Armii Radzieckiej 1935-1991*, Zielona Góra 1997.
- Adrian Put, *Strażnica i klucz Królestwa Polskiego*, „Tygodnik Katolicki – Niedziela” 2013, nr 10.
- Dariusz A. Rymar, *Gorzów – Zielona Góra: między mitem a rzeczywistością*, „Studia Zielonogórskie” 2007, nr 13.
- Dariusz A. Rymar, *U źródeł kształtowania się województwa lubuskiego – Gorzów na mapie administracyjnej kraju w latach 1945-1950*, [w:] *Ziemia Lubuska. Studia nad tożsamością*, redakcja Andrzej Toczewski, Zielona Góra 2004.
- Ewa Siatkowska, *Nasi bracia zza Nysy Łużyckiej*, [w:] *Łużyczanie, słowiański naród w Niemczech*, Warszawa 1994.
- Stanisław Sinkowski, *Osadnictwo pradziejowe i średniowieczne u zbiegu Warty i Noteci*, [w:] *Santok »Strażnica i klucz królestwa«. 30 lat Muzeum Grodu w Santoku*, Gorzów Wlkp. 2010.
- Jan Šořta, *Zarys dziejów Serbołużyczan*, Wrocław 1984.
- Hieronim Szczegół, *Zielona Góra. Rozwój miasta w Polsce Ludowej*, Poznań 1984.
- Georg Philipp Telemann, *Autobiografie = Autobiographien 1718. 1729. 1740*, Pszczyna 2008.
- Andrzej Toczewski, *Kostrzyn 1945*, Warszawa 1988.
- Andrzej Toczewski, *Bitwa o Odrę w 1945 roku*, Zielona Góra 2010.
- Johann Gotlob Worbs, *Gesichte der Herrschaften Sorau und Triebel*, Sorau 1826.
- Grażyna Wyder, Krystyna Klęsk (1898-1977). *Sanitariuszka, nauczycielka*, [w:] *Zapisali się w dziejach Środkowego Nadodrza. Szkice biograficzne*, red. Przemysław Bartkowiak, Jarosław Kuczer i Dawid Kotlarek, Zielona Góra 2009.
- Zamki, dwory i pałace województwa lubuskiego*, redakcja Barbara Bielinis-Kopeć, Zielona Góra 2008.
- Ryszard Zaradny, *Władza i społeczność Zielonej Góry w latach 1945-1975*, Zielona Góra 2009.
- Ryszard Zaradny, *Życie społeczno-polityczne w Zielonej Górze w latach 1950-1980*, [w:] *Historia Zielonej Góry. Dzieje miasta w XIX i XX wieku*, tom II, redakcja Wojciech Strzyżewski, Zielona Góra 2012.

*Ziemia międzyrzecka w przeszłości*, redakcja Bogusław Mykietów i Marceli Tureczek, Międzyrzecz-Zielona Góra 2012.  
Tadeusz Zimecki, *Niemaszhleba*, Warszawa 1964.  
Alicja Zatrzybówna, *Powrót i początek*, Warszawa 1966.  
Jerzy Zysnarski, *Encyklopedia Gorzowa*, Bydgoszcz 2008.  
Georgij Żukow, *Wspomnienia i refleksje*, Warszawa 1973.

## Internet

*Józef Cyrankiewicz*, pl.wikiquote.org/wiki/Józef\_Cyrankiewicz [dostęp 9 sierpnia 2014].  
*Kanony synodu w Dordrechcie*, www.literatura.hg.pl [dostęp 28 sierpnia 2014].  
*Klabund*, de.wikipedia.org/wiki [2 września 2014].  
*Biographie: Klabund, 1890-1928*, www.dhm.de/lemo/html/biografien [dostęp 3 września 2014].  
*Edward Jan Mincer – Encyklopedia Solidarności*, www.encyklopedia-solidarnosci.pl [dostęp 20 sierpnia 2014].  
*Jan Muszyński: Alf Kowalski – artysta malarz, muzealnik...* janmuszynski.blogspot.com [dostęp 13 września 2014].  
*Muzeum Lubuskie im Jana Dekerta w Gorzowie*, www.muzeumlubuskie.pl [dostęp 10 sierpnia 2014].  
*Muzeum Twierdzy Kostrzyn*, www.muzeum.kostrzyn.pl [dostęp 24 sierpnia 2014].  
*Muzeum Ziemi Międzyrzeckiej im. Alfa Kowalskiego*, www.muzeum-miedzyrzecz.pl [dostęp 18 września 2014].  
*Ogród Botaniczny Uniwersytetu Zielonogórskiego*, ogrod.uz.zgora.pl [dostęp 5 sierpnia 2014].  
*Pamięć o zmarłych – portret trumienny*, frombork.art.pl [dostęp 14 września 2014].  
*Polskie portrety trumiennie*, www.nimoz.pl [dostęp 14 września 2014].  
*Hans Sahl*, de.wikipedia.org/wiki/Hans\_Sahl [dostęp 7 września 2014].  
*Santok*, www.santok.pl [dostęp 10 sierpnia 2014].  
*Santok*, pl.wikipedia.org [dostęp 10 sierpnia 2014].  
*Sarmatyzm – wikicytaty*, pl.wikiquote.org [dostęp 18 września 2014].  
*Georg Philipp Telemann*, pl.wikipedia.org [dostęp 9 września 2014].  
Teresa Tylicka, *Tajemnice zabytków diecezji toruńskiej: Portrety trumiennie*, www.niedziela.pl/arttykul/22114/nd [dostęp 14 września 2014].

*Województwo gorzowskie*, pl.wikipedia.org/wiki/województwo\_gorzowskie [dostęp 1 sierpnia 2014].

*Zapomniany naród*, www.stosunki.pl [dostęp 21 września 2013].

*Georgij Żukow: Mistrz w walce, naiwniak w polityce*, www.historia.news-week.pl [dostęp 21 sierpnia 2014].

## ZAMIAST PODSUMOWANIA

- 1000 – 24 marca: w grodzie Ilua (Ilwa, Iława) koło dzisiejszej Szprotawy Bolesław Chrobry powitał cesarza Niemiec Ottona III
- 1003 – 10 listopada: koło Międzyrzecza ponieśli męczeńską śmierć Benedykt, Jan, Izaak, Mateusz i Krystyn, zwani Pięcioma Bracmi Międzyrzeckimi
- 1109 – 24 sierpnia: zaczęła się obrona Głogowa przed najazdem cesarza niemieckiego Henryka V, który zażądał wydania dzieci jako zakładników
- 1241 – 9 kwietnia: bitwa pod Legnicą, podczas której śmierć poniósł książę Henryk Pobożny, nastąpił rozpad księstwa głogowskiego
- 1249 – 20 kwietnia: książę Bolesław Rogatka oddał połowę Ziemi Lubuskiej Brandenburczykom w zamian za pomoc w walce ze swoim bratem Henrykiem
- 1251 – powstało księstwo głogowskie
- 1257 – lokowanie miasta Landisberch Nova, które dało początek Landsbergowi, po 1945 nazwanemu Gorzowem Wielkopolskim
- 1279 – 19 stycznia: powstało księstwo żagańskie
- 1303 – pojawił się termin Nowa Marchia oznaczający wschodnią część Ziemi Lubuskiej
- 1312 – 28 lutego: pojawiła się pierwsza wzmianka o Zielonej Górze jako o mieście
- 1331 – Wincenty z Szamotuł w imieniu króla Władysława Łokietka zawarł z Niemcami pokój landsberski
- 1343 – Kazimierz Wielki przyłączył ziemię wschowską do Wielkopolski
- 1363 – 25 lutego: Kazimierz Wielki poślubił księżniczkę żagańską Jadwigę we Wschowie

- 1385 – frankfurczycy napadli na Górzycę i zniszczyli siedzibę biskupa lubuskiego
- 1454 – 31 marca: w Strzelcach Krajeńskich sejm krajowy zdecydował, że Drezdenko i okoliczne miejscowości przechodzą we władanie elektorów brandenburskich
- 1462 – 17 maja: odbył się zjazd głogowski z udziałem króla Kazimierza Jagiellończyka i króla czeskiego Jerzego z Podiebradu
- 1483 – 28 grudnia: ostatni piastowski władca Głogowa Jan II Szalony zrzekł się miasta na rzecz króla czeskiego Macieja Korwina
- 1526 – Śląsk i południowa część Środkowego Nadodrza ostatecznie przeszły w ręce austriackich Habsburgów
- 1537 – margrabia Jan Hohenzollern przeniósł stolicę Nowej Marchii z Myśliborza do Kostrzyna i rozpoczął budowę twierdzy
- 1598 – sekularyzacja dóbr biskupstwa lubuskiego
- 1657 – pod Górzycą wojska Stefana Czarnieckiego przeprawiły się na drugi brzeg Odry w ramach wyprawy duńskiej
- 1742 – Prusy zajęły Śląsk
- 1758 – 25 września: zaczęła się bitwa wojsk rosyjskich z pruskimi pod Sarbinowem koło Kostrzyna
- 1759 – 12 sierpnia: pod Kunowicami wojska rosyjsko-austriackie rozgromiły armię pruską
- 1901 – 23 września: pastor Felix Hobus odkrył figurkę bogini z Deszczna, pochodzącą z 700-550 r. p.n.e.
- 1946 – 29 maja: Rada Ministrów wydała rozporządzenie o utworzeniu Ekspozytury Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego w Gorzowie
- 1946 – 15 sierpnia: Matka Boża Rokitniańska została patronką diecezji
- 1950 – 26 czerwca: powstało województwo zielonogórskie (duże)
- 1975 – 1 czerwca: podział kraju na 49 województw, powstały województwa gorzowskie i zielonogórskie (mniejsze)
- 1998 – 24 lipca: Sejm uchwalił ustawę o podziale kraju na 16 województw, powstało województwo lubuskie
- 2001 – 28 września: pierwszy rok działalności zainaugurował Uniwersytet Zielonogórski, który powstał z połączenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Politechniki Zielonogórskiej
- 2004 – 1 maja: Polska została członkiem Unii Europejskiej



## PODZIĘKOWANIA

Jestem stąd. To znaczy z Ziemi Lubuskiej. Tu się urodziłem. Szkołę średnią i studia odbyłem na Pomorzu Zachodnim, ale resztę swego życia, mimo że proponowano mi pracę w centralnej Polsce i za granicą, związałem ze Środkowym Nadodrziem. To zawsze było i jest moje najlepsze miejsce na ziemi. Zresztą nie tylko moje. Wielu moich znajomych, kolegów i przyjaciół ma identyczne zdanie, jak i wielu uważa, że nie było i nie ma regionu lubuskiego. Przede wszystkim tych staram się przekonać, że tu, nad środkową Odrą i dolną Wartą, także dużo się działo i warto o tym wiedzieć. Że tu żyli i tworzyli ludzie, których życiorysy i informacje o ich dokonaniach są w encyklopediach. Że tutejsze wydarzenia nie były obojętne dla środkowej Europy, a przede wszystkim dla Polski.

Po ukazaniu się w 2009 roku *Klucza do bramy* Magdalena Front tak napisała w kwartalniku „Pro Libris”: „Język książki jest na tyle przystępny, że bez względu na wiek dotrze do każdego czytelnika, zwłaszcza że tradycyjną strukturę wywiadu pisarz zastąpił formą »rozmów nieautoryzowanych lub nieodbytych«. Dzięki temu nie jest to naukowa publikacja, ale prawda historyczna w literackim ujęciu. Biorąc pod uwagę wartość merytoryczną, kunszt literacki i nietypową konwencję, warto polecić ją zarówno osobom zainteresowanym przeszłością regionu lubuskiego, jak również miłośnikom literatury – szczególnie takiej, która w oryginalny sposób kreuje fikcyjną rzeczywistość, a bohaterów z przeszłości przedstawia nierzadko w całkiem nowym świetle”.

Gdy prof. Małgorzata Mikołajczak przeczytała *Drugi klucz do bramy*, w „Pro Libris” odpowiedziała, że „dobrze byłoby w tytułach

kolejnych wywiadów umieścić nazwisko mówiącego bohatera, choćby w nawiasie (tak zresztą uczyniłam w spisie treści swojego egzemplarza) – czytelnikowi ułatwiłoby to poruszanie się po prezentowanej tutaj historii regionu”.

Swoje uwagi o „kluczach” dr Krystyna Kamińska przekazywała słuchaczom Polskiego Radia „Zachód”. Po trzeciej książce z tego cyklu powiedziała: „obawiam się, że Alfred Siatecki nie wróci już na przykład do budowania nowych relacji polsko-niemieckich. Już słyszę, jak Alfred mi odpowiada, że nie ma obowiązku pisanie o wszystkich zasługach wybranego człowieka. Tak, racja. Ale niedosyt we mnie pozostaje”.

Małgorzata Masłowska napisała w „Museionie”, że „opowieści o losach ziem i ludzi związanych z Ziemią Lubuską A. Siateckiego są sposobem na osławianie przeszłości, topografii, wielu postaci i ich dokonań. Myślę, że wywód o tych ludziach, ich emocjach, namiętnościach, słabościach, czynionych błędach jest dobrą formą budowy zainteresowania i nauki historii. To, czego się dowiadujemy, niby mimochodem, nadaje ludzki wymiar nudnym informacjom, mapom, przemarszom wojsk, datom zwycięstw i klęsk, przymierzom, aliancom, antagonizmom, by przypomnieć dzieje dwóch małżeństw lubuskich ostatniego cesarza Niemiec, odniesienia do współczesności księcia Bernharda, ojca obecnej królowej Holandii, wychowanego w Reckenwalde, czyli w Wojnowie koło Kargowej”.

Eugeniusz Kurzawa na łamach „Gazety Lubuskiej” miał do mnie pretensję o to, dlaczego „taki a nie inny klucz prezentowania tychże osób przyjąłem. Wiem, że zaważyło spojrzenie autorskie, ale... Jeśli już mówimy o ważnych dla regionu postaciach (a to chyba decydowało o umieszczeniu w książce) to brak Mariana Szpakowskiego, twórcy Złotego Grona, Klema Felchnerowskiego, mógłby się pojawić pierwszy burmistrz Gorzowa czy Zielonej Góry, księżna Dorota Talleyrand, Kepler, a nawet miłość Goethego z Sulechowa – Wilhelmina Herzlieb. Wybór ogromny i liczę, że Alfred pójdzie tym tropem w następnej książce. Bo jeśli się już powiedziało »A«...”

Podobnych wypowiedzi recenzentów ukazało się więcej. Z żadną nie polemizowałem otwarcie, chociaż czasem chwytałem za pióro i byłem gotów się bronić. Podczas spotkań ze zwykłymi czytelnikami najczęściej było pochwał, zdarzały się i opinie odmienne. Część historyków uniwersyteckich miało do mnie pretensję, że zajmuję się

epizodami w dziejach regionu lub przypominam postaci, których postawy nie były jednoznaczne. Gdy odpowiadałem, że robię to, czego oni nie zrobili, mówili o powadze badacza, języku uczonego, zasadach pisania tekstów naukowych i recenzentach. Wszystkim, którzy przeczytali poprzednie cztery „klucze” dziękuję za uwagi. Staram się je wykorzystywać w kolejnych zbiorach opowiadań.

Przygotowując się do napisania *Piątego klucza do bramy* krytyków i przyjaciół prosiłem o pomoc we wskazaniu osób i wydarzeń, o których nie pisałem, a które są ważne w historii Środkowego Nadodrza. Propozycji padło bardzo dużo. Jeśli zabiorę się do pisania kolejnego „klucza”, mam niemal gotowy materiał.

Za pomoc przy *Piątym kluczu* z całego serca dziękuję prof. Tomaszowi Jaworskiemu, znawcy dziejów Łużyc i ziemi żarskiej, historykowi na Uniwersytecie Zielonogórskim. Dziękuję prof. Małgorzacie Mikołajczak z uniwersyteckiej polonistyki za wskazanie drogi do Klabunda. Drugą osobą, która doprowadziła mnie do tego pisarza i poety, był krośnieński historyk Jerzy Szymczak. Żarski pasjonat historii regionalnej i bibliotekarz Jan Tyra pomógł mi dotrzeć do materiałów dotyczących Telemanna. Tylko Emil Dąbek z tego samego miasta wiedział, gdzie się zachowało zdjęcie Piwońskiego. Nie poradziłbym sobie z fotografiami innych „rozmówców”, gdyby nie Kazimierz Ligocki z gorzowskiej biblioteki im. Herberta i Grzegorz Wanatko z Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Jestem wdzięczny za wsparcie, jakiego udzielili mi Dorota Breborowicz i dr Przemysław Bartkowiak z biblioteki im. Norwida w Zielonej Górze, historycy dr Andrzej Toczewski z Muzeum Ziemi Lubuskiej i Andrzej Kirmel z Muzeum Ziemi Międzyrzeckiej. Dziękuję byłemu wojewodzie zielonogórskiemu, posłowi i senatorowi Zbyszko- wi Piwońskiemu oraz Wilhelmowi Skibińskiemu za uwagi o latach pięćdziesiątych w już wojewódzkiej Zielonej Górze.

Serdeczne podziękowanie składam dr Alinie Polak i dr Anicie Maksymowicz z Muzeum Ziemi Lubuskiej, bez pomocy których nie wychwyciłbym literówek i pomyłek, jakie popełniłem w trakcie pisania „rozmów”. Jak i poprzednio ślicznie dziękuję Emilii Cwi- lińskiej za redakcję techniczną, skład i przygotowanie książki do druku oraz nadzór nad jej powstawaniem. Igorowi Myszkiewiczowi dziękuję za pomysł i projekt okładki.

## SPIS TREŚCI

|                                                                              |            |
|------------------------------------------------------------------------------|------------|
| <b>Trzy tysiące lat temu.....</b>                                            | <b>7</b>   |
| Rozmowa z dr. Andrzejem Marcinkianem, archeologiem i regionalistą            |            |
| <b>Strażnica w widłach Noteci i Warty.....</b>                               | <b>25</b>  |
| Rozmowa z Janem Korczem, artystą malarzem i pedagogiem                       |            |
| <b>Wilk kalwiński.....</b>                                                   | <b>37</b>  |
| Rozmowa z Edwardem Mincerem, dziennikarzem i regionalistą                    |            |
| <b>Prawnik, który był kapelmistrzem.....</b>                                 | <b>51</b>  |
| Rozmowa z Georgiem Philippem Telemannem, kompozytorem i dyrygentem           |            |
| <b>Miasto ogrodów.....</b>                                                   | <b>63</b>  |
| Rozmowa z Albertem Severinem, architektem i urbanistą                        |            |
| <b>Nieśmiały autor.....</b>                                                  | <b>77</b>  |
| Rozmowa z Alfredem Henschkem-Klabundem, poetą, pisarzem i dramaturgiem       |            |
| <b>Miejsce w pamięci.....</b>                                                | <b>91</b>  |
| Rozmowa z Christą Wolf, pisarką                                              |            |
| <b>Jak Hiroszima.....</b>                                                    | <b>105</b> |
| Rozmowa z marszałkiem Georgijem Żukowem, dowódcą 1 Frontu Białoruskiego      |            |
| <b>Strażnik skarbów.....</b>                                                 | <b>117</b> |
| Rozmowa z Alfonsem Kowalskim, muzealnikiem i malarzem                        |            |
| <b>Akcja 0.....</b>                                                          | <b>131</b> |
| Rozmowa z Krystyną Klęsk, urzędniczką i muzalniczką                          |            |
| <b>Nowa Marchia po gorzowsku.....</b>                                        | <b>145</b> |
| Rozmowa ze Zdzisławem Morawskim, poetą, pisarzem, publicystą i społecznikiem |            |
| <b>Wysepka na morzu.....</b>                                                 | <b>159</b> |
| Rozmowa z Witoldem Piwońskim, znawcą dziejów i kultury Serbów Łużyckich      |            |
| <b>Źródła.....</b>                                                           | <b>173</b> |
| <b>Zamiast podsumowania.....</b>                                             | <b>179</b> |
| <b>Podziękowania.....</b>                                                    | <b>181</b> |